

SPÓR O WYBORY KORESPONDENCYJNE

Działaliśmy w najlepszej wierze
– Michał Dworczyk o zarzutach NIK



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 zł (w tym 8% VAT)

NR 23/428 7-13 CZERWCA 2021

RZECZY



Warzecha o klasie średniej
według polskiego rządu

KAROL III,
CZYLI KTO
ZASTĄPIŁBY
KRÓLOWĄ
ELŻBIETĘ II



Marynarka Wojenna
idzie na dno?

Anatomia jednej manipulacji

JAK „THE NEW YORK TIMES”
KREUJE HISTORIĘ



Leszek Żebrowski o przypadku
żydowskiej partyzantki
Witki Kempner

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

Spis powszechny już trwa!



Spis powszechny to:



Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny



Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych



Nowoczesna i bezpieczna formuła spisu online

Od 1 kwietnia do 30 września 2021 r. Główny Urząd Statystyczny przeprowadza Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021. Pamiętaj, że udział w spisie to Twój ustawowy obowiązek.

Najszybciej przez Internet

Obowiązkową metodą jest samospis internetowy. Wejdź na stronę **spis.gov.pl** i wypełnij formularz spisowy. Samospis internetowy daje Ci możliwość wzięcia udziału w loterii!

Inne formy spisu

Jeżeli nie możesz spisać się samodzielnie przez Internet, odwiedź najbliższy urząd miasta lub gminy. Możesz też spisać się przez telefon, dzwoniąc na infolinię: **22 279 99 99** (koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora).

Jeśli nie spiszesz się przez Internet ani przez telefon, może zadzwonić do Ciebie rachmistrz w celu przeprowadzenia spisu. Rachmistrzowie będą dzwonić z numeru **22 828 88 88** lub infolinii spisowej.

Nie obawiaj się o swoje dane

Dane zbierane i gromadzone w badaniach Głównego Urzędu Statystycznego są poufne i podlegają szczególnej ochronie. Po wprowadzeniu ich do formularza spisowego zostają odpersonalizowane i przetworzone w bezpiecznym środowisku. Co więcej, pracownicy statystyki publicznej są zobowiązani do przestrzegania tajemnicy statystycznej. Oznacza to, że Twoje dane są bezpieczne.

Chcesz sprawdzić, o co pytamy w spisie?

Zweryfikować tożsamość rachmistrza?

Wejdź na spis.gov.pl i bądź na bieżąco!



Liczymy się
DLA POLSKI!



Narodowy Spis Powszechny
Ludności i Mieszkań 2021

Pruska droga do Europy



PAWEŁ LISICKI

Dziwne rzeczy dzieją się na świecie. A ściślej: dziwne rzeczy dzieją się w ludzkiej świadomości. A może jeszcze ściślej: dziwne rzeczy dzieją się w głowach niektórych Polaków (pewnie powinienem napisać – Polek i Polaków). Chociaż w tym przypadku rzecz dotyczy jednej tylko głowy i jednego tylko Polaka, za to nie byle kogo, bo prezydenta Poznania, stolicy Wielkopolski.

Zwykle nie wspominam, jakiego regionu jakieś miasto jest stolicą, w tym przypadku jednak ma to znaczenie. Ba, dodaje całej historii swoistego smaczku.

Zresztą, i to będzie pierwsza uwaga, tzw. prawicowych, na czele z DoRzeczy.pl.

Najwyraźniej żaden z wielkich, potężnych, mających kilkaset milionów odsłon gigantów nie uznał tej wypowiedzi za godną dostrzeżenia. Szok! Prezydent Poznania, miasta, które przez cały okres zaboru pruskiego było jednym z centrów oporu wobec germanizacji, które Prusacy za wszelką cenę próbowali zniemczyć, pozbawić je polskiej tożsamości i tradycji, ogłasza, że 123 lata zaboru pruskiego to było... pozytywne dziedzictwo, w oparciu o które zamierza budować wspólnotę z Gdańskiem i Wrocławiem, i cisza? Żadne wielkie media o tym nie piszą? Nie dziwią się? Nie pytają?

A naprawdę jest o co pytać. Pomijam drobiazg, bo za taki można uznać pewną, powiedzmy, arytmetyczną nieścisłość – jednak nie 123 lata był Poznań pod pruskim zaborem, ale formalnie 114 – w okresie od 1806 do 1815 r. należał do napoleońskiego Księstwa Warszawskiego. Podobnie trudno mówić o pruskim zaborze Wrocławia, które to miasto od dawna w skład Rzeczypospolitej przedrozbiorowej nie wchodziło. To są jednak szczegóły, szczególnie wręcz.

Poważne pytanie brzmi inaczej: Co, u licha, sprawiło, że Poznaniem zarządza człowiek, który odwołuje się do pruskiego zaboru jako do... wartości, jako do pozytywnego punktu odniesienia, do elementu, z którego chce czerpać? Jak to się stało właściwie? Mogło się przecież wydawać, że polska pamięć historyczna raz na zawsze widzi w Prusach i tym, co pruskie, zagrożenie, śmiertelne i dla polskiego żywiołu groźne. Że pamiętamy pozytywnie nie o Prusakach, którzy traktowali Polaków z poczuciem wyższości, pogardy, widzieli w nich barbarzyńców i naród niedojrzały (ten należy

dopiero właściwie wychować), ale o tych Polakach, którzy się temu opierali. Jedni prowadzili pracę organiczną, zakładali towarzystwa akcyjne, budowali instytucje, inni, już pod sam koniec zaborów, wystąpili z bronią w rękę i jako jedyni odnieśli wielki sukces. Notabene – ten wspaniały pruski eksperyment zakończył się zresztą klęską i ostatecznym zniknięciem Prus po Poczdamie i drugiej wojnie światowej.

Ale i bez tego, czy Prusy mogą być dla Polaków pozytywnym punktem odniesienia? Nie tylko dlatego, że to, co polskie, w nich ciemniejszo i zwalczano, lecz także dlatego, że było to państwo z samej zasady sztuczne, powstałe wskutek sekularyzacji zakonu krzyżackiego, państwo agresywne i nastawione na podboje, które mogło rozwijać się tylko w jeden sposób – systematycznie żerując na słabości i wadach polskiego państwa. A gdy tego zabrakło – na zniewoleniu Polaków.

Awięc jak to jest, że dziś odniesienie do Prus staje się w oczach (w podświadomości?) niektórych czymś pozytywnym? Zaczynam z niepokojem podejrzewać, że dla tych ludzi (niekoniecznie, mówiąc eufemistycznie, dysponujących wiedzą historyczną) to, co pruskie i niemieckie, staje się namiastką tego, co europejskie, namiastką wyższej cywilizacji europejskiej, do której teraz chcieliby swoje miasta – Poznań, Gdańsk, Wrocław – wprowadzić. Mielibyśmy zatem do czynienia ze skrajną formą nihilizmu narodowego. Te słowa prezydenta Jaśkowiaka pokazywałyby też, jak ludzie ci patrzą na obecną Unię: jest ona dla nich po prostu potęgą, której należy się poddać i tyle. To, co pruskie, staje się przedśmionkiem europejskości, to, co polskie, przeszkodą w drodze ku tej wspaniałej przyszłości. Straszne to, ale czy nie prawdziwe? ©©

RYСУNEK TYGODNIA

Diabeł sprząta po procesji



Otóż ówże prezydent Jaśkowiak podczas debaty, która towarzyszyła otwarciu Studium Obywatelskiego im. Pawła Adamowicza (piękna nazwa), powiedział: „U nas ten pruski element, te 123 lata tej obecności w Prusach i to wszystko, co się z tym wiązało, jednak prowadzi do tego, że się świetnie rozumiemy, jeśli chodzi o Gdańsk, Wrocław, i uważamy, że z wiedzy, z nauki warto czerpać, należy czerpać i w związku z tym tak dobrze się u siebie wzajemnie czujemy”. Przetarłem najpierw oczy raz i drugi, uszczypnąłem się w policzek. Ki diabeł, pomyślałem, to nie może być prawda. A jednak, upewniłem się, ten sam cytat i ta sama wypowiedź zostały przytoczone przez kilka portali.



TEMAT TYGODNIA

16 LESZEK ŻEBROWSKI
ANATOMIA JEDNEJ MANIPULACJI
Rzekomy sabotaż Witki Kempner

KRAJ

22 ROZMOWA Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM
POLSKI ŁAD WPISUJE SIĘ W LINIĘ PROGRAMOWĄ PIS
Obowiązek szczerpień byłby ryzykowną decyzją

26 TOMASZ ROWIŃSKI
TELENOWELA RPO

28 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM
RZĄD MUSI BYĆ ROZLICZONY Z LOCKDOWNU

32 PIOTR WŁOCZYK
JAKA ROLA AMBASADORA?

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWE SZATY ABORCJI

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
„ORZEŁ” JESZCZE PŁYNIE

38 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI”
PRYWATNA WOJNA Z KOMUNIZMEM

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
DROGOWA REWOLUCJA

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ORLA STRAŻ Z POLSKI

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
KORZENIE
Oscarowe filmy w kinach

47 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
RADOŚĆ GRANIA, RADOŚĆ OGLĄDANIA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

53 PRAWNA OCHRONA PRZED POŁONOFOBIA
PRAWO MIĘDZYNARODOWE I OCHRONA PAMIĘCI HISTORYCZNEJ

OPINIE

70 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
W OBRONIE CHRYSZTUSA
Kim jest Jezus dla krakowskiego filozofa?

72 ROZMOWA Z MARCINEM ROMANOWSKIM
POTRZEBUJEMY OAZY WOLNOŚCI

75 MAREK JUREK
JAK NIE STRACIĆ GŁOSU?

HISTORIA

76 MIROSŁAW SZUMIŁO
MORD ATAMANA
Dlaczego zginął Symon Petlura?

80 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM POTACZAŁĄ
BOŻYSCZE PRL

ŚWIAT

82 WITOLD REPETOWICZ
TURCJA W NAROŻNIKU
Cierpliwość USA wobec ekscesów Ankary dawno się wyczerpała

84 TERESA STYLIŃSKA
KAROL III I JEGO NOWE CZASY

EKONOMIA

88 ŁUKASZ WARZECHA
PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO
Klasa średnia rozwija kraj

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
PRZELAMUJĄC OPORNOŚĆ
Chłoniak z komórek płaszczka

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (79), PRZYBYLSKI (86), GABRYEL, WARZECHA (90), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemieliński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torąński,
Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wolczyk,
Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także
Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Marcin Bugaj, Damian**
Cygaa, Jan Fiedorczuk, Paweł Dziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: **Yad Vashem, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829

Nakład 572 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Korespondencję elektroniczną do
redakcji prosimy kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

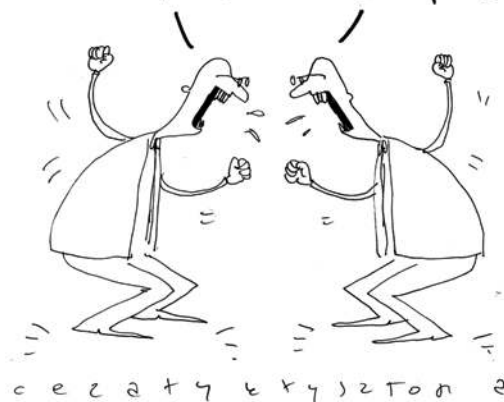
Pamięci Profesora Henryka Samsonowicza

28 maja 2021 r. odszedł na wieczną
wartę prof. dr hab. Henryk Samsonowicz.

Miałem zaszczyt znać Go przez wiele lat,
a w okresie Solidarności i początkach
III RP blisko współpracować z nim na
niwie polskiej oświaty, głównie szkolnictwa
niepublicznego.

Był człowiekiem wielkiej kultury, zarazem
życzliwym i otwartym na różnego
rodzaju pomysły i niekonwencjonalne
rozwiązania. Te cechy Profesora
wyraźnie ujawniły się po objęciu przez
Niego teki ministra Edukacji Narodowej
i zapoczątkowaniu naprawy polskiej
oświaty. Ponieważ jestem przekonany, że

„Z zaczep się!” „Z odszczep się!”



działalność publiczno-polityczna Pana
Profesora będzie opisywana w licznych
opracowaniach, chciałbym jedynie
zwrócić uwagę na kilka jej fragmentów,
które nas połączyły i w których wspólnie
ze środowiskiem oświaty niepublicznej
uczestniczyłem:

1. wsparcie, natychmiast po objęciu
stanowiska ministra edukacji, nowo
rodzącego się ruchu szkolnictwa
niepublicznego (a przede wszystkim lidera
tego ruchu – Społecznego Towarzystwa
Oświatowego) i umożliwienie
(mimo braku precyzyjnych regulacji
prawnych) założenia już we wrześniu

1989 r. kilkunastu pierwszych szkół
niepublicznych, przełamujących monopol
państwowy i zrywających z jednolitym
szkolnictwem komunistycznym;

2. wprowadzenie z inicjatywy
STO do prawa oświatowego zmian
umożliwiających: zakładanie szkół
niepublicznych, uzyskiwanie przez
nie uprawnień adekwatnych do szkół
publicznych i dofinansowywanie ich
działalności z budżetu państwa;

3. prace nad nowelizacją ustawy
o systemie oświaty, której realizacja
otwierała nowe horyzonty reformy
polskiego szkolnictwa;

4. założenie w roku 1990 na wniosek
Społecznego Towarzystwa Oświatowego,
wspólnie z Gustawem Holoubkiem,
Wiesławem Johannem, Andrzejem
Szczypiorskim, ks. Janem Twardowskim
i Andrzejem Wajdą, Społecznej Fundacji
Oświatowej mającej wspierać rozwój
szkolnictwa niepublicznego.

Po odejściu prof. Samsonowicza
z Ministerstwa Edukacji Narodowej
wielokrotnie spotykaliśmy
się na różnego rodzaju
wydarzeniach edukacyjnych,
zawsze z sentymentem
wspominając pionierskie
czasy lat 90. ubiegłego wieku
i oceniając bieżącą politykę
państwa w obszarze edukacji
narodowej.

Na koniec ważna uwaga:
wszystkie opisane powyżej
działania nie były drogą
ustaną różami. Często mieliśmy
na wiele spraw spojrzenie
odmienne, różniły nas również
poglądy polityczne i własne
wybory życiowe w okresie
przedsolidarnościowym. Ale
te różnice, dzięki kulturze
osobistej prof. Samsonowicza,

trosze o dobro wspólne i prawdziwy
gorący patriotyzm Zmarłego, nie tylko
nie utrudniały nam twórczej współpracy,
lecz także nawet ją ułatwiały. Za to jestem
śp. prof. Henrykowi Samsonowiczowi
wdzięczny, takim będę Go zawsze
pamiętał i z takim Profesorem pewnie
kiedyś spotkamy się po drugiej stronie
kurtyny życia, gdzie nadal będziemy
prowadzili spory i rozmowy o przyszłości
Polski.

Wojciech Starzyński,
założyciel i prezes Społecznego Towarzystwa
Oświatowego w latach 1989–2010,
prezes Zarządu Fundacji „Rodzice Szkole”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Partyzanci wolnej Polski

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Il było czynnych partyzantów w zorganizowanych oddziałach z bronią w ręku? Autorzy IPN w albumie „Zaplute karty reakcji” szacują liczbę żołnierzy wolnej Polski w połowie 1945 r. na 17 tys., z czego połowa – 6600–8600 – to oddziały poakowskie z kręgu DSZ, a potem WiN, od 2700 do 3800 to siły NSZ, NOW i NZW i wreszcie ok. 3700–4800 to oddziały samodzielne.

Koniec wojny spowodował zmniejszanie liczby wojsk NKWD i armii rosyjskiej w Polsce. Wpłynęło to na wzrost aktywności podziemia. Ale były i inne czynniki. Po szoku wywołanym rozwiązaniem AK, a potem aresztowaniem szesnastu, pojawił się nowy porządek w oddziałach leśnych z nowymi dowódcami. W jakimś sensie na korzyść konspiracji wpłynęła decentralizacja oporu.

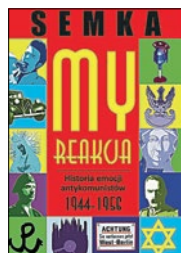
W sytuacji, gdy nie istniała już jedna centralna sieć AK, bezpiecze znacznie trudniej było zwalczać setki lokalnych grup, które przy wybitnych dowódcach, takich jak „Zapora” – Hieronim Dekutowski, „Łupaszka” – Zygmunt Szendzielarz, „Warszyc” – Stanisław Sojczyński, potrafiły się łączyć w organizowane ad hoc szersze zgrupowania mogące zajmować miasta średniej wielkości i np. rozbijać więzienia.

Kolejnym czynnikiem, który spowodował napływ ochotników do lasu, byli młodzi, siłą wcieleni do Ludowego Wojska Polskiego. 6 kwietnia 1945 r. Zygmunt Klukowski pisał: „We wsiach ukrywa się mnóstwo dezertów. Chłopi mają z tym duży kłopot, bo obawiają się represji, ale trzymają ich u siebie nadal. Trzeba przyznać, że zwłaszcza niektóre wsie, pomimo wszystko, zachowały niezmienną postawę. Taki na przykład Kawęczyn: tam jak za niemieckich czasów wciąż pełno jest „ludzi z lasu”. Wszyscy dobrze wiedzą, kto u kogo jest. I stale są w pogotowiu, bo obława może być w każdej chwili, jak już nieraz się zdarzało”.

Ci ludzie nie zniknęli. W połowie 1945 r. było ich sporo w oddziałach leśnych. Osiemnasto- czy dwudziestolatkowie byli idealnymi partyzantami. Odporni zdrowotnie, silni, pełni inicjatywy, a wizja stanięcia przed sądem wojskowym kojarzyła im się – i słusznie – z pewną karą śmierci.

W tej sytuacji sowieccy doradcy postanowili sięgnąć po sprawdzoną już na Wileńszczyźnie formułę amnestii. Józef Świątło, wysoki oficer UB, który uciekł w 1953 r. na Zachód, tak wspominał o planie Sowietów: „Był to świadomy i zbrodniczy plan. Celów jego nie ukrywano na tajnych konferencjach w bezpieczie i partii. [...] brałem udział w specjalnej odprawie u I wiceministra bezpieczeństwa gen. Romana Romkowskiego. Na odprawie tej Romkowski podkreślił: [...] trzeba poczekać, aż się AK w pełni ujawni i wtedy dopiero będziemy mogli przeprowadzić całkowitą likwidację”.

Romkowski według Świątły podkreślał, że plan jest dziełem pełnomocnika sowieckiej NKWD w Polsce Iwana Sierowa. ©©



USA ZANIEPOKOJONE SYTUACJĄ W NIEMCZACH

USA są wielce zaniepokojone wciąż wzrastającym antysemityzmem – oświadczył Departament Stanu w związku z rosnącą w ostatnich miesiącach liczbą ataków na Żydów, synagogi i instytucje żydowskie w Niemczech. Już w 2020 r. niemiecka policja odnotowała najwięcej przestępstw przeciwko Żydom od początku prowadzenia statystyk. Ostatnio liczba ataków jeszcze wzrosła w reakcji na eskalację konfliktu między Izraelem a Palestyńczykami. (jap) ©©

Myszy i nietoperze zablokują Baltic Pipe?

Dzięki gazociągowi Baltic Pipe do Polski ma płynąć gaz z norweskich złóż. Nagle Duńczycy wycofali swoją zgodę środowiskową na budowę inwestycji wydaną trzy lata temu.

Baltic Pipe to strategiczna dla Polski inwestycja. Dzięki temu gazociągowi z norweskich złóż ma popłynąć gaz do Polski, ale też na rynek duński i do innych krajów. Dla naszego państwa to kolejny element uniezależnienia energetycznego – obok istniejącego już terminala LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Przedsięwzięcie Baltic Pipe obejmuje budowę gazociągów na dnie Morza Północnego i Morza Bałtyckiego, tłocznię gazu w Danii oraz rozbudowę systemów przesyłowych w Polsce i Danii.

Dzięki Baltic Pipe, który ma zostać uruchomiony jesienią przyszłego roku, do Polski ma trafiać rocznie 10 mld m sześć. gazu z Norwegii. Gazociąg ma też umożliwić przesyłanie rocznie 3 mld m sześć. surowca z Polski do Danii.

Niespodziewanie pod koniec ubiegłego tygodnia duński operator systemu przesyłowego – Energinet – poinformował, że cofnięte zostało pozwolenie środowiskowe dla rurociągu. Jak wynika z komunikatu spółki, Komisja Odwoławcza ds. Środowiska i Żywności 31 maja cofnęła pozwolenie środowiskowe z 12 lipca 2019 r. (zostało wówczas wydane przez duńską Agencję Ochrony Środowiska). Po uchyleniu decyzji środowiskowej Agencja będzie musiała ponownie rozpatrzyć tę sprawę. A to oznacza m.in., że Duńczycy muszą przeprowadzić dodatkowe badania.

Jaki jest powód cofnięcia pozwolenia? Okazuje się, że chodzi o... niektóre gatunki myszy i nietoperzy występujące na Jutlandii oraz na wyspach Fionia i Zelandia. Duńska agencja musi sprawdzić, czy na obszarze lądowym planowany gazociąg nie zniszczy terenów potrzebnych do rozrodu lub odpoczynku tych gatunków zwierząt.

Marian Kaagh, wicedyrektorka spółki Energinet, która realizuje projekt na duń-

skim odcinku, podczas rozmowy w tamtejszej stacji telewizyjnej TV2 stwierdziła, że jest zaskoczona decyzją organu odwoławczego. „Gdy w 2019 r. otrzymywaliśmy od władz pozwolenie w sprawie Baltic Pipe, zaznaczono, że powinniśmy prowadzić dalsze prace nad wieloma środkami zapewniającymi dobre warunki życia niektórym gatunkom zwierząt. Od tego czasu kontynuujemy wysiłki w celu ich ochrony. Jednak Komisja Odwoławcza twierdzi, że wszystkie środki powinny zostać określone przed wydaniem pozwolenia” – stwierdziła z kolei Kaagh w komunikacie na ten temat.

Polskie władze obecnie analizują sytuację. Szef KPRM Michał Dworczyk w rozmowie z TVP1 stwierdził, że z pewnością nie wszyscy patrzą dobrym okiem na niezależność energetyczną Polski. – Trzeba analizować to, patrząc na interesy geopolityczne naszych sąsiadów i krajów, które nie życzą Polsce najlepiej – stwierdził Dworczyk. ©©

Łukasz Zboralski

REKLAMA

POLACY, KTÓRZY PRZESZLI DO HISTORII

NIEZWYKŁY POCZET ŻOŁNIERZY, WODZÓW, POLITYKÓW, BIZNESMENÓW I TYTANÓW DUCHA

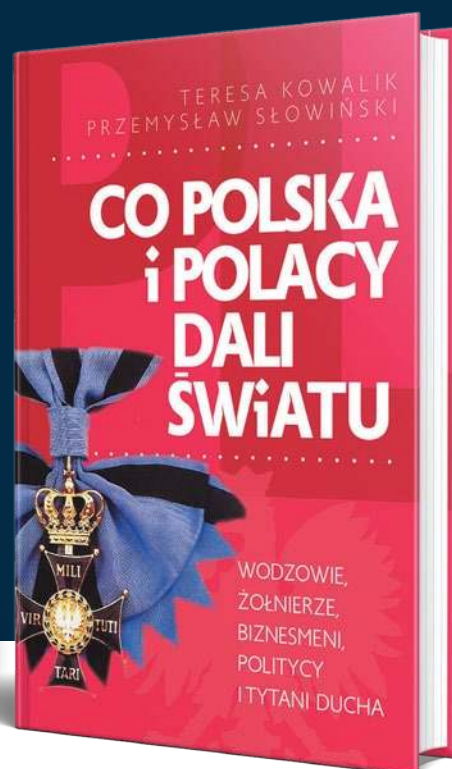
PONAD PIĘCDZIESIĄT POSTACI, O KTÓRYCH POWINIENIEŚ WIEDZIEĆ

KSIĄŻKA DO KUPNIENIA W: WWW.XLM.PL

PATRONAT MEDIALNY:



HISTORIA
ORG.PL





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Obłąd

Osiemnastolatka z Kamienia Pomorskiego została zgwałcona i zamordowana przez człowieka, który – co zauważono dopiero po zbrodni – już jako 14-latek zgwałcił i zamordował swoją 13-letnią koleżankę i spędził za to w więzieniu raptem dwa lata, plus kilka lat poprawczaka. Z poprawczaka uciekł i w trakcie tej ucieczki dokonał rozboju, potem dopuścił się jeszcze jednego gwałtu. Po czym, uznany za skutecznie „przywróconego społeczeństwu”, zamieszkał w tej samej miejscowości, w której popełnił swą pierwszą zbrodnię.

Przeciętnemu człowiekowi ta sytuacja nie mieści się w głowie. Ale elity prawnicze nie widzą problemu. Od dziesięcioleci wychowywane są w duchu liberalnego

humanitaryzmu, w przekonaniu, że przestępców nie należy karać, tylko resocjalizować, że zbrodniarz nie jest człowiekiem złym, tylko nieszczęśliwym, i trzeba mu pomóc uporać się ze społecznym odrzuceniem lub z innymi problemami, które sprawiły, że zszedł na złą drogę. Ktokolwiek ośmiela się wykazywać, że jest to podejście doktrynerskie i nacechowane oderwaniem od rzeczywistości, jest dla profesorskich autorytetów „populistą” i mściwym troglodytą. W najlepszym wypadku pouczą go z pogardliwym grymasem, że „surowość kary wcale nie odstrasza od popełnienia przestępstwa”. Na czym tę pewność zbudowały – nie wiadomo zupełnie.

Na tragedię młodej dziewczyny, której można było uniknąć, patrzy się więc w kręgach liberalnych jak

na wypadek, który nie podważa generalnej słuszności doktryny. Lepiej wypuścić 10 morderców, umożliwiając im dokonywanie kolejnych morderstw, niż skazać jednego niewinnego. A jeśli z 10 wypuszczonych tylko jeden popełni kolejną zbrodnię, a pozostali już nie, to najlepszy dowód, że było warto.

Na tym założeniu zbudowano przepisy, które temu konkretnemu zwyrodnialcowi zapewniły praktyczną bezkarność – i dzisiaj nikt nie czuje się niczemu winien. Wszystkie decyzje były zgodne z procedurami. Żadnych wniosków nie trzeba wyciągać, a już zwłaszcza radykalnych. Przestępca został złapany i będzie ukarany. Czy po tej karze zdąży jeszcze zamordować kolejną kobietę? ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pokolenie nienawiści

Stref bezprawia, o których piszą autorzy francuskiej Trybuny Generałów, lepiej nie odwiedzać. Jeśli jednak ktoś chciałby zobaczyć, jak wygląda codzienne bezprawie i islamizacja Francji, to powinien obejrzeć „Pokolenie nienawiści” Jeana-Paula Lilienfelda. To kolejny przykład kina NMN, „nowego moralnego niepokoju”, o którym pisałem dwa miesiące temu. Główna bohaterka, grana przez Isabelle Adjani, uczy literatury w zwykłej podparyskiej szkole państwowej. Chce swoim wychowankom przekazać kulturę kraju, w którym żyją. Nie jest to jednak łatwe, skoro większość uczniów nie zna nawet jej podstaw. Poza tym w szkole brak elementarne-

go porządku, są za to nienawiść, bunt i broń. Szkoła to nie tylko obraz Francji, która się rozpada, lecz także nowego społeczeństwa (jeśli tak to w ogóle można nazwać), które z tego rozpadu się wyłania.

Oryginalny tytuł filmu jest mniej publicystyczny niż polski, za to bardzo wymowny w czasach gender i feminizmu – „Dzień spódnicy”, „La Journée de la jupe”. Chodzi o to, że młode francuskie muzeum nie mogą spokojnie przychodzić w spódnicach do szkół, bo ani rodzinom, ani kolegom współwyznawcom to nie odpowiada. To też ciekawy przyczynek do działania równości płci i wolności kobiet w państwie,

które innym chciałoby narzucić konwencję stambulską.

Film ma już 13 lat, ale nic z aktualności nie stracił.

Od tamtej pory sytuacja Francji jedynie się pogorszyła. Pokolenie nienawiści wyszło ze szkół, zaczyna rządzić na ulicach, marzy o szturmie na instytucje. Film niełatwo jednak oskarżyć o „islamofobię”, ale nie będę go streszczał, bo warto go po prostu obejrzeć. Był już emitowany w Polsce, jest dostępny na DVD, ale najlepiej by było, gdyby przypomniiała go Telewizja Polska. Warto zobaczyć to widmo przyszłości, której nie uniknęlibyśmy, gdyby na czas nie przebudził się zdrowy rozsądek Polaków. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Horror w trzech aktach

W 1968 r. na fali haniebnej antysemitki nagonki najwybitniejszemu polskiemu fonetykowi, prof. Wiktorowi Jassemowi, na uniwersytecie w Poznaniu złożyła wizytę grupa „studentów”, komunikując mu, że nie życzą sobie, by ich uczył Żyd. Zaraz potem został wyrzucony z pracy. Był jedynym polskim fachowcem od fonetyki języka angielskiego, cytowanym w brytyjskich pracach naukowych. Legenda głosi, że bawiąc

ironię Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego, wystosowała petycję do władz uczelni, żądając, by wyrzuciły go na bruk za niewłaściwe poglądy.

Rok 2021, Georgetown University, USA. Profesor prawa Sandra Sellers rozmawiała przez Internet prywatnie z kolegą z pracy, wyrażając głębokie zaniepokojenie tym, że wielu jej studentów z najniższymi ocenami to Afroamerykanie. Jakimś trafem nagranie rozmowy trafiło do mediów społecznościowych. Stowarzyszenie czarnoskórych studentów natychmiast zażądało usunięcia obojga z pracy, zarzucając im galopujący rasizm. Dochodzenie wszczęło Biuro ds. Różnorodności, Równości i Akcji Afirmatywnej.

Mimo absurdalności zarzutów pani profesor została wylana natychmiast, a pan profesor zmuszony do złożenia rezygnacji. I to mimo że oboje złożyli bezkompromisową samokrytykę. Profesor w inkryminowanym wątku konwersacji był wyłącznie słuchaczem, ale pokajał się za to, że nie zareagował odpowiednio na wypowiedź koleżanki.

Uczelnia też wyraziła skruchę i obiecała poprawę. Organizuje kursy dla wykładowców i przygotowuje materiały edukacyjne traktujące o sprawiedliwości rasowej. Poza tym zainstalowana zostanie skrzynka, do której prześladowani rasowo studenci będą mogli wrzucać anonimowe donosy na swoich wykładowców.

Już nie jest śmieszno. Jest straszno. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Opowieść z Twittera

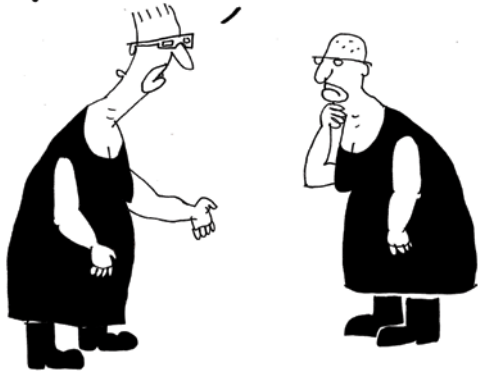
Proszę Państwa, dziesiątek tysięcy lat nie zmieni jakiś tam Twitter. Przez dziesiątki tysięcy lat ludzie zasiadali przy ogniskach, w jamach, grotach, szałasach, na dworach i gdzie tam jeszcze dało się pośladkom spocząć, aby wysłuchiwać opowieści. Opowieści były różne: mroczne, krwawe, miłosne, piękne i pouczające. I oto w roku 2006 grupa cwaniaków amerykańskich postanowiła, że na opowieści wystarczy 140 znaków, i wymyśliła Twitter. O nie, nie, nie! Nie wystarczy. Więc niedawno zmieniła to na 280 znaków, myśląc, że wystarczy. O nie, nie, nie! Nie wystarczy. I ludzie zasiadający tym razem przy Twitterze sami zaczęli snuć opowieści, choć w odcinkach. Przedstawię Państwu pokrótce jedną taką opowieść przykładową, pełną zwrotów akcji, gdzie współczujemy ofierze, a ofiara okazuje się łajdakiem, a co będzie dalej, to nie wiadomo, bo odcinki powstają. Ileż tu emocji!

Otóż obecny czynnie na TT asystent wicemarszałek Sejmu Małgorzata Kidawo-Błońska poinformował publicznie, że ma białaczkę

i z tego powodu zbiera pieniądze na zrzutka.pl. Rozlała się fala współczucia i pieniędzy. Współczucia i pieniędzy fala. Jak już się rozlała, to pojawiły się głosy, że Krzysztof M. nie ma jednak białaczki, ma jednak zebrane pieniądze, które sprzeniewierzył. Gdy pan Krzysiek zaczął się pokrętnie tłumaczyć, na TT wjechał odcinek „Gośka twardo żąda wyjaśnień”, czyli tweet szefowej Krzysztofa M., Kidawo-Błońskiej: „Krzysztof, nie na takie wpisy czekamy. Czekamy na wyjaśnienia. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej”. Wtedy wjechał odcinek „Krzysiek blokuje wszystkich”, a zaraz po nim „Wybaczcie, mam coś z głową”. Otóż asystent Krzysztof M. opublikował oświadczenie: „Wiele osób bardzo się zawiedzie, ale muszę napisać prawdę. Leczę się psychiatrycznie. Nie miałem pieniędzy i zbiórki pozwoliły mi przeżyć. Wszystkich przepraszam. Proszę nie atakować mojej rodziny. Czuję się z tym bardzo źle. W miarę możliwości będę oddawał każdą złotówkę”. Moim zdaniem, a jestem człowiekiem złym i cynicznym, nie będzie żadnych „w miarę możliwości” i pieniądze (nienawidzę tego zdrobnienia) nie zostaną zwrócone. Najnowszy opublikowany odcinek tej opowieści to „Pojmać go w imieniu prawa”. Otóż grupa osób, a także sama zrzutka.pl oświadczyły na TT, że w sprawie Krzysia do prokuratury trafiło zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. W następnym odcinku na TT: „Czy Krzysztof spacerować będzie w pasiakach?”. Ileż tu emocji! ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

Nie możemy eksterminować węgrych
Mimo wszystko bez węgrych nie
będzie abotcji...



c e r e x y z y z t o p a z

w Londynie, zdał egzamin na spikera BBC.

Dziesięć lat później w Berlinie Zachodnim byłem sąsiadem profesora, bodaj nauk politycznych. Skarżył się, że przydarzyła mu się podobna historia, choć pracy nie stracił. Grupa zideologizowanych, bolszewizujących studentów, jak na



SKAZANA NA SUKCES

Natalia Siwiec została zapytana przez swoje fanki o to, co by zrobiła, gdyby straciła wszystko, co ma. Chodziło oczywiście o kasę. Konkretnie jeden z fanów poprosił ją o to, by dokończyła zdanie: „Gdybym straciła większość dóbr materialnych i pieniędzy, to...”. – To pomyślałabym, że wszechświat chce mi coś przekazać i szukała nowej drogi... – odpowiedziała Siwiec. Furorę zrobiło jednak inne pytanie. „Gdybyś należała do biednej rodziny, to co byś kupiła za ostatnie 10 zł w portfelu?” – zapytał jeden z fanów. – Coś, co bym mogła sprzedać za 50 zł – odpowiedziała celebrytka. Widać, że Siwiec była skazana na sukces.

CO JEST ZŁE?

Celebrytka Julia Wieniawa wyznała, że w ramach dbania o siebie, pilnowania diety i swojej nie za wysokiej wagi przyjmuje jakieś suplementy diety, które pomagają jej w walce z efektem jo-jo. To oburzyło pewną instagramową dietetyczkę, która postanowiła odpowiedzieć celebrytce. – Szanuję ją za to, jak wiele osiągnęła w tak młodym wieku, ale nie robię takich rzeczy, kiedy obserwuję nas dzieci i nastolatki, dla których jesteśmy wzorem. Żeby nie było efektu jo-jo, wystarczy schudnąć zdrowo i z głową. Ale ona „bierze” tabletki, żeby nie podjadać... Jakby jedzenie było czymś złym – stwierdziła dietetyczka. O nie! Czymś złym byłoby nieskorzystanie z okazji, gdy firma od suplementów proponuje reklamę! Pani dietetyczka kompletnie nie kuma show-biznesu.

CO Z KASKIEM?

Anna Mucha wylała internautom swoje żale dotyczące rowerzystów, którzy poruszają się po drogach bez kasków, a na dodatek ze słuchawkami w uszach, co bardzo celebrytkę wkurza i oburza. – Chciałam otworzyć dyskusję na jeden



bardzo ważny temat, który mnie osobiście szalenie dotyka, przejmuję, irytuje i wkurza. Otóż, gdzie do cholery, rowerzysto, wjeżdżający na ulicę, masz kask? W du.ie, za przeproszeniem? Powinieneś go mieć na głowie, ponieważ w momencie, gdy wjeżdżasz na jakąkolwiek drogę, twój mózg może mieć znaczenie dla ciebie w przyszłości – mówi zbulwersowana Anna Mucha. Biorąc pod uwagę to, dla kogo Anna Mucha może być autorytetem, powinna raczej użyć argumentu, że kask ratuje życie, gdy mamy „bad hair day”. Założymy się, że wtedy pomysł noszenia kasku spotkałby się z dużo większym entuzjazmem.

NOWA WIELKA MIŁOŚĆ

Monika Richardson dopiero co rozstała się ze Zbigniewem Zamachowskim, a już znów jest zakochana! Jej wybrankiem jest przedsiębiorca Konrad Wojterkowski, z którym robiła wywiad i tak im się dobrze rozmawiało, że postanowili spotykać się dalej. I tak od słowa do słowa pan Konrad poinformował świat, że „bardzo się polubiliśmy i lubimy do dzisiaj, a że oboje byliśmy sami, to postanowiliśmy pobyć nieco



dłużej niż tylko na wieczorne rozmowy”. Wyznał też, że „życie jest za krótkie, żeby marnować je na bycie samotną matką czy samotnym ojcem, więc jesteśmy razem”. Dociekliwy tabloid „Super Express” postanowił sprawdzić, co na to wyznanie odpowie sama Monika. – To bardzo świeże uczucie. Nic jeszcze nie umiem powiedzieć. Dopiero się poznajemy... Tak, serce zabiło mocniej. Ale nie chcę mówić więcej – powiedziała tajemniczo. Jak się nie chce mówić więcej tabloidom, to się nie odbiera od nich telefonów. To tak na przyszłość, pani Moniko. Proszę nie dziękować. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trudno nam utrzymać łązy wzruszenia, iż mamy właśnie w ręku EU Digital COVID Certification (pol. Unijny Certyfikat COVID) i czujemy się częścią i uczestnikami naszej wielkiej europejskiej wspólnoty.

Od razu widać, iż mamy do czynienia z dokumentem na poziomie europej-

na prawa osób LGBT+, prawa do wyboru, stosunek do Donalda Trumpa i diety wegańskiej, iżby każdy kontroler od razu wiedział, że ma do czynienia z młodą osobą na europejskim poziomie.

Jednak i tak jesteśmy pod wrażeniem, iż dzięki temu będziemy mogli pojechać na Zachód, by odetchnąć Europą po tak długim czasie siedzenia w tym kraju.

są istotami żywymi, to oznacza to, że jako całość są niewiegepozytywne.

To jest po prostu straszne, jak bardzo mięsożerność jest zakorzeniona nawet wśród najdrobniejszych organizmów, a co więcej – ile jednak pracy nas czeka, aby to wyeliminować. Na początek, zdawszy sobie sprawę z tego zjawiska, przestajemy przyjmować probiotyki, iż to nic innego jak pożeranie osobobakterii, a przykład musi przecież przyjść z góry.

*Każdy grosz zarobiony przez Beagę Sydlę
w PE, to grosz niezarobiony przez nas!*



Ł + Y) Z T O N A X E C E J Z E Ł

skim, iż wśród podanych w nim informacji nie ma ani słowa na temat płci. Czujemy się więc przede wszystkim osobami i nie będziemy musieli podczas kontroli zastanawiać się, czy nasza dzisiejsza tożsamość jest zgodna z tym, co w dokumencie napisano.

Brakuje nam co prawda kilku pozytywnych informacji w rodzaju: poglądy

W ramach naszych zainteresowań i misji dotyczącej promocji diety wegetariańskiej i wegańskiej w środowisku osobozwierząt natknęliśmy się na informację, iż istnieją tzw. bakteriofagi.

Są to po prostu bakterie, które żywią się innymi bakteriami. A skoro bakterie

Za nami kolejny długi weekend. Niestety bardzo mocno naznaczony przez churching, iż przez cały kraj przetoczyły się procesje z okazji Bożego Ciała, które naruszały naszą przestrzeń publiczną oraz prywatną, a także naruszały prawo do braku religii w przestrzeni publicznej.

Poza tym musimy głośno zapytać: Kto zezwolił na to, aby w czasie pandemii ludzie tak po prostu mogli koło siebie chodzić? Przecież to skrajnie nieodpowiedzialne, a Bóg jest wszędzie. Po co więc chodzić do kościoła albo w jakichś procesjach?!!

Zwłaszcza że – jak wspomnieliśmy – widok procesji przeszkadzał nam w drodze do pubu, teatru lub restauracji, gdzie chcieliśmy się wyluzować, a zamiast tego po drodze tylko złapaliśmy traumę. Dzięki, Polsko, wiesz? @@



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:**

FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Całuj mnie

No to, panie Pawle, dogadał się pan z prezesem, tak?

Tak, nie, nie wiem, panie... Zaraz, jak pan ma na imię... Leon? Wacław?

Ryszard. Przecież ja jestem wice-marszałkiem.

A tak, faktycznie, przepraszam, ja ostro zakręcony jestem dzisiaj,

Ryszard, jasne, cześć, Rychu!

Cześć...

Nie wiem, nie wiem, rozmawialiśmy z Jarkiem, coś tam nawet chyba podpisywałem, ale nie jestem pewien, bo to mógł być kwit z pralni albo rachunek z hotelu, nie pamiętam, ale rozmowa dobra była, dobra.

Jarek mówił, że pan... że podpisałeś...

Jak mówił, to pewnie tak, słuchaj, my tam wtedy nawet śpiewaliśmy

razem, „Marynę” śpiewaliśmy. Jarek zna, ty znasz?

Nie jestem pewien, ale ja chciałem w kwestii głosowania piętnaste-go...

„Maryna, chcę ciebie i już, dziewczyno, ostra jak nóż”... No czego nie śpiewasz? Śpiewaj!

Głosowanie! Piętnastego!

„A ty całuj mnie, to taka piękna gra...”

To ja lepiej przyjdę jutro. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mentalnie, emocjonalnie, życiowo jestem gotowy podjąć każdą decyzję, żeby pomóc odwrócić niebezpieczny dla Polski bieg zdarzeń”.

DONALD TUSK, były premier, były przewodniczący Rady Europejskiej, podczas wywiadu w TVN24

Jak Polska długa i szeroka, widać już skutki umowy PiS z Kukizem. Chodzi o planowaną ustawę antykorupcyjną. Rozpalonym żelazem będzie ona wypalać możliwość łączenia stanowisk politycznych oraz stanowisk w spółkach i spółeczkach – także dla członków rodziny. Zobaczycie wkrótce wiele nowych twarzy w polityce. Stare twarze wybierają obecnie między przyszłą polityką a przyszłą kasą. I często jest to kasa.

My w politykę nie idziemy, więc nie mamy się czym przejmować, ale zacieramy ręce, czekając na spektakl. Jak wiadomo bowiem, wszystko, co wymyśli PiS, jest złe. Liczymy zatem na mnóstwo smakowitych argumentów podczas debaty nad ustawą antykorupcyjną w Sejmie. Eine Totalopposition próbująca wykazać, że korupcja jest w sumie dobra, a nowa ustawa łamie prawa człowieka, polityka oraz praworządność i konstytucję – ech, to będzie piękne...

Ciekawe wieści na temat Polskiego Ładu. Napłynęły one z okolic władarzy miast, znaczy tych dużych, które są filarami Eine Totalopposition. Otóż władarze są w głębokiej depresji. Uważają bowiem, że PiS ogłoszonym niedawno Polskim Ładem pozamiatał scenę polityczną tak dokładnie, że w kieszeni ma wygraną w wyborach nie tylko za dwa lata, ale może i za sześć lat. Chcielibyśmy współczuć, ale jakoś nie potrafimy.

Niektórzy władarze zamiast załamywać ręce, postanowili dogadać się z diabłem. Na przykład Jacek Jaśkowski w Poznaniu zgodził się na nazwanie miejskiego skweru imieniem Marii i Lecha Kaczyńskich, co skrajnie rozsierdziło lokalną PeŁo. Jacek jednak wie, co robi. Deal z PiS jest taki, że on wykaże zrozumienie dla patriotyzmu i pozwoli też na wymarzony przez lokalną prawicę pomnik Wdzięczności, a PiS przestanie mu blokować parę inwestycji. Jak mówią wiewiórki, architektem porozumienia jest Jadzia Emilewicz. A najgłośniej protestował Szynkowski vel Sęk.

Za nami Dzień Dziecka. Z tej okazji informujemy, że po korytarzach Zgmaczu przy al. Szucha (nie chodzi o byłą siedzibę gestapo, lecz budynek obok, czyli MSZ) snuje się niejaki Edmund Janniger. Przerażeni starzy

pracownicy dyplomacji zapytują się, czy 25-latek to kandydat Antoniego Macierewicza na jakiegoś ambasadora. Uspokajamy – nie. Ale czy nie na konsula? Tego już nie możemy zdementować.

Ogólnie rzecz biorąc, jest całkiem spora grupa dyplomatów, którzy bardziej cenią sobie bycie konsułami generalnymi niż ambasadorami. I nawet to rozumiemy. W takiej Turcji też wolelibyśmy rezydować w Istambule niż w nudnej Ankarze, zaś w Hiszpanii bardziej cenimy sobie Barcelonę niż Madryt. Waszyngton wydaje nam się znacznie nudniejszy niż Nowy Jork czy Miami. Ale jak już wcześniej zaznaczaliśmy, do polityki nie idziemy.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZINSKI

Niejaki Dziubka z Onetu ogłosił, że senator Staszek Gawłowski, dawna gwiazda PeŁo, jest najprawdopodobniej niewinny, bo jeden z głównych świadków i podejrzanych w aferze melioracyjnej zmienił zeznania. Jest z tym info pewien kłopot. Ów świadek i podejrzany, zwany Mieszkiem, dostał ostatnio robotę w firmie nadzorowanej przez niejakiego Olgierda Geblewicza, marszałka województwa zachodniopomorskiego. Jest to prywatnie dobry znajomy Gawłowskiego. Firma zaś, którą nadzoruje, nazywa się

Zachodniopomorski Zarząd Dróg Wojewódzkich i dziwnym trafem ma siedzibę w ukochanym mieście Gawłowskiego – Koszalinie. Jeszcze jakieś pytania?

Polityka i literatura. Kto nie czytał jeszcze wiekopomnego dzieła poetyckiego Lecha Wałęsy, ten powinien. To jeszcze lepsze niż wiersze Bronisława Komorowskiego. „Stałeś się człowiekiem sławnym / w kraju, związkowcem wytrawnym” oraz „Nobel trafił w twe ręce / Gdy Ty pokojowo walczyłeś w męce” to tylko przedsmak wrażeń. Dopisujemy brakującą część: „W brzuchu nieraz kłuła Go nerwowa kolka / gdyż się bał ujawnień akt od TW »Bolka«”.

Po powyższym doświadczeniu sądzimy, że jedynie poezja może ujawnić stan ducha Rafcia Trzaskowskiego w związku z odbudową Pałacu Saskiego. Rafcio, jak wiadomo, tej odbudowy nie chce. Ale lubi lotniska budowane w Berlinie. Stawiamy zatem dolary przeciw orzechom, że kiedy przychodzi do hymnu, to Rafcio śpiewa: „Co nam obca przemoc wzięła, za to dziękujemy!”.

Niektórzy w PiS boczą się na Lidkę Staroń, kandydatkę na rzecznika praw obywatelskich. Nie mogą jej wybaczyć, że wstrzymała się podczas głosowania nad Bartłomiejem Wróblewskim, czyli poprzednim kandydatem. Głupia sprawa – Lidka już wcześniej miała info z PiS, że to ona będzie kolejną kandydatką. A nawet, że będzie bardziej wiarygodna, jeśli nie poprze Bartłomieja.

Tymczasem dotarli do nas interesujące plotki na temat samego minionego kandydata Wróbla vel Wróblewskiego. Wiewiórka z Peezelu opowiada, że Bartłomiej Wróblewski rzeczywiście miał obiecany głos senatora Jana Filipa Libickiego. Do czasu. A dokładnie do chwili, kiedy spotkał się z Libickim, aby porozmawiać o sensie życia, polityce i przyszłości. „Dwie i pół godziny rozmowy wystarczyły – opowiada nam wiewiórka – żeby Janek zmienił zdanie”.

Rysiek Petru wrócił. W niepodrabialnym stylu. Pytany o finanse Nowoczesnej Kropki stwierdził: „Tak długo, jak byłem szefem partii, sponałem kredyt, mogę powiedzieć z nadwiązką”. Domyślamy, że zaciągał kredyt z podwiązką. ©©



FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORÓW

Wydarzenie bez precedensu – tak można opisać nową inicjatywę, za którą stoi wiele organizacji pozarządowych. W ciągu sześciu kolejnych dni odbędą się transmitowane w sieci konferencje tematyczne, poświęcone społecznej ocenie polityki lockdownów i obostrzeń, którą rząd realizuje pod hasłem walki z COVID-19.

Sześć dni kongresu, podczas których wystąpi ponad 50 naukowców, publicystów i dziennikarzy, poświęcono sześciu zagadnieniom kluczowym dla funkcjonowania społeczeństwa z konserwatywnej i wolnościowej perspektywy. Tydzień Życia i Wolności w poniedziałek 7 czerwca zainauguruje panel #Kościoł, w którym udział wezmą m.in. ks. prof. Tadeusz Guz, ks. prof. Paweł Bortkiewicz, prof. Marek Kornat i Sławomir Skiba.

Już we wtorek 8 czerwca odbędzie się natomiast panel #Edukacja z udziałem m.in. kurator Barbary Nowak i prof. Andrzeja Waśki. Te dwa pierwsze wydarzenia odbędą się w Krakowie.

Od środy 9 czerwca Tydzień Życia i Wolności gościć

Startuje Tydzień Życia i Wolności

Czy musimy składać nasze prawa i wolności na ołtarzu bezpieczeństwa? Co się stało z gospodarką, ze służbą zdrowia, z edukacją i Kościołem? Odważnych odpowiedzi nie zabraknie podczas Tygodnia Życia i Wolności, który odbędzie się w dniach 7–12 czerwca 2021 r.

będzie w Warszawie. Ten dzień poświęcony ma być #Gospodarcie. Głos zabiorą m.in. Arkadiusz Stelmach, dr Andrzej Sadowski i Łukasz Warzecha. Z kolei w czwartek 10 czerwca w panelu #Prawa i Wolności z udziałem wielu znanych nazwisk odbędzie się m.in. debata o prawach i wolnościach obywatelskich w dobie koronawirusa, w której głos zabiorą m.in. red. Paweł Lisicki i Witold Gadowski.

Najwięcej emocji i zarazem kontrowersji może wzbudzić panel #Zdrowie, który zapla-

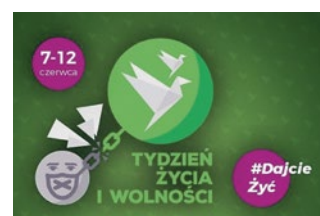
nowano na piątek 11 czerwca. Podczas niego dojdzie do debaty o społecznych i medycznych skutkach działań kryzysowych, które rząd Zjednoczonej Prawicy podjął pod sztandarem walki z COVID-19, z udziałem m.in. dr. Pawła Basiukiewicza, dr. Zbigniewa Hałata, prof. Kornelii Polok i Jana Pospieszalskiego.

Tydzień Życia i Wolności powróci do Krakowa w sobotę 12 czerwca. Dzień ten przebiegnie pod hasłem #Pro-Life. W debacie na temat obrony życia udział wezmą m.in. Agnieszka Borkiewicz,

Karolina Pawłowska, Krystyna Różańska-Gorgolewska i dr Bawer Aondo-Akaa.

Organizatorami Tygodnia Życia i Wolności są Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi oraz Stowarzyszenie „Polonia Christiana”. Partnerami wydarzenia są: Centrum im. Adama Smitha, Warsaw Enterprise Institute, Stowarzyszenie „Fidei Defensor”, Instytut Ordo Iuris, Młodzież Wszechpolska, Centrum Życia i Rodziny, Fundacja Pro – Prawo do życia, Fundacja Życie i Rodzina, Fundacja Koliber oraz Towarzystwo na rzecz Rozwoju i Inicjatyw Społecznych. Nasza redakcja sprawuje nad kongresem patronat medialny. Całość wydarzenia będzie transmitowana przez PCh24 TV. ©

Tomasz Kolanek





PREMIER MORAWIECKI: POLSKĘ STAĆ NA ODBUDOWĘ NASZYCH NAJWSPANIALSZYCH OBIEKTÓW I PAMIĄTEK Z PRZESZŁOŚCI

Pałac Saski został z premedytacją wysadzony w powietrze przez barbarzyńskich niemieckich okupantów po upadku powstania warszawskiego w grudniu 1944 r. Ocalały jedynie fragmenty kolumnady z Grobem Nieznanego Żołnierza.

Odbudowa Pałacu Saskiego jest według rządu „kwestią polskiej tożsamości, dziedzictwa kulturowego i historycznego”. „Polskę stać na odbudowę naszych najwspanialszych obiektów i pamiątek z przeszłości – zauważył

premier Mateusz Morawiecki w piątkowym »Fakcie«. – Jego odbudowa to wyraz odbudowy pamięci i ciągłości naszego państwa, na który Polska powinna się już dawno zdobyć. Myślę, że wszyscy Polacy będą dumni z tego, jak to miejsce będzie wyglądać za kilka lat” – podkreślił szef polskiego rządu.

Do końca czerwca ma powstać projekt ustawy o odbudowie Pałacu Saskiego. Zapowiedziana przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego inwestycja ma

być flagowym elementem ogłoszonego w maju Polskiego Ładu, w którego skład poza elementami społecznymi i gospodarczymi wchodzi również program rozbudowy polskich muzeów i obiektów historycznych.

Koszt rekonstrukcji szacowany jest na ok. 1,5 mld zł. Prezes PiS Jarosław Kaczyński zauważył, że za odbudowę Pałacu Saskiego powinny zapłacić Niemcy w ramach reparacji wojennych.

(jap) ©

FOT. MATERIAŁY PRASOWE SKONCEPT





Leszek Żebrowski

Sensacyjna i sławiona w książkach akcja Żydówki – wysadzenie podczas drugiej wojny światowej niemieckiego pociągu pod Wilnem – prawdopodobnie jest fikcją. To dlaczego się ją wciąż powtarza?

Nie sposób też nie czytać książki „Światła dni” i postrzegać jej jako najgorszego koszmaru obecnego polskiego rządu w świetle jego [...] rewizjonistycznego stanowiska co do roli, jaką odegrali jego obywatele w II wojnie światowej.

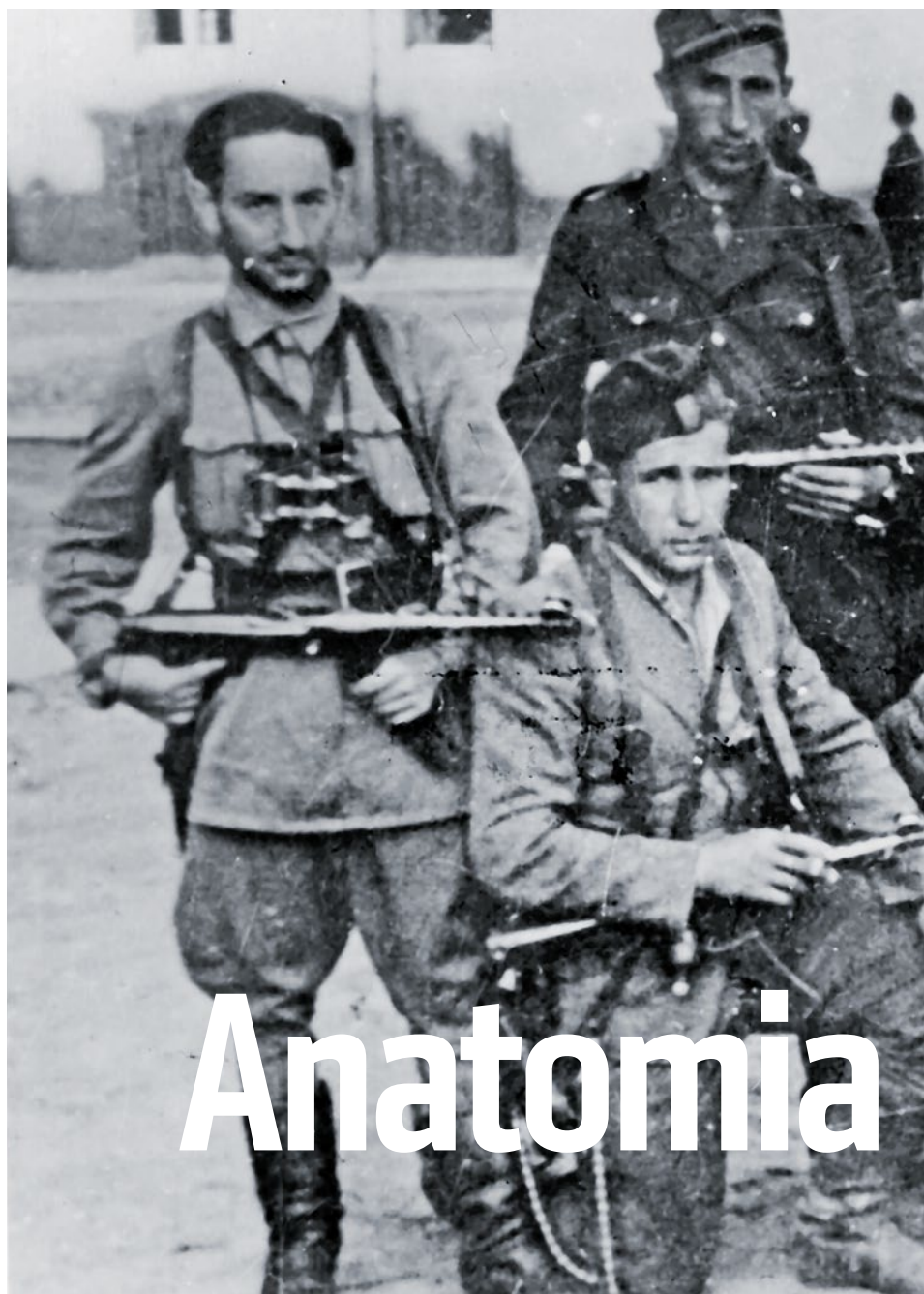
Adrian Hennigan, „Haaretz”, 6 kwietnia 2021 r.

Judy Batalion w swej książce „The Light of Days. The Untold Story of Women Resistance Fighters in Hitler’s Ghettos” (New York, 2021) opisuje sensacyjne przygody Żydówek pod okupacją niemiecką. Autorka zbiera same entuzjastyczne recenzje w czołowych gazetach świata, głównie o profilu lewicowym: „New York Times” i izraelski „Haaretz”. Recenzenci zachwycają się żeńskimi postaciami „superbohaterek” i chwalą dogłębne oraz skrupulatne badania autorki. Niniejszy artykuł jest znacznie mniej entuzjastyczny. Badania autorki są bowiem żenujące, a sama książka nie przedstawia żadnej wartości naukowej.

Jedną z najbardziej sensacyjnych opowieści dotyczy wysadzenia niemieckiego pociągu pod Wilnem w połowie 1942 r. przez podziemie żydowskie z getta wileńskiego. W historiografii żydowskiej funkcjonuje już kilka wersji tej historii. Najbardziej spektakularną z nich podaje właśnie Judy Batalion. Autorka, która szczyty się doktoratem z historii... sztuki (University of London), powtarza wersję już wcześniej rozpowszechnioną przez amerykańskiego żurnalistę Richa Cohena w książce „The Avengers”, wydanej w 2000 r. Jest to wersja maksimum. Autorka wpakowała do niej, ile się dało.

WERSJA MAKSYMUM

W lipcu 1942 r. (brak dokładnej daty) Witka Kempner została wysłana przez Abbę Kownera, zastępcę komendanta Farejnikte Partizaner-Organizacje (FPO) – Zjednoczonej Organizacji Partyzanckiej – w getcie wileńskim, aby przeprowadzić



pierwszą akcję sabotażową tej organizacji: wysadzenia pociągu załadowanego niemieckimi żołnierzami i bronią w drodze na front. Witka wyszła z getta wieczorem z miną skonstruowaną przez Kownera na podstawie jakiegoś fińskiego pisemka, znalezione przez Rużkę Korczak, oraz detonatorem w towarzystwie „dwu chłopców i dziewczynki” (ich nazwisk nie podano). Dotarli do poprzednio wybranego przez Witkę nieokreślonego miejsca. Założyli sprzęt wybuchowy na szyny i czekali, aż nadjedzie pociąg. Kiedy nadjechał, doszło do gigantycznej

eksplozji, która wykoleiła wagony. Witce to nie wystarczyło: jeszcze podbiegła do pociągu i rzucała granaty wzdłuż wagonów. Niemcy zaczęli do niej strzelać, ale trafili tylko w dziewczynkę, zabijając ją. Sabotażyści wrócili do getta nad ranem.

Zadanie wypełnione – pierwsza akcja sabotażu na kolei w całej okupowanej Europie! Prasa konspiracyjna (nazwy nie podano, ale chyba polska, chętnie się cudzym osiągnięciem) podała, że to dzieło polskiego podziemia, zabito ponad 200 niemieckich żołnierzy. W odwecie SS w najbliższej miejscowości (nazwy też nie



Partyzanci FPO w dniu wyzwolenia Wilna, 13 kwietnia 1944 r. Pierwsza z prawej: Witka Kempner, która rzekomo dokonała wielkiego zamachu na niemiecki pociąg

FOT. YAD VASHEM

jednej manipulacji

podano) zabiło 60 chłopów. Żydowskie podziemie osiągnęło więc dodatkowy cel: aby podejrzenie o wysadzenie pociągu oraz spodziewany odwet czasami nie spadły na Żydów. Nawet dla nienaukowca historia ta brzmi mało prawdopodobnie. Należałoby ją dogłębnie sprawdzić, a nie po prostu afirmować à la Gross.

CO ROBIĆ Z RÓŻNYMI WERSJAMI?

Różne wersje tej historii są w obiegu już od czasu wojny. Wszystkie pochodzą od osób związanych z FPO. Judy Batalion ich nie cytuje, nie konfrontuje, prawdo-

podobnie najważniejszych nawet nie zna. Przyznaje jednak, że „szczegóły” się różnią – ma się rozumieć nieistotnie, nie precyzując dlaczego. Sama data tego wydarzenia jest dość płynna – od maja do lipca 1942 r., choć najczęściej podawany jest 8 lipca. Miejsce wysadzenia pociągu też nie jest dokładnie znane – oddalone od Wilna 8 lub 15 km (czasami mil) w kierunku Nowej Wilejki.

Dwaj mężczyźni, którzy mieli brać udział w akcji wraz z Witką Kempner, są zidentyfikowani: Iza (Itzke, Itzhak) Matskevich (Mackiewicz) i Moshe Brause

(Brauze). Według Witki Kempner Mackiewicz był policjantem w getcie. Według Isaaca Kowalskiego, związanego z FPO, Mackiewicz pracował na kolei, udając Tatara, a Brause miał ukończyć Litewską Akademię Wojskową i zostać kapitanem w wojsku litewskim.

O dziewczynce, która rzekomo zginęła w tej akcji, nic nie wiemy, bo oprócz Witki nikt o niej nie wspomina. Czemu nie znamy jej imienia? Czemu nie urosła do rangi męczenniczki? W innych wersjach brakuje również opisu wrzucania granatów do wagonów przez Witkę, co miało wywołać

■ strzelaninę. O rekonesansie w sprawie rozkładu jazdy pociągów jest niewiele. Czy rzeczywiście Abba Kowner zbudował minę na podstawie jakiejś instrukcji w fińskim piśmku? Inne wersje temu przeczą.

PIERWSZA AKCJA KOLEJOWA W CAŁEJ OKUPOWANEJ EUROPIE?

Zanim przejdziemy do kolejnych relacji, zwróćmy uwagę na kuriozalną wypowiedź Abby Kownera, który chciał podkreślić unikalność akcji żydowskiego podziemia na tle okupacji niemieckiej.

Podczas rozprawy Adolfa Eichmanna w 1961 r. Kowner twierdził, że na całej Litwie „żaden inny pociąg nie został wysadzony ani przez Polaków, ani przez Litwinów, ani przez Rosjan, ale wysadziła go Żydówka”. Miał na myśli Witkę Kempner, z którą po wojnie się ożenił. Według zaś Richa Cohena – oraz za nim Judy Batalion – była to pierwsza taka akcja w całej Europie! Czysta mitologia.

Lista polskich akcji sabotażowych, poczynając od 1939 r., jest dość długa (zob. np. „Dyweryja kolejowa na polskich torach w czasie II wojny światowej”, <http://www.archeo.kolej.pl/maron/dyweryja/dyweryja.htm>). 26 czerwca 1942 r. przy torach kolejowych obok stacji Kraków-Płaszów powieszono siedmiu Polaków, kolejarzy, w odwecie za wykołowanie pociągu wojskowego. Egzekucję Polaków wykonał na polecenie Niemców oddział żydowskiej policji z pobliskiego getta.

Akcja wykołowania dwóch pociągów wykonana przez francuskie podziemie komunistyczne koło Moulton-Argences w pobliżu miasta Caen 16 i 30 kwietnia 1942 r. spowodowała śmierć 38 żołnierzy niemieckich, było ponad 40 rannych. Wywołało to okrutny odwet Niemców („Le double déraillement de Moulton-Argences et les otages du Calvados”, <https://politique-auschwitz.blogspot.com/2010/05/le-double-deraillement-de-moulton-argence.html>).

A na terenie Litwy według meldunku niemieckiego: „19 lutego [1942 r.] linia Pabrade – Pazimena [Podbrodzie – Pohulanka] została wykonana akcja sabotażowa przez odkręcenie śrub z torów kolejowych. 10 polskich pracowników kolei zostało zatrzymanych jako podejrzanych o popełnienie przestępstwa” (Ereignismeldung UdSSR nr 172 z 23 lutego 1942 r.).

Według kolejnego meldunku niemieckiego: „W dniu 21.5.1942 wykołoił się przed stacją Kalnenai pusty pociąg sanitarny, przy czym jeden kolejarz

został ciężko ranny, a 7 wagonów zostało całkowicie zniszczonych. Przyczyną było to, że szyny na odcinku około 50 metrów zostały odkręcone od podkładów”. Stacja Kalnenai oddalona jest 20 km na wschód od Kowna, a 70 km na zachód od Wilna („Meldungen aus den besetzten Ostgebieten” nr 6 z 5 czerwca 1942 r.).

Tak właśnie wygląda skłonność do konfabulacji u Cohena czy Batalion.

WERSJA PIERWOTNA AKCJI PODWILEŃSKIEJ

Najwcześniejszą znaną relacją o wysadzeniu pociągu pod Wilnem przez FPO napisał w 1944 r. Abraham Sutzkever (Suckewer), członek podziemia żydowskiego. Ukazała się w „Czarnej księdze”, skompilowanej przez sowieckich propagandystów wojennych, Ilię Ehrenburga i Wasilija Grossmana. O jakości relacji zamieszczonych w tej księdze będzie mowa później. Wersja Sutzkevera różni się znacznie od podanej przez Judy Batalion.

Według Sutzkevera wysadzenie pociągu miało miejsce w maju 1942 r. (data niesprecyzowana). Decyzję w tej sprawie podjął Icchak Wittenberg, komendant FPO, w obecności Sutzkevera. Wywiad dowiedział się, że transporty będą szły przez Nową Wilejkę następnego dnia nocą. Zadanie zrobienia miny oddano Boruchowi Goldsteinowi, „ekspertowi od produkowania broni”. Do misji przydzielono Mackiewicz, Brausego oraz Witkę Kempner. Brause wyszedł z getta rano z grupą pracowników. Już czekał na miejscu z miną, gdy nocą przybyli Mackiewicz i Witka. Mackiewicz wraz z Witką umieścili minę pod szynami. Kiedy grupa sabotażystów oddaliła się i znalazła schronienie w lesie, mina wybuchła. Nie ma tu mowy o rzucaniu granatów do wagonów lub strzelaninie.

Sutzkever twierdzi, że eksplozja spowodowała zniszczenie 12 wagonów. Od miejscowych chłopów, którym kazano pozbierać trupy, dowiedzieli się, że zginęło 200 Niemców. Ani słowa o jakimś odwecie. Wersja Sutzkevera przyjęta jest przez historyków Holokaustu bez zastrzeżeń i bez weryfikacji. Powołał się na nią litewski historyk Arūnas Bubnys w tomie 16 publikacji IPN „Pamięć i Sprawiedliwość” z 2010 r. Judy Batalion o tej relacji jednak nie wspomina.

KOLEJNE WERSJE – JAK TO WSZYSTKO POGODZIĆ?

W wydanej w Paryżu w 1948 r. książce „Yeruschalayim D’Lita in kamf un um-

kum” dr Meir (Mark) Dworzecki, także członek podziemia żydowskiego, podał, że akcja miała miejsce w lipcu 1942 r. (bez dokładnej daty). Według Dworzeckiego „zniszczeniu uległa lokomotywa i wagony z bronią; zostało zabitych i poranionych wielu Niemców... Po tym zdarzeniu zostało aresztowanych kilkuset chłopów z okolicy. Szukano wśród nich polskich partyzantów, uznając, że to oni są winni zamachu”.

Wymieniony już Isaac Kowalski, który wydawał pisma podziemne w getcie wileńskim, napisał w książce wydanej w 1969 r. „A Secret Press in Nazi Europe. The Story of a Jewish United Partisan Organization”, że w eksplozji pociągu zostało zabitych ponad 200 żołnierzy niemieckich, a liczba rannych była jeszcze wyższa. Czyli mamy już ponad 400 ofiar tej akcji. Zniszczono „tuziny wagonów”. Co ciekawe, Kowalski nie twierdzi, że o tej akcji informowała podziemna prasa, lecz dowiedział się o niej od żydowskiego zwiadowcy, który z kolei dowiedział się od miejscowych chłopów.

W swym pamiętniku, wydanym w 1977 r. w tłumaczeniu rosyjskim („Plamia nad piepłom”), Rużka Korczak, bliska przyjaciółka Witki (razem sypiały w jednym łóżku z Kownerem, on pośrodku), twierdzi, że instrukcje do zrobienia miny znaleźli w sowieckiej broszurze wojskowej (podręczniku przeznaczonym dla dowódców) przesyłanej do getta, a nie w jakimś fińskim piśmku, jak podaje Judy Batalion (kto by tam to przeczytał po fińsku?). Rużka twierdzi, że Witka wyszła z getta 8 lipca o wschodzie słońca, razem z Mackiewiczem i Brausem. Umieścili minę w oddalonym o 7 km od Wilna miejscu, nikt ich nie zauważył i wrócili do getta następnego ranka. Wówczas wciąż nie było wiadomo, czy akcja się udała. „O trzeciej po południu nadeszła wiadomość: nastąpiła eksplozja, niemiecki pociąg został zniszczony. Powracający z pracy Żydzi mówią: niedaleko Nowej Wilejki niemiecki pociąg wpadł na minę i zjechał ze zbocza. Zniszczone lokomotywy i wagony z amunicją, [...] Niemcy wzmacniają ochronę linii kolejowych, aresztując trzystu chłopów ze wsi w pobliżu miejsca sabotażu. Polacy są przekonani, że to dzieło ich rodaków, partyzantów, którym to się udało. Z dumą mówią Żydom: widzisz, co mają na myśli polscy partyzanci – tuż pod samym nosem Niemców i nie boją się. [...] Wieczorem tego samego dnia,



Egzekucja siedmiu osób za wykołajenie pociągu, 26 lipca 1942 r., okolice stacji Płaszów-Prokocim FOT. WIKIPEDIA

8 [sic!] lipca, zorganizowaliśmy uroczystość. Centrala zaprosiła przedstawicieli wszystkich ruchów tworzących FPO". O stratach wśród żołnierzy niemieckich – cisza.

Relacje Witki Kempner wprowadzają nas w coraz głębszy zamęt. W 1987 r. Witka twierdziła, że z getta wyszła na misję z policjantem, czyli z Itzke Mackiewiczem. O godzinie wpół do pierwszej zostawili „bombę” przy szynach i szybko uciekli. Nadjechał pociąg i nastąpił wybuch, który usłyszeli z dala. W relacji ustnej w 1996 r. Kempner twierdziła, że Niemcy zabili w odwecie wielu Polaków, sądząc, że to oni wysadzili pociąg. W 2001 r. Witka wciąż twierdziła, że oprócz niej jedynie Mackiewicz brał udział w akcji. Dowiedziała się „z gazet”, że wagony zostały bardzo uszkodzone i zginęło „kilku” żołnierzy. Niemcy jednak wzięli odwet i zabili wszystkich mieszkańców pobliskiego polskiego miasta. Tymczasem w relacji spisanej przed 1981 r. Abba Kowner podał datę wysadzenia pociągu na 8 czerwca. Jak to wszystko pogodzić?

HISTORYCY POWŚCIĄGLIWI

Co na to naukowcy? Przecież czerpią z tych samych źródeł: relacji członków żydowskiego podziemia. Historycy żydowscy zwykle podają zwięzły opis akcji podwileńskiej, pomijając najbardziej spektakularne aspekty. Nie wchodzi w szczegóły, nie tłumaczą, dlaczego pomijają ogromne straty niemieckie podawane przez „świadków”. Może po prostu, podając wersję „skróconą”, nie chcą się ośmieszyć?

Yitzhak Arad, były dyrektor Yad Vashem, przyjmując datę 8 lipca i uznaje udział trzech członków FPO – Witki Kempner i dwóch osób niezidentyfikowanych – w akcji wysadzenia pociągu pod Wilnem. Twierdzi, że pociąg

z amunicją wysadzony został dopiero po powrocie sabotażystów do getta nad ranem. Eksplozja miała zniszczyć lokomotywę oraz kilka wagonów. W ogóle nie wspomina o stratach wśród żołnierzy. Niemcy aresztowali chłopów w okolicy, lecz brak informacji o ich losie. Miał to być pierwszy pociąg wysadzony w okolicach Wilna (Yitzhak Arad, „Ghetto in Flames. The Struggle and Destruction of the Jews in Vilna in the Holocaust”).

Z kolei socjolog Nechama Tec podaje, że latem 1942 r. dwie kobiety [sic!] z getta wileńskiego – Witka Kempner oraz Izia Mackiewicz – podjęły się zaminowania torów kolejowych koło Wilejki. Wykolejono i zniszczono lokomotywę oraz kilka wagonów z bronią. Tec także nie wspomina o stratach wśród żołnierzy ani o odwecie na pobliskiej ludności (Nechama Tec, „Resilience and Courage. Women, Men, and the Holocaust”). Podobnie Dina Porat, główny historyk z Yad Vashem, nie wspomina o stratach wśród żołnierzy ani o odwecie na miejscowej ludności. Według Porat „8 czerwca 1942 r. [Witka] ponownie wyszła [z getta] (tym razem z dwoma członkami FPO), pociąg został wysadzony w powietrze i uciekli z powrotem do getta” (Dina Porat, „The Fall of a Sparrow. The Life and Times of Abba Kovner”).

Portal United States Holocaust Memorial Museum podaje lakonicznie: „Witka była odpowiedzialna za pierwszy akt sabotażu FPO, przemycenie domowej roboty bomby z getta i wysadzenie nazistowskiej linii kolejowej”.

PRÓBA WERYFIKACJI

Kiedy, gdzie i jak dokładnie wydarzenie to miało miejsce – nie jest całkiem jasne. Jeśli rzeczywiście zdarzyło się wykołajenie pociągu pod Wilnem w tym okresie, to rozmiar katastrofy był zapewne znacznie mniejszy, aniżeli podaje Judy Batalion. Bardziej fundamentalne pyta-

nie brzmi: Czy to wysadzenie pociągu w ogóle się wydarzyło?

Kroniki napisane wówczas przez naukowców żydowskich w getcie wileńskim nie wspominają o wysadzeniu pociągu pod Wilnem i ogromnych stratach wśród Niemców. Ani Zelig Kalmanovitch („A Diary from the Ghetto in Nazi Vilna”), ani Herman Kruk („The Last Days of the Jerusalem of Lithuania. Chronicles of the Vilna Ghetto and the Camps, 1939–1945”) w ogóle nie zauważyli tej spektakularnej akcji – rzekomo opisaną w prasie podziemnej. Jak mogli ją przeoczyć? Piszac dla przyszłych pokoleń, czemuż mieliby milczeć? Herman Kruk, który miał styczność z FPO, wspominał pod datą 4 lipca 1942 r. o masowych niemieckich odwetach na Polakach w Okienkach (oddalonych 55 km od Wilna), a pod datą 11 lipca 1942 r. o wysadzeniu pociągu w okolicach Podbródzia (oddalonego ok. 40 km od Wilna).

Polscy historycy zajmujący się okupowaną Wileńszczyzną (np. Jarosław Wołkonowski, Henryk Piskunowicz, Maria Wardzyńska, Longin Tomaszewski) nie wspominają o takiej akcji ani o odwecie na Polakach, choć podają informacje o innych akcjach kolejowych. O odwecie niemieckim – masowej egzekucji miejscowej ludności – nie słyszeli też historycy z Nowej Wilejki (Tomasz Bożerocki, Albert Wołk, „Nowa Wilejka. W świetle dokumentów wileńskich archiwów oraz we wspomnieniach”, Wilno 2021). Prasa konspiracyjna wileńskiej AK („Niepodległość”) oraz raporty wywiadowcze AK („Korweta». Referat 999 Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II Komendy Głównej Armii Krajowej. Raporty XII 1941–V 1943”, Warszawa 2020) również milczą na ten temat, choć zawierają informacje o innych wykołajeniach w owym okresie. Zresztą czym AK miałaby się szczycić? Egzekucją 60 Polaków? Czyżby panowała zatem zмова milczenia wokół heroicznej akcji żydowskich bojowców?

Wobec wszechpanującej ciszy wszelkie wątpliwości definitywnie rozstrzygają niemieckie meldunki z tego terenu. Nawet nie trzeba ich szukać w archiwach, ponieważ są one opublikowane i łatwo dostępne („Deutsche Berichte aus dem Osten 1942–1943. Dokumente der Einsatzgruppen in der Sowjetunion. Band III”). Nie ma w nich śladu wysadzenia pociągu pod Wilnem w owym okresie, lecz zawierają np. informacje

o wspomnianym poprzednio zamachu kolejowym w Kalnénai w maju 1942 r. Jest wręcz nieprawdopodobne, aby nie uwzględniono akcji o tak wielkiej skali.

Zatem te wszystkie relacje o spektakularnym wysadzeniu pociągu, gdzie zginęło 200 lub więcej niemieckich żołnierzy, to prawdopodobnie fałsz. A jeśli w ogóle podjęto się wysadzenia pociągu, to akcja była kompletnym niewypałem. Jak długo jeszcze ta najdłuższa trwająca legenda Holocaustu będzie promowana przez historyków, przez czołowe dzienniki, w portalach Yad Vashem i United States Holocaust Memorial Museum, w portalu dla nauczycieli Facing History and Ourselves? Czy ten zmyślony epizod znajdzie się też w zapowiadzianym filmie Stevena Spielberga?

APOKRYFY

Głośna ostatnio akcja wysadzenia pociągu pod Wilnem przez FPO nie jest bynajmniej czymś odosobnionym w repertuarze tego środowiska. Samo powtarzanie tej samej historii w wielu relacjach – zwłaszcza gdy istnieją poważne rozbieżności i wątpliwości – wcale nie jest gwarancją, że coś takiego się zdarzyło. Masakra ludności polskiej w Koniuchach 29 stycznia 1944 r. jest kolejnym przykładem, jak fałszywa historia potrafi funkcjonować przez dziesiątki lat bez jej kwestionowania.

Wielu członków FPO, którzy wydostali się z getta wileńskiego latem 1943 r. i trafili do oddziałów partyzantki sowieckiej w Puszczy Rudnickiej, zostawiło relacje z okresu partyzanckiego. Na podstawie tych relacji już w 1944 r. szerzono poniższą historię w wymienionej „Czarnej księdze”.

Partyzanci z żydowskiego oddziału „Mściciel” – do którego należeli Abba Kowner i Witka Kempner – oraz żydowskiego oddziału „Za Zwycięstwo” pomogli np. zniszczyć... „niemiecki garnizon” w dobrze ufortyfikowanym mieście Koniuchy. Podobną wersję podawali inni partyzanci żydowscy z Puszczy Rudnickiej: Dmitri Gelpert (Gelpernas), Meir Yelin, Chaim Lazar, Isaac Kowalski, Rachel Margolis, Rużka Korczak.

Według Isaaca Kowalskiego: „Wiśniacy i mały niemiecki garnizon odpowiedzieli ciężkim ogniem, ale po dwóch godzinach wioska z ufortyfikowanym bunkrem została całkowicie zniszczona”. Rużka Korczak (na jej relacjach opiera się Judy Batalion) raczy nas konfabulacjami o rzekomym torturowaniu sowieckich

Mamy do czynienia z rewizją historii.

Podrabianie wizerunku bojowców żydowskich idzie pełną parą

partyzantów przez chłopów i rzekomej zaciętej walce pomiędzy nimi (garstką bardzo słabo uzbrojonych chłopów) a ok. 150 dobrze uzbrojonymi partyzantami: „Po zaciętej walce opór wieśniaków został złamany. Partyzanci spalili dom po domu, wielu chłopów, kobiet i dzieci zginęło od kul partyzanckich. Bardzo niewielu uciekło. Wieś została zmieciona z powierzchni ziemi”.

Śledztwo prowadzone przez Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej (ukończone w maju 2020 r.) całkowicie odrzuciło tę wersję. To samo potwierdził już wcześniej historyk litewski Rimantas Zizas. Nie było żadnego garnizonu niemieckiego w Koniuchach, nie było tam fortyfikacji. Była jedynie bardzo słabo uzbrojona miejscowa samoobrona, która próbowała chronić wioskę przed nieustannymi napadami rabunkowymi partyzantów sowieckich. W okrutnej pacyfikacji z rąk partyzantów sowieckich, a wśród nich dużej grupy Żydów, zginęło ok. 40 mieszkańców – głównie kobiety i dzieci. Według Genrikasa Zimanas (Genricha Zimana), dowódcy partyzantów południowej Litwy, partyzanci nie ponieśli żadnych strat w tej rzekomo „zaciętej” walce.

Judy Batalion nie wspomina o rzezi w Koniuchach, mimo że w powojennej historiografii żydowskiej wciąż uchodzi ona za największą akcję bojową żydowskich partyzantów z Puszczy Rudnickiej, a wśród napastników były też Żydówki. Być może jest to teraz temat niewygodny. Natomiast twierdzi, że żydowscy partyzanci zniszczyli 51 pociągów, setki ciężarówek, tuziny mostów w samym 1944 r., pomimo iż ich własne raporty w ogóle tego nie potwierdzają („Operations Diary of a Jewish Partisan Unit in Rudniki Forest, 1943–1944”). Czyli mamy do czynienia z rewizją historii. Podrabianie wizerunku bojowców żydowskich idzie pełną parą, z zachętą i finansową pomocą „przedsiębiorstwa Holocaustu” oraz

zachwyta mi społeczności żydowskiej. To zalewa świat. Fałszywa, skrajnie nacjonalistyczna narracja w tym wypadku w ogóle nikogo nie razi.

PRZEMILCZANA POMOC

Judy Batalion niewiele miejsca poświęca pomocy ze strony Polaków dla podziemia żydowskiego. Tylko mimochodem wspomina, że Abba Kowner przebywał w jakimś klasztorze. Wspomina też Irenę Adamowicz, lecz opisuje zaledwie małą część jej działalności.

Podczas łapanek Żydów w getcie wileńskim jesienią 1941 r. 17 członków podziemia ukrywało się w klasztorze Dominikanek w Kolonii Wileńskiej pod Wilnem. Przebywali tam do początku 1942 r., kiedy po ukończeniu akcji i wywózek do Ponar wrócili do getta. Pomagali im przełożona Anna Borkowska (matka Bertranda) oraz sześć zakonnic wraz z kapłanem. To zakonnice zdobywały dla nich granaty, które Anna Borkowska dostarczała do getta. Zostały one uhonorowane dyplomami przez Yad Vashem.

Borkowska to chyba jedyna Polka, która coś o akcji kolejowej słyszała, zapewne od Witki Kempner. We wspomnieniach opublikowanych w 1948 r. napisała bowiem zagadkowo: „Witka – łączniczka z getta, porozkładała miny na pobliskich torach i przybiegła do nas na podwieczorek”. Ani słowa o ogromnej eksplozji w pobliżu, o śmierci ponad 200 niemieckich żołnierzy, o masowym areszcie i egzekucji miejscowej ludności...

Poza Ireną Adamowicz pomagała też Jadwiga Dudziec, związana z harcerstwem, u której w mieszkaniu spotykali się Żydzi z podziemia. Obie młode kobiety – uhonorowane przez Yad Vashem – występowały w roli kurierek (Irena wyjeżdżała do Kowna, Białegostoku i Warszawy) i dostarczały broń do getta. Doceniony przez Yad Vashem Henryk Grabowski – kurier pomiędzy Warszawą a Wilnem – to kolejna osoba pominięta przez Judy Batalion.

Zwykły czytelnik może powiedzieć: Co mnie to wszystko obchodzi? Ale może do niego kiedyś przyjsć syn/córka lub wnuk/wnuczka ze szkolnym zadaniem na temat błyskotliwych „osiągnięć” Witki Kempner lub Rywy (Niuty) Tajtelbaum (zob. Patrycja Rowińska, „Przygody Niuty Tajtelbaum. Historia czy hagiografia?”, DoRzeczy.pl, 3 kwietnia 2021 r.) i zapytać: A dlaczego my, Polacy, nie mamy takich bohaterów jak Żydzi?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

informacyjne radio rmf24.pl

**CZYSTY PRZEKAZ!
NIE PARTYJNY PRZEKAZ DNIA!**

www.radio.rmf24.pl



Z ministrem Michałem Dworczykiem,
szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów
rozmawia Kamila Baranowska

Polski Ład wpisuje się w linię programową PiS



KAMILA BARANOWSKA: Celem strategicznym, zapisanym w Narodowym Programie Szczepień, jest opanowanie pandemii do końca tego roku. Jesteśmy bliżej niż dalej?

MICHAŁ DWORCZYK: Na pewno jesteśmy bliżej tego celu niż kilka miesięcy temu, natomiast hurraoptymizm byłby zdecydowanie przedwczesny. Tak naprawdę mamy kilkanaście tygodni, aby dokonać skutecznego zaszczepienia jak największej części populacji. Jeżeli tego nie zrobimy, to musimy liczyć się z kolejną falą pandemii i jej konsekwencjami, w tym z kolejnym lockdownem. To wielkie wyzwanie dla nas wszystkich, ponieważ wraz ze zmniejszeniem liczby zachorowań, zniesieniem ograniczeń, z piękną pogodą, poprawiającymi się nastrojami część Polaków zapomniiała o tym, że

pandemia wcale się nie skończyła. A to z kolei przekłada się na wyraźnie spadającą liczbę rejestrujących się na szczepienia osób.

A może ci, którzy chcieli się zaszczepić, po prostu już to zrobili. Teraz trzeba przekonać sceptyków.

To prawda, mamy za sobą fazę, w której ci najbardziej zdeterminowani i przekonani zaszczepili się bądź zarejestrowali. Teraz każdego dnia musimy zabiegać o tych, którzy nie mają takiej determinacji do szczepień. Wierzę, że uda nam się uzyskać odporność zbiorową, bo jeśli nie zrealizujemy tego celu, to konsekwencje odczujemy wszyscy.

Te 20 mln do tej pory wykonanych szczepień to dużo czy mało?

Jeżeli chodzi o tempo szczepień, to jesteśmy mniej więcej na poziomie średniej europejskiej. Oczywiście cieszę się, że mamy 20 mln za sobą, ale mam świadomość, jak dużo jeszcze przed nami. Myślę, że można pozytywnie ocenić ten wynik, patrząc również na pewne istotne czynniki – takie jak choćby brak przyzwyczajenia do wykonywania szczepień wśród dorosłych Polaków. Jeśli chodzi o szczepienia na grypę, czyli te najpopularniejsze, które przyjmują dorośli, to jesteśmy na szarym końcu Europy. I ta postawa przekłada się także, niestety, na szczepienia przeciw COVID-19. Mamy więc podwójne wyzwanie względem naszych sąsiadów z Europy, gdzie to przyzwyczajenie do szczepień jest bardziej powszechne. Musimy przełamać zarówno nasz dystans



szczepień. To wszystko są impulsy, które będą przekonywały Polaków do szczepień, ale trudno powiedzieć, jaka będzie dynamika tego procesu. My oczywiście chcemy, aby była jak najszybsza, dlatego też uruchamiamy różnego rodzaju zachęty: od loterii szczepionkowej do kontaktu z każdą osobą powyżej 60. roku życia, która się jeszcze nie zaszczepiła. Fakt jest taki, że 25 proc. Polaków deklaruje, że nie będzie się szczepić, ponad 50 proc. osób mamy już w systemie, czyli albo zaszczepionych, albo zarejestrowanych i oczekujących na szczepienie. Pozostaje nam zatem 25 proc., o które musimy zawalczyć i które musimy przekonać, że nie ma co czekać, aż się zacznie kolejna fala pandemii. Ta grupa dzisiaj dla nas jest priorytetowa.

Obowiązek szczepień rozwiązałby ten problem. Czy taki pomysł jest brany pod uwagę?

W tej chwili WHO nie zaleca obowiązkowych szczepień i w żadnym kraju europejskim nie ma takiego obowiązku. Wydaje mi się, że to byłaby bardzo ryzykowna decyzja. Na razie w Polsce nikt nie dyskutuje o takich pomysłach.

Ruszają szczepienia dzieci powyżej 12. roku życia. To ważny krok?

Każdy zaszczepiony pacjent to ważny krok w kierunku uzyskania odporności zbiorowej, dlatego trzeba zachęcać każdego, by nie zwlekał ze szczepieniem. Cały czas jednak musimy pamiętać i mieć przed oczami fakt, że najważniejsze jest zaszczepienie osób powyżej 60. roku życia, bo to one najtrudniej przechodzą chorobę i najczęściej umierają. Jeśli chcemy ograniczyć liczbę zgonów i osób hospitalizowanych, to musimy dzisiaj właśnie na tej grupie skupić naszą uwagę.

Jaką ocenę wystawiłby pan sobie za organizację Narodowego Programu Szczepień np. w skali szkolnej od 1 do 6?

Na podsumowania będzie jeszcze czas, teraz na to jest zdecydowanie za wcześnie, ponieważ jesteśmy wciąż w trakcie realizacji NPS. Dzisiaj trudno powiedzieć, czy najtrudniejsze za nami czy wciąż przed nami. Z jednej strony udało nam się w błyskawicznym tempie zbudować cały system teleinformatyczny, zmienić wiele przepisów, często musieliśmy przełamywać opór części środowiska medycznego, udało się stworzyć system logistyczny, uruchomić ponad 7 tys. punktów szczepień. Naprawdę dużo wyzwań udało się nam pokonać. Bardzo nas cieszą dobre opinie, ponieważ ponad

70 proc. Polaków pozytywnie ocenia realizację Narodowego Programu Szczepień. Ale z drugiej strony widzimy, jakim wielkim wyzwaniem stojącym przed nami będzie przekonywanie osób, które lekceważą szczepienia albo są wobec nich krytyczne.

Czyli wchodzimy w etap, w którym będziemy mieć więcej szczepionek niż chętnych, odwrotnie niż do tej pory?

Myślę, że czerwiec to pierwszy miesiąc, w którym będzie więcej szczepionek niż chętnych. Od tego momentu dzieli nas dosłownie kilka tygodni.

Narodowy Program Szczepień to coś, czym rząd rzeczywiście może się chwalić. Na innych polach walki z pandemią nie było już tak dobrze. Jesteśmy w niechlubnej czołówce państw z największą liczbą ofiar pandemii (tzw. zgonów nadmiarowych).

Uważam, że o tak skomplikowanych i wrażliwych kwestiach politycy powinni wypowiadać się bardzo ostrożnie i w sposób niezwykle wyważony. Dlatego najlepiej, żeby o tzw. nadmiarowych zgonach rozmawiali naukowcy i lekarze. A jeżeli chodzi o ocenę polityczną, to tak jak mówiłem: jest za wcześnie, aby ją formułować. Pandemia się nie skończyła, na razie mamy jedynie przerwę.

Było jednak coś symbolicznego w zamknięciu szpitala tymczasowego na Stadionie Narodowym. Wyglądało, jakby rząd właśnie ogłosił koniec pandemii.

Dla mnie to był ważny moment, ponieważ to projekt prowadzony w tempie i w warunkach, w jakich do tej pory nie działaliśmy. Blisko 2 tys. pacjentów, z czego kilkuset pod respiratorami, grubo ponad ćwierć miliona wykonanych szczepień – te fakty najlepiej opisują to wielkie przedsięwzięcie. Praca przy nim, koordynowanie działań ze strony rządu były wyzwaniem, ale dawały również satysfakcję wynikającą z poczucia, że realnie pomagamy ludziom. Tym bardziej było mi przykro, że sprawa, która powinna nas łączyć ponad podziałami, była brutalnie i populistycznie wykorzystywana przez niektórych polityków i dziennikarzy posługujących się kłamstwem oraz manipulacją w celu zdobycia wątpliwego politycznego kapitału.

Prezentacja Polskiego Ładu po wielu miesiącach skupiania się tylko na walce z pandemią wygląda z kolei na próbę przejścia do politycznej ofensywy. Tylko dlaczego kosztem klasy średniej?

Zżymam się, słysząc takie argumenty, bo patrzę w wyliczenia mówiące o tym,

do szczepień w wieku dorosłym, jak i odkłamywać nieprawdziwe informacje dotyczące szczepień, które pojawiają się w mediach – zarówno tradycyjnych, jak i społecznościowych. Choć z tym drugim problemem zmagają się wszystkie kraje.

Antyszczepionkowcy to osobna grupa, ale jest cała masa osób, które nie mówią szczepieniom kategorię „nie”, i to na nich należałoby się chyba teraz skupić.

Atmosfera wokół szczepień będzie się zmieniała, dlatego że wiele osób wyjeżdżając za granicę, będzie musiało zmierzyć się z koniecznością albo wykonywania kilkunastu tekstów, albo właśnie z zaszczepieniem. Mamy też sygnały, że część pracodawców, chcąc zadbać o ciągłość procesów produkcyjnych, oczekuje od pracowników

■ kto zyska, a kto straci, i uważam, że te opinie są nieusprawiedliwione. Możemy dyskutować nad konkretnymi rozwiązaniami, ale fakty są takie, że rozwiązania zaproponowane w Polskim Ładzie są sprawiedliwsze niż te, które do tej pory funkcjonowały. Najzamożniejsi będą zarabiać nieco mniej, natomiast dla 90 proc. podatników będą to zmiany korzystne lub neutralne.

A poza tym oni na PiS nie głosują, więc nie ma co się nimi przejmować?

To absurdalna teza, ponieważ na zmianach skorzysta ok. 18 mln Polaków. Chciałbym, żeby tyle osób głosowało na Prawo i Sprawiedliwość, i wciąż pracujemy nad tym, ale na razie nasz wynik to nieco ponad 8 mln głosów – choć oczywiście licząc na wzrost poparcia w 2023 r.

Polski Ład to wasz pomysł na kampanię wyborczą, jak twierdzi opozycja?

Część efektów rozwiązań, które proponujemy, będzie widoczna jeszcze przed wyborami, inne dopiero po nich. Czy będziemy o tym mówić w czasie kampanii wyborczej w 2023 r.? Oczywiście, że tak, bo każdy rząd mówi o tym, co zrobił przez ostatnie lata, żeby wyborcy mogli ocenić te działania przy urnach. W tym nie ma niczego nadzwyczajnego, natomiast mówienie o Polskim Ładzie, że to program wyborczy PiS, ma niewiele wspólnego z prawdą. Na tej zasadzie można każde działanie rządu ocenić jako element kampanii wyborczej. Taka teza broni się tylko w myśl zasady, że kampania wyborcza zaczyna się dzień po ogłoszeniu wyników wyborczych. A mówiąc poważnie, rozwiązania zawarte w Polskim Ładzie wpisują się w linię programową PiS, która realizowana jest od wielu lat.

Szef NIK składa na pana doniesienie do prokuratury, a opozycja zapowiada wniosek o wotum nieufności. Z perspektywy czasu nie żałuje pan, że poszliście w te wybory korespondencyjne, a teraz ta sprawa będzie się za wami ciągnęła?

Nikomu nie życzę, aby znalazł się w takiej sytuacji, w jakiej my znaleźliśmy się w 2020 r. To znaczy z jednej strony konstytucyjny obowiązek przeprowadzenia wyborów w określonym terminie, z drugiej strony sytuacja całkowicie ekstraordynaryjna, która nie miała swojego odpowiednika w dotychczasowej historii, a więc nie można było skorzystać z rozwiązań już wcześniej przetestowanych. Robiliśmy wszystko w ramach obowiązującego prawa i w najlepszej wierze, żeby zrealizować nasz nadrzędny

Opozycja jest fantastyczna, jeśli chodzi o podrzucanie dobrych pomysłów i rozwiązań, tylko z jakiegoś powodu zewsząd słyszę głosy, jak to dobrze, że w tak trudnym czasie rządzi rząd PiS, a nie PO

obowiązek konstytucyjny, jakim było przeprowadzenie wyborów. A jeśli chodzi o zawiadomienie do prokuratury, to wiadomo, że to dla nikogo nie jest komfortowa sytuacja. Dziwi mnie tylko fakt, że w swoim wystąpieniu pokontrolnym NIK oświadcza, że odstępuje od dalszych działań, a następnie w ciągu kilkunastu tygodni zmienia zdanie i kieruje sprawę do prokuratury.

Opozycja wskazuje, że trzeba było wprowadzić stan nadzwyczajny i wtedy od strony prawnej sprawa byłaby jasna i klarowna.

Opozycja jest fantastyczna, jeśli chodzi o podrzucanie dobrych pomysłów i rozwiązań, tylko z jakiegoś powodu zewsząd słyszę głosy, jak to dobrze, że w tak trudnym czasie rządzi rząd PiS, a nie PO. Można zarzucać nam różne rzeczy, pewnie popełnialiśmy wiele błędów, ale nie można nam zarzucić beczynności czy braku zdecydowania, a także działania w złej wierze. Staraliśmy się działać nie reaktywnie, lecz aktywnie, przewidywać wydarzenia i stawać im konsekwentnie czoła bez względu na to, jak trudna była sytuacja.

Jarosław Kaczyński podkreśla w każdym wywiadzie, że wybory korespondencyjne były jego pomysłem, tak jakby chciał zdjąć z pana i premiera część politycznej odpowiedzialności.

Pamiętajmy, że większość parlamentarna miała jednolitą opinię w sprawie wyborów korespondencyjnych, głosowała za nimi i była zgoda, by je przeprowadzić.

Poza wicepremierem Gowinem.

Jako środowisko polityczne byliśmy przekonani do tamtych rozwiązań.

Sprawy wschodnie są panu ministrowi szczególnie bliskie, przez wiele lat zajmował się pan tą tematyką. Jak pan ocenia to, co robi dziś i czym kieruje się prezydent Łukaszenka?

Mamy do czynienia z kolejną eskalacją sytuacji na Białorusi, którą spowodował

prezydent Łukaszenka. Mówimy dziś o zdarzeniach z ostatnich kilkunastu miesięcy, a przecież takie sytuacje powtarzały się niemal po każdych wyborach na Białorusi. Też miały miejsce demonstracje, więzienie kontrkandydatów, oczywiście nie na taką skalę jak obecnie, ale mechanizm jest dokładnie ten sam. Dziś nie ma analityka, który mógłby odpowiedzialnie prognozować, kiedy sytuacja za naszą wschodnią granicą ulegnie poprawie. Mam nadzieję, że z ostatnich zdarzeń wyciągniemy zarówno jako Europa, jak i Polska właściwe wnioski.

Jakie powinny to być wnioski?

Po pierwsze, żeby nie popełniać po raz kolejny błędów, naiwnie wierząc, że Alaksandr Łukaszenka może się stać demokratycznym i przewidywalnym politykiem. Wielu polityków z zachodniej Europy, choć niestety również i u nas w kraju, popełniało ten błąd, tak jakby kompletnie nie pamiętali, co się działo na Białorusi w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Kolejny raz prezydent Łukaszenka przekonał nas, że jest politykiem autorytarnym i z tego nie zrezygnuje. Po drugie, powinniśmy w pierwszym rządzie zadbać o naszych rodaków i zapewnić im bezpieczeństwo. Niestety reżim Łukaszenki obrał w tej chwili za cel mniejszość polską i to bardzo komplikuje sytuację.

Dlaczego akurat w tym momencie pojawiają się represje wobec Polaków, aresztowanie Andżeliki Borys, Andrzeja Poczobuta?

Jest kilka powodów. Na pewno polska mniejszość jest środowiskiem łatwym do zdefiniowania i wskazania jako potencjalny wróg wewnętrzny. A w sytuacjach kryzysowych autorytarni politycy szukają zarówno wrogów zewnętrznych, jak i wewnętrznych po to, aby wokół władzy zjednoczyć i zmobilizować własne społeczeństwo. Zresztą to mechanizm znany i stosowany w krajach byłego Związku Sowieckiego od zawsze. Wrogiem wewnętrznym jest cały Zachód, a wrogiem wewnętrznym poza opozycją została mniejszość polska. Z naszego punktu widzenia mamy podstawowy obowiązek nie zostawiać naszych rodaków, którzy są szykanowani tylko dlatego, że są Polakami i chcą swą polskość zachować. Drugim naszym obowiązkiem jest oczywiście nieustanne wspieranie Białorusinów, którzy chcą normalnie żyć, a z którymi łączą nas wspólna historia i wspólne interesy regionalne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



REPUBLIKA MŁODYCH

Piątek
19:45

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Telenowela RPO



Tomasz Rowiński

Politycy wciąż nie potrafią wybrać następcy Adama Bodnara. I zabrnęli w kolejny zaułek personalnych rozgrywek

Kadencja urzędującego Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara formalnie zakończyła się we wrześniu 2020 r., a parlament wciąż nie potrafi wybrać jego następcy. Tymczasem w połowie kwietnia Trybunał Konstytucyjny orzekł niezgodność z ustawą zasadniczą przepisów mówiących, że RPO pełni swoją funkcję aż do wyboru następcy. TK zdecydował, że dotychczas stosowane prawo straci moc po trzech miesiącach, czyli w lipcu. Tymczasem kolejna kandydatura – senator Lidii Staroń – wystawiona przez PiS, podobnie jak poprzednie, wydaje się bardzo chwiejna. Właściwie trudno powiedzieć, na czyje poparcie może ona liczyć.

SENATOR NIEZALEŻNA

Lidia Staroń to parlamentarzystka o dość ciekawym życiorysie politycznym, a także całkiem realnym – i rosnącym z wyborów na wybory – poparci, które otrzymuje w swoim regionie.

W roku 2005 wstąpiła do Platformy Obywatelskiej i niedługo potem uzyskała mandat poselski w okręgu olsztyńskim – uzyskała ok. 12 tys. głosów. W 2007 r. z powodzeniem ubiegała się o reelekcję, podobnie zresztą jak w roku 2011, kiedy po raz kolejny zwiększyła swój bezpośredni elektorat. Wyniósł on wtedy 16 tys. głosów. Jednak przed wyborami z roku 2015 znalazła się w grupie polityków związanych z PO krytykujących sposób, w jaki układano listy wyborcze. Media po-

dawały wtedy, że Staroń w ogóle miała nie znaleźć się na listach Platformy. Ostatecznie nie zdecydowała się na opuszczenie partii. – Niektórzy lokalni działacze stawiają na partykularne rozgrywki, a nie na walkę o dobro obywateli; ich decyzja w mojej sprawie jest dowodem, że różnimy się w radykalny sposób, jeśli chodzi o wizję polityki – mówiła wtedy.

Staroń nie przeszła jednak do żadnego innego ugrupowania, ale w 2015 r. spróbowała swoich sił w wyborach jako kandydatka niezależna i zdobyła mandat, pokonując kandydatów partyjnych, w tym dwóch największych ugrupowań, czyli PiS i PO. Zyskała ponad 63. tys. głosów. W roku 2019 uzyskała jeszcze lepszy wynik, bo zagłosowało na nią aż 103 tys. wyborców w okręgu olsztyńskim. Zarówno w roku 2015, jak i 2019 stała na czele Koła Niezależnych Senatorów. Już jako poseł pracowała w Komisji Praw Człowieka, angażowała się w powstanie ustawodawstwa przeciwko nieuczciwym komornikom, obronę praw lokatorów czy w zmianę nazwy Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych na Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych.

Trzeba jednak pamiętać, że swój kapitał polityczny Lidia Staroń zbudowała na wcześniejszym zaangażowaniu społecznym. Organizowała akcje społeczne, takie jak „Przestań pić, zacznij żyć” czy „Cała Polska rozmawia z dziećmi”,

była także członkiem Rady do spraw Pokrzywdzonych Prześpiwstwem przy Ministrze Sprawiedliwości. Po wyborach do parlamentu z roku 2019 i zwycięstwie opozycji w Senacie o Lidii Staroń mówiło się jako nadziei dla Zjednoczonej Prawicy na zniwelowanie przewagi politycznych przeciwników partii Kaczyńskiego w izbie wyższej. Chociaż Staroń była kandydatką niezależną w swoim okręgu, to PiS nie wystawił tam swojego przedstawiciela, wskazując tym samym swojemu elektoratowi, by głosował na komitet niezależnej kandydatki.

Przewodnicząca Koła Senatorów Niezależnych rzeczywiście mogła się wydawać naturalnym kandydatem na RPO, po tym, jak się okazało, że wystarczającego poparcia nie otrzymują ani kandydaci zgłaszani przez opozycję, tacy jak Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, bliska współpracowniczka Adama Bodnara, czy Robert Gwiazdowski, zgłoszony przez mniejsze partie opozycyjne, czyli PSL i Konfederację, ani kandydaci Zjednoczonej Prawicy, tacy jak wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk czy poseł Bartłomiej Wróblewski. I to pomimo deklaracji tego ostatniego, że widziałby lewicową przeciwieństwo kandydatkę, którą była Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, jako swoją zastępczynię.

Staroń, która jest senatorem opozycji, a jednocześnie ma dobre stosunki z PiS, przynajmniej na papierze wygląda na propozycję kompromisową i jak się zdaje, ona sama tak siebie postrzega. Jednak Ryszard



Profesor Marcin Wiącek – tego kandydata na RPO chce poprzeć Jarosław Gowin

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Kandydatką PiS na RPO jest niezależna senator znana z angażowania się w pomoc ludziom – Lidia Staroń FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Terlecki zapytany, dlaczego PiS właściwie wystawił Staroń jako swoją kandydatkę na RPO, odpowiedział w dość rozbrajający sposób: „Między innymi dlatego, że bardzo chce”. Staroń swoją kandydaturę widzi zaś jako kontynuację dotychczasowego zaangażowania społecznego. – Jestem rzecznikiem ludzi od 20 lat – powiedziała dziennikarzom, dodając: – Ludzie to moja partia.

Jednak kandydatka, która miała być do zaakceptowania także dla opozycji, stała się przyczyną nieporozumień wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. – Mówiąc krótko, potrzebujemy kandydata ponad podziałami partyjnymi i prof. Wiącek jest taką osobą – stwierdził Jarosław Gowin, zapowiadając, że nie poprze kandydatki PiS, a przynajmniej, że nie zrobi tego w pierwszej kolejności. Lider Porozumienia dodał także: – Mieliliśmy takie – jak się okazało – niewiążące ustalenie, że przy tym podejściu kandydata Zjednoczonej Prawicy wskazuje Porozumienie.

Wypowiedz ta była aluzją do osoby prof. Marka Konopczyńskiego, którego partia Gowina zaproponowała, ale który nie został zaakceptowany przez większego koalicjanta.

EKSPERT Z OPINIĄ DOBRĄ DLA GOWINA

Kim jest prof. Marcin Wiącek, kolejny kandydat PSL pojawiający się w grze o RPO? Doktor hab. Marcin Wiącek kieruje Zakładem Praw Człowieka Wydziału Pra-

wa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Jest autorem licznych publikacji naukowych, w tym komentarza do konstytucji. W latach 2003–2007 pracował w Trybunale Konstytucyjnym w Zespole Orzecznictwa i Studiów, a od 2007 r. jest zatrudniony w Naczelnym Sądzie Administracyjnym.

W sieci udostępniona została analiza autorstwa prof. Wiącka dotycząca walki o władzę w Porozumieniu, stwierdzająca, że to Jarosław Gowin jest liderem tej partii, a nie Adam Bielan. Trudno zatem powiedzieć, czy zachowanie Jarosława Gowina w sprawie kandydata na RPO ma charakter merytoryczny.

Po tym, jak Gowin poparł kandydata PSL, Lidia Staroń stwierdziła, że lider Porozumienia wcześniej deklarował, że to ją będzie popierał. Na potwierdzenie przywołała wiadomości SMS, które od niego otrzymała. Jednocześnie Gowin 28 maja na antenie TVN24 ocenił pozytywnie obie kandydatury, deklarując, że jeśli prof. Wiącek odpadnie, to on poprze senator Staroń.

Problem polega jednak na tym, że to kandydatura Staroń będzie głosowana pierwsza. Sejm zajmie się Wiąckiem tylko w sytuacji, gdy partia Gowina wprost przeciwstawi się kandydatce PiS. Wynika to z zasady głosowania kandydatów według ich alfabetycznego uszeregowania. Wiadomo, że PSL zabiega o zmianę tej zasady jako podważającej równość kandydatów. Nie wiadomo jednak, dlaczego

marszałek Sejmu Elżbieta Witek miałyby się na to zgodzić.

PSL miał negocjować nie tylko z Gowinem, lecz także z Konfederacją, która nie mówi w sprawie wyboru RPO jednym głosem. Już przy wcześniejszych kandydaturach konfederaci byli podzieleni. Teraz osobne rozmowy miały być prowadzone z grupą Partii KORWiN, osobne z narodowcami, a osobne z Grzegorzem Braunem. Jednak Krzysztof Bosak nazwał te informacje podawane w mediach „plotami”. Nie zmienia to faktu, że poparcie dla Wiącka lub wstrzymanie się od głosu przez konfederatów zwiększyłoby jego szanse w starciu z Lidią Staroń. – Nas politycy innych partii do niczego przekonywać nie muszą i nie byłiby w stanie. Jedyne, co może nas przekonać, to postawa i cechy kandydatów – powiedział Bosak, dodając, że jego zdaniem do tej pory nie pojawił się rzeczywiście kompromisowy kandydat na Rzecznika Praw Obywatelskich. – Sądzę, że gdyby PiS przedstawił nawet kandydata niezwiązanego ściśle ze sobą, to i tak większość senacka znalazłaby jakiś powód, żeby kandydaturę odrzucić. Jest resentment obustronny – ocenił Bosak. I nie wydaje się, by ta opinia była daleka od rzeczywistości.

Wobec tych okoliczności można zapytać, czy PiS będzie dalej forsował Lidię Staroń jako swoją kandydatkę. Warto przypomnieć wypowiedź Ryszarda Terleckiego, który jakiś czas temu zapytany, czy PiS nie byłby skłonny zagłosować jednak na prof. Wiącka, odparł, że „na razie – podkreślimy to wyrażenie – pani Staroń jest naszym kandydatem i będziemy to głosować”.

Wszystko to sprawia wrażenie, że liderzy PiS z pewną obojętnością przyglądają się wysiłkom opozycji, a także części Zjednoczonej Prawicy w sprawie wyboru nowego Rzecznika Praw Obywatelskich. Zegar tyka nieuchronnie, odejście Adama Bodnara – związane z orzeczeniem TK – jest już coraz bliżej. Oczywiście RPO jest potrzebny, interweniuje w wielu zupełnie nieideologicznych sprawach, można powiedzieć w sprawach dobra wspólnego, jednak patrząc z perspektywy partyjnej polityki, czy Jarosławowi Kaczyńskiemu ten rzecznik jest do czegośkolwiek potrzebny?

W lipcu, gdy Bodnar odejdzie, a nowy urzędnik się nie pojawi, prezes będzie mógł ze spokojem powiedzieć, że prawica wcale RPO nie zawłaszczyła, ale że to opozycja własnej kłótniowości zawdzięcza nieobsadzenie tak ważnego urzędu.

RYSZARD GROMADZKI: Panie pośle, czy w polskiej polityce wokół sprawy ratyfikacji Funduszu Odbudowy dokonało się rzeczywiste przewartościowanie?

ROBERT WINNICKI: Przy okazji tych głosowań wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, okazało się, że spośród samodzielných sił parlamentarnych tylko Konfederacja pryncypialnie broni polskiej suwerenności przeciw brukselskiemu centralizmowi, w tym wypadku w postaci Funduszu Zadłużenia. Ta sprawa po raz kolejny pokazała, że Konfederacja, chociaż nie jest „totalną opozycją”, to jest opozycją realną, a przy tym merytoryczną. W istotnych sprawach reszta klasy politycznej głosuje identycznie. Przez istotne sprawy rozumiem politykę lockdownową prowadzoną przez ostatni rok, kwestię Funduszu Zadłużenia i suwerenności czy merytoryczną krytykę Polskiego Ładu. Druga rzecz, która się wydarzyła w tracie politycznej batalii wokół ratyfikacji ustawy o zasobach własnych Unii, to koniec dotychczasowego modelu lewicowo-liberalnej „opozycji totalnej” – Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, PSL i partii Hołowni. Obóz zjednoczonego centrolewu się rozpadł, zresztą obóz rządzący też się rozpadł. W związku z tym znaleźliśmy się w nowej sytuacji, w której mamy dużo większą fragmentaryzację i dynamikę na scenie politycznej. Dziś widzimy, że właściwe wszystko w polskiej polityce jest możliwe: i sojusz PiS z postkomunistami, i sojusz Gowina z Zandbergiem w sprawie Rzecznika Praw Obywatelskich.

A koalicja „wszyscy przeciw PiS” z udziałem Konfederacji, czyli od Zandberga do Brauna, też jest możliwa?

Nie ma żadnej takiej koalicji. Nigdy nie było o tym mowy. Nie ma w ogóle dyskusji o tym, żebyśmy współtworzyli jakiegokolwiek projekty z Lewicą. Jesteśmy w polityce m.in. po to, żeby zatrzymać Lewicę w drodze po władzę, a nie żeby z nią cokolwiek budować. To całkowicie złudne opowieści. Natomiast dostrzegamy, że mimo braku istotnych przesunień politycznych w parlamencie wykuwa się nowy kształt sceny politycznej, która się wyraźnie przeobraża. Kolejne wybory już nie będą takie jak dwie poprzednie elekcje w 2015 i w 2019 r. Powszechne rozczarowanie dotychczasowymi partiami stwarza przestrzeń m.in. dla Konfederacji.

Przed nami piąta już runda politycznej rozgrywki wokół wyboru nowego Rzecznika Praw Obywatelskich. Ktorego z kandydatów poprze Konfederacja?



Z Robertem Winnickim, posłem Konfederacji, prezesem Ruchu Narodowego rozmawia Ryszard Gromadzki

Rząd musi być rozliczony z lockdownu

Nie wchodzimy w żadne polityczne układy w tej sprawie. Konfederacja będzie w sprawie RPO badała wszelkie okoliczności kandydatury. Po fatalnej kadencji Adama Bodnara, skrajnie zideologizowanego RPO, Polska potrzebuje naprawdę dobrego Rzecznika Praw Obywatelskich. W swoim czasie zakomunikujemy, jaka jest nasza decyzja. Lidia Staroń i prof. Mieczysław Wiącek zostali przez nas zaproszeni na debatę. Chcemy, żeby odpowiedzieli publicznie na pytania dotyczące spraw, które są dla Konfederacji ważne, takich jak przestrze-

ganie i obrona wolności obywatelskich czy wartości konstytucyjnych, takich jak prawo do życia czy małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. To są sprawy, na których straży powinien stać w pierwszym rządzie Rzecznik Praw Obywatelskich.

Polski Ład to w pana ocenie wiarygodny społecznie program?

Polski Ład na razie pozostaje dokumentem propagandowym. Nie pierwszym zresztą wytworzonym przez obecną ekipę rządzącą. Wcześniej był plan Morawiec-



wszystko. Skrajnie niewiele. Kaczyński, mając po wyborach 2015 r. tyle władzy, ile nie miał żaden polityk wcześniej w Polsce po roku 1989, okazał się sparaliżowany impossybilizmem. Jarosław Kaczyński został tymczasowym suwerenem w państwie i został pokonany przez własne oraz własnego środowiska ograniczenia wewnętrzne. Dlatego już na starcie można mówić o małej wiarygodności Polskiego Ładu. Zresztą prace jeszcze nie ruszyły, a już widać problemy obozu rządzącego. Gowin chyba nie wiedział, co podpisuje, albo się zorientował po fakcie. W efekcie może być problem z zebraniem większości dla Polskiego Ładu, przynajmniej w klubie PiS. Być może na ratunek Jarosławowi Kaczyńskiemu znów przyjdzie Lewica.

Porozmawiajmy o innym ładzie. Tym zielonym, forsowanym przez Unię Europejską. Czy Polska jest przygotowana na gigantyczną transformację systemu energetycznego, którą przynosi zielony, unijny ład?

Problem polega na tym, że Unia Europejska maksymalnie wykorzystuje kryzys gospodarczy towarzyszący COVID-19, żeby radykalnie wzmocnić się instytucjonalnie. Elity unijne starają się skokowo zwiększyć poziom integracji zmierzającej do federalnego superpaństwa. To uderza nas po pierwsze w obszarze suwerenności energetycznej. Wymuszanie zielonego ładu to nie tylko dewastacja całego naszego sektora wydobywczego i energetyki, lecz także uderzenie w kilkadziesiąt elektrowni. Elektrownie odprowadzają opłaty klimatyczne. Po kosztownym przestawieniu na gaz będą nadal płaciły z tego tytułu. W rezultacie będą rosły nie tylko ceny prądu, lecz także ciepła. Równolegle trwa proces przejmowania naszych elektrowni przez podmioty zagraniczne, tak się dzieje np. z elektrownią w Zgorzelcu. Ten proces jest ściśle powiązany z zielonym ładem, będzie postępował i spowoduje trwałe uzależnienie Polski od dostaw prądu i surowców energetycznych z zagranicy. Wobec potężnych opóźnień projektu budowy elektrowni jądrowej i wygaszenia kopalń nawet szybko rosnący sektor odnawialnych źródeł energii nie wypełni luki powstałej po zamknięciu konwencjonalnej energetyki, nie jest w stanie dać stabilnych mocy. Zmusi to Polskę do importu olbrzymich ilości prądu, co będzie bardzo drogo kosztowało i prowadziło do energetycznego oraz politycznego

kiego. Z tego planu, w sensie jego realizacji, zostało bardzo niewiele. Już nie będę się tutaj znęcał nad tą nieszczęsną „stePKą” i budową statków w Szczecinie, ale pamiętamy przecież wszyscy te miliony elektrycznych aut, które miały jeździć po polskich drogach. Jednym słowem – plan Morawieckiego pozostał na slajdach i na papierze. Zobaczmy, co się stanie z Polskim Ładem. Tym bardziej że gdybyśmy jeszcze głębiej sięgnęli w przeszłość, to trafimy na hasło „IV RP”, które było rdzeniem przesłania PiS przed 2005 r. Ugrupowanie braci Kaczyńskich operowało nim

mocno jako postulatem kompleksowej przebudowy instytucjonalnej państwa. Z tego punktu widzenia Polski Ład jest już trzecim strategicznym planem. Dwóch wcześniejszych PiS nie zrealizował. Mamy wlekącą się i rozpoczętą nie od tej strony, co trzeba, reformę sądownictwa, która nic nie zmieniła, jeśli chodzi o funkcjonowanie sądów rejonowych, okręgowych i apelacyjnych. Mamy tylko częściowo zreformowaną administrację skarbową. I to właściwie jedyny, realnie zreformowany obszar życia państwowego, który zresztą jest zasługą Mariana Banasia. To

FOT. RAOBK/PATRUSZKA/PAP

■ uzależnienia naszego państwa. Jest to całkowita kapitulacja rządu Morawieckiego, który zgodził się na zamknięcie kopalń i drastyczne podniesienie celu emisji CO₂.

Powiedział pan, że koronakryzys został wykorzystany przez unijne elity do skokowego przyspieszenia budowy europejskiego superpaństwa. Jakie będą koszty tego procesu dla państw narodowych?

Obserwujemy olbrzymią konsolidację władzy politycznej przez Unię Europejską. Unia dzięki Funduszowi Zadłużenia nabywa kompetencji państw narodowych w kwestiach zaciągania długu i nakładania nowych podatków. To olbrzymia władza i milowy krok w stronę federalnego superpaństwa – o czym z radością mówił w Sejmie Adrian Zandberg podczas debaty nad ustawą o zasobach własnych UE. Wreszcie trzeci obszar naszej suwerenności, w który Unia uderza z całą siłą, dotyczy kwestii światopoglądowych. UE chce, by wszystkie państwa uznawały prawną rejestrację związków jednopłciowych i adopcję dzieci. Przeznaczy w najbliższych latach miliardy euro na wsparcie lewicowo-liberalnej propagandy, głównie w Europie Środkowej. Tu też nie ma oporu ze strony rządu PiS. Trzeba sobie powiedzieć jasno: dzisiaj każde państwo, które chciałoby zachować swoją suwerenność polityczną, energetyczną, finansową czy w sprawach światopoglądowych, musi mieć możliwość jasnego powiedzenia, że nie zgadza się na ten model integracji europejskiej. Dla Polski nadszedł czas, żeby powiedzieć twarde „nie” forsowanemu modelowi integracji europejskiej. Tymczasem rząd Morawieckiego prowadzi politykę, która w tym kluczowym obszarze nie odbiega od linii rządów SLD i Platformy Obywatelskiej. To nam mówi bardzo dużo o rzeczywistej kondycji i faktycznych oraz fasadowych podziałach wśród polskiej klasy politycznej.

Kryzys związany z koronawirusem zmienia świat, zmienia Europę, zmienia Polskę. Jak tłumaczyć tak szeroki konsens naszej klasy politycznej dla polityki lockdownu, choć jej bilans przyniósł tyle szkód gospodarczych i społecznych, przede wszystkim w obszarze zdrowia publicznego? Czy w związku z tym powinna zostać powołana specjalna komisja, być może komisja parlamentarna, która rozliczyłaby rząd z całego spektrum działań podjętych w czasie obowiązywania epidemii na terenie kraju?

Tak. Ta sprawa musi zostać wyjaśniona. Musi powstać dla niej „biała księga”, która pociągnie do odpowiedzialności osoby,

Ponosimy koszty gospodarcze, społeczne, tak jak w Chinach, a wirus i tak się rozprzestrzenia, tak jak w Szwecji

które podejmowały te decyzje. Nie tylko dlatego, że podejmując politykę lockdownową, rząd popełnił fundamentalny błąd, już na poziomie założeń metodologicznych. Na świecie są trzy modele radzenia sobie z koronakryzysem. Model azjatycki czy raczej chiński, który jest stosowany w tym kraju. To model drastyczny, polegający na radykalnej strategii likwidowania ognisk epidemii. Jak ostatnio, po pojawieniu się kilkunastu nowych zakażeń, zamknięte i przebadane zostało całe miasto. Ten model ma wysokie koszty społeczne, ale pozwala zdusić nowe ogniska koronawirusa. Drugi model, który został zastosowany, to model szwedzki. Ta strategia odrzuca radykalne środki stosowane w Chinach, zakładając, że tak czy inaczej większość populacji zetknie się z koronawirusem. Jego istotą jest zachowanie maksymalnej sprawności systemu służby zdrowia i gospodarki. Większość państw Europy, w tym Polska, obrała model pośredni, czyli hybrydowy. Model selektywnego lockdownu, który wymaga stosowania całej gamy obostrzeń. To model zdecydowanie najgorszy, bo kumuluje on koszty ponoszone w obydwu alternatywnych strategiach. Ponosimy koszty gospodarcze, w ochronie zdrowia, systemie edukacji, tak jak w Chinach, a z drugiej strony wirus i tak się rozprzestrzenia, dotykając kolejne grupy ludności, dokładnie tak jak w Szwecji. W efekcie poziom zgonów mamy wyższy niż w Szwecji, dlatego że ludzie umierają, bo nie są leczeni z powodu lockdownu systemu ochrony zdrowia. Nie jest żadnym wytłumaczeniem, że większość państw europejskich zdecydowała się na ten fatalny, hybrydowy model. Każde państwo, każdy rząd powinien mieć własny rozum, a nie kierować się wytycznymi WHO, która totalnie skompromitowała się w związku z koronawirusem, brnąc w kolejne sprzeczne ze sobą rekomendacje. Jest jeszcze głębszy poziom tego chaosu i systemowego zniszczenia, który dokonał się przez ostatni rok. Mówię o swoistym losowaniu obostrzeń, jakby pochodziły one z totalizatora sportowego, a nie z rzetelnej analizy sytuacji.

Do tego dodać trzeba całkowitą katastrofę polskiego systemu ochrony zdrowia. To armagedon, którego symbolem jest ponad 100 tys. nadmiarowych zgonów, z czego większość stanowią zgony, których przyczyną nie był COVID-19, ale brak leczenia innych schorzeń.

Czy masowe szczepienia i towarzysząca im dywanowa promocja, która wygłusza wszelką naukową krytykę, paradoksalnie mogą stanowić zagrożenia dla zdrowia publicznego? Niektórzy eksperci z Rady Medycznej doradzającej premierowi Morawieckiemu nawołują do przymusowych szczepień...

Naukowcy zgadzają się co do tego, że nie mamy twardych danych dotyczących długotrwałego oddziaływania aplikowanych ludziom szczepionek. Nie mamy pewności, jak długo szczepionki dają odporność. Nie mamy precyzyjnej informacji na temat poziomu zachorowalności po szczepieniu. Nie mamy wiedzy i obserwacji, jak szczepionka reaguje z innymi schorzeniami. W związku z tym wprowadzanie przymusowych szczepień byłoby czystym szaleństwem. To igranie z wielkim niebezpieczeństwem. Ale zobaczmy, dlaczego akcja szczepień w Polsce wyhamowuje – w moim przekonaniu dzieje się tak, przed czym zresztą ostrzegałem, że podczas akcji szczepień lekceważy się wywiad lekarski. W rezultacie na szczepienia ludzie są kierowani przez niektórych lekarzy hurtowo, bez rzetelnego wywiadu, badania, a nawet pomimo ewidentnych przeciwwskazań. To się kończy bardzo źle. W obiegu informacyjnym, głównie przez pocztę pantoflową, pojawiają się historie o powikłaniach poszczepiennych, a nawet zgonach, co w połączeniu ze wspomnianą nonszalancją lekarską daje efekt spadku zainteresowania szczepieniami.

Od początku czerwca Polska jako jedno z pierwszych siedmiu państw Unii Europejskiej wdrożyła tzw. certyfikat covidowy. Stoimy na progu segregacji sanitarnej? Sejm tylko dla zaszczepionych?

Mam nadzieję, że nie. Moja nadzieja opiera się nie na wierze w rozsądek rządzących, tylko na tym, że śledzą badania opinii publicznej. A w tych badaniach zdecydowana większość Polaków jest przeciwna segregacji sanitarnej. Jeśli zdrowy rozsądek nie powstrzyma przed tym rządzących, to jestem przekonany, że powstrzymają ich badania opinii publicznej, bo inaczej może się to skończyć dużym wybuchem społecznym.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



100 STRON!
NUMER
JUBILEUSZOWY

Kamil Anduła – **Komunistyczny młot o Lenino**
Tomasz Stańczyk – **Renegat Zygmunt Berling**
Sol Messinger – **Byłem na pokładzie „St. Louis”**
Arkadiusz Karbowski – **Francuscy kolaboranci**
Mikołaj Iwanow – **Krwawy prokurator Wyszyński**
Craig Symonds – **Powietrzny rajd na Tokio**
Maciej Rosalak – **Seks Bolesława Chrobrego**
Jacek Bartosiak – **Polacy nie są gorsi!**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Demokracja w działaniu**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Jaka rola ambasadora?



Piotr Włoczyk

Według ustaleń amerykańskich mediów Mark Brzezinski ma być nowym ambasadorem USA w Polsce. Czy syn Zbigniewa Brzezińskiego będzie problemem dla obecnych polskich władz?



FOT. BETA ZAWRZEL/REPORTER

Polska opozycja przyjęła tę kandydaturę z nieskrywanym zachwytem. Mark Brzezinski to w końcu znany sympatyk Partii Demokratycznej, ostry krytyk prezydentury Donalda Trumpa i komentator, który wielokrotnie dał do zrozumienia, że to, co dzieje się w Polsce od 2015 r., bardzo go niepokoi. „Znakomity wybór!” – napisała na Twitterze Barbara Zdrowiejska, senator PO. Profesor Wojciech Sadurski stwierdził z kolei, że Brzezinski to „fantastyczny” kandydat, bo „dobrze wie, co dzieje się w Polsce”. Głos zabrał w tej sprawie również Rzecznik Praw Obywatelskich. Adam Bodnar napisał na Twitterze: „W latach 90. dr Mark Brzezinski napisał książkę pt. »Struggle for Constitutionalism in Poland« [»Walka o konstytucjonalizm w Polsce« – przyp. red.]. Po tylu latach temat wciąż aktualny”. Wielkie nadzieje związane z kandydaturą Marka Brzezinskiego widać też po stronie opozycyjnych mediów. Tygodnik „Polityka” przewiduje: „Jeśli będzie ambasadorem USA, to nie odpuści

PiS” i „choćby powitamy w Warszawie niemalże rodaka, prawdziwego przyjaciela Polski i obrońcę jej interesów, rząd PiS zapewne nie będzie miał z nim łatwego życia”.

Co ciekawe, w partii rządzącej – przy najmniej oficjalnie – kandydatura Marka Brzezinskiego przyjmowana jest dosyć pozytywnie.

– To zawodowy dyplomata, tzw. career diplomat, więc nie ma tu żadnych pytań o wiarygodność. To syn wybitnego Amerykanina polskiego pochodzenia, człowieka, który bardzo zasłużył się dla Polski. Z otwartymi ramionami powitamy takiego ambasadora – mówi „Do Rzeczy” Witold Waszczykowski, europoseł PiS, były minister spraw zagranicznych. – To nie będzie problem dla rządu. Z żadnym amerykańskim ambasadorem nie mieliśmy problemów, tym bardziej z zawodowym dyplomata. Wprawdzie Mark Brzezinski bardziej sympatyzuje z demokratami niż z republikanami, ale nie sądzę, żeby ziszczyły się marzenia naszej opozycji, ponieważ jest to zawodowy dyplomata.

– Oczywiście PiS nie będzie oficjalnie narzekał na Marka Brzezinskiego, ale prawda jest taka, że ten kandydat będzie bardzo problematyczny dla Warszawy – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” amerykańista prof. Grzegorz Górski, rektor Kolegium Jagiellońskiego Toruńskiej Szkoły Wyższej. – Mark Brzezinski to znany funkcjonariusz Partii Demokratycznej, człowiek, który wielokrotnie bardzo krytycznie wypowiadał się o konserwatywnych rządach, ganił Donalda Trumpa i PiS. Jego zachowanie w roli ambasadora USA będzie oczywiście funkcją polityki zagranicznej Joe Bidena. A ta, jak widzimy, jest jeszcze bardziej lewicowa, niż mogliśmy się spodziewać. Obawiam się, że czeka nas bardzo ciężki czas. To będzie swego rodzaju „lewicowa” krucjata, próba „ustawiania do pionu” państw, które ośmielają się dbać o tradycyjne wartości.

PAKIET AMBASADORÓW

Informację o kandydaturze Marka Brzezinskiego jako pierwszy podała

„The New York Times”. Według źródeł nowojorskiego dziennika ma on być jednym z nazwisk na długiej liście kandydatów na amerykańskich ambasadorów. Biały Dom sprawdza w tym momencie wszystkie nazwiska i planuje ogłosić je w jednym terminie (nie wiadomo, kiedy to nastąpi). W tekście „NYT” na temat kandydatów na ambasadorów mowa jest m.in. o nowych szefach placówek dyplomatycznych w Chinach, Indiach, Japonii i ONZ. Wygląda więc na to, że brak w Warszawie nowego ambasadora (Georgette Mosbacher opuściła placówkę w styczniu tego roku, od tego czasu USA reprezentuje w Polsce chargé d'affaires Bix Aliu) nie jest – wbrew spekulacjom po stronie opozycyjnej – jasnym sygnałem wysłanym polskim władzom przez Joe Bidena. Podobne wakaty do dziś są na ważnych placówkach w Chinach, Indiach czy Japonii.

56-letni syn zmarłego w 2017 r. Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego USA w administracji Jimmy’ego Cartera, może się pochwalić doktoratem z filozofii i nauk politycznych obronionym na Oksfordzie (to właśnie wtedy napisał pracę o przemianach konstytucyjnych w Polsce). Po studiach pracował w największych amerykańskich kancelariach prawniczych, prowadził też w Waszyngtonie działalność lobbystyczną. W administracji Billa Clintona zajmował się Rosją i Europą Południowo-Wschodnią (w latach 1999–2001 był ważnym urzędnikiem w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego).

Po wygranej George’a Busha juniora wrócił do prywatnego sektora, a także wykładał na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Wraz z kandydaturą Baracka Obamy wrócił do świata polityki. W czasie kampanii wyborczej w 2008 r. Mark Brzezinski był doradcą Obamy do spraw polityki zagranicznej i publikował w największych amerykańskich gazetach artykuły, w których przekonywał, że demokraci również w tej sferze ma lepsze pomysły od Johna McCaina.

Tuż po rosyjskiej inwazji na Gruzję Mark Brzezinski pisał w „International Herald Tribune”: „Solidarność państw Europy Środkowej z Ameryką potrzebuje dziś potwierdzenia, że USA są przywiązane do ich niepodległości i stabilności. [...] Choć Ameryka powinna mówić Rosji, że droga na Zachód pozostaje dla niej otwarta, to musi też

wspierać nowe państwa dookoła Rosji. W szczególności cierpliwie przyciągać Ukrainę na Zachód”. W tamtym okresie w otoczeniu Obamy nadzieja na dołączenie przez Rosję do Zachodu była szczególnie żywa.

Już w styczniu 2009 r. – jak donosił korespondent „Gazety Wyborczej” w Waszyngtonie Marcin Bosacki – Mark Brzezinski był brany pod uwagę jako kandydat na ambasadora w Polsce. „GW” opisała go wówczas jako „zaprzyśiętego demokrate”. Na ambasadorski fotel Brzezinski musiał jednak poczekać dwa lata. Ostatecznie trafił nie do Polski, tylko do Szwecji (kierował tamtejszą placówką w latach 2011–2015).

Odkąd w 2015 r. zmieniła się w Polsce władza, Mark Brzezinski konsekwentnie krytykował rząd PiS w wywiadach udzielanych „Gazecie Wyborczej”.

„To, co teraz dzieje się w Polsce, nie jest dobre. To jest test dla konstytucjonalizmu i – nie ukrywajmy tego – wielkie wyzwanie dla wizerunku Polski na całym świecie. Ludzie, którzy kierują procesem naruszania polskiej konstytucji, robią ogromną krzywdę tym, o których powinniśmy troszczyć się najbardziej – młodym Polakom, którzy chcą, by ich kraj był w dobrych relacjach z innymi państwami i szanowany na świecie. A nie takim krajem, że kiedy ktoś wspomni o Polsce, to niektórzy powiedzą: »O, to jest dyktatura«. I to jest tragedia! Tragedia rozgrywająca się w kilka dziesięcioleci po upadku komunizmu – mówił w listopadzie 2018 r. na łamach »GW«. – Ludzie, którzy są za to odpowiedzialni, naprawdę powinni się cofnąć. Powinni to zrobić z myślą o młodym pokoleniu, które jest tak niezwykle utalentowane i mogłoby być częścią globalnego systemu powiązań gospodarczych”.

REPUTACJA WAŁĘSY

W tym samym wywiadzie (zatytułowanym „Dla niektórych dzisiejsza Polska jest już dyktaturą”)

Odkąd w 2015 r. zmieniła się w Polsce władza, Mark Brzezinski konsekwentnie krytykował rząd PiS w wywiadach udzielanych „Gazecie Wyborczej”

Brzezinski odniósł się również do polskich sporów o historię, zajmując bardzo jednoznaczne stanowisko: „Próby obecnych polskich polityków zmierzające do usunięcia dziedzictwa Lecha Wałęsy są po prostu śmieszne. Ten człowiek ma taką reputację i legitymację, że w każdym zakątku świata ludzie go natychmiast rozpoznają. On jest niezwykle ważnym dobrem narodowym Polski. Takie nazwiska jak Wałęsa mają wprawdzie lokalne korzenie tu, w Polsce, ale ich zasięg oddziaływania jest globalny. Tacy ludzie powinni być wynoszeni, a nie ukrywani”.

Z kolei w wywiadzie dla „GW” z października zeszłego roku, tuż przed wyborami prezydenckimi w USA, Mark Brzezinski przekonywał, że Donald Trump kieruje USA w bardzo niebezpieczną stronę.

„Trudno mi sobie wyobrazić osobę, którą mój ojciec mógłby popierać w mniejszym stopniu niż Donalda Trumpa. Zbigniew Brzeziński był za Joe Bidenem. I mój wybór jest taki sam”.

Mark Brzezinski jest jednym z trojga dzieci Zbigniewa Brzezińskiego. Cała trójka zrobiła kariery, ale najbardziej rozpoznawalna jest jego młodsza siostra – Mika Brzezinska, dziennikarka współprowadząca bardzo popularny poranny talk-show „Morning Joe” na antenie MSNBC. Jest ona jednym z największych medialnych wrogów Donalda Trumpa, który nazywał ją „mało inteligentną, walniętą Miką”. Z kolei najstarszy z rodzeństwa – Ian, ekspert ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa – kojarzony jest z Partią Republikańską (w czasie pierwszej kadencji Busha juniora zajmował się w Pentagonie Europą i NATO).

– Mark Brzezinski będzie trudnym partnerem dla obecnych polskich władz, ale obawiam się, że kogokolwiek Amerykanie by przystali, to PiS będzie miał tak samo duży problem – mówi prof. Grzegorz Górski. – Są na świecie państwa, gdzie prawa człowieka naprawdę są łamane, a homoseksualiści karani są śmiercią, ale amerykańskie ambasadory nie reagują, bo najważniejsze są interesy. To oczywiście szczyt hipokryzji, ale takie są realia. Niestety wygląda na to, że administracja Bidena zalicza Polskę do tych krajów, które można próbować „ustawiać do pionu”.



Rafał A. Ziemkiewicz

Etap wmawiania, że aborcja to zapobieganie „większemu złu”, lewica ma już za sobą. Zaczął się nowy etap – wmawiania, że aborcja to styl życia

Kryzys Platformy Obywatelskiej, a jeszcze bardziej jej decyzja, by wyjścia z tego kryzysu szukać w ostrym skrucie w lewo, popchnęły do zwiększonej aktywności skrajną lewicę. Jedną z ofiar tego wzmożenia padła – nie po raz pierwszy – Zofia Klepacka. Konto sportsmenki, znanej nie tylko ze sportowych sukcesów, lecz także z konserwatywnych poglądów, zalane zostało masą aborcyjnego spamu. Nie trzeba było długo czekać na ujawnienie się inicjatorek tej akcji – same pochwały się swym sukcesem na facebookowym koncercie grupy Aborcyjny Dream Team: „Na profilu pewnej antyaborcyjnej i homofobicznej sportsmenki trwa intensywna promocja aborcji i numeru do Aborcji Bez Granic. Miłość za Waszą nieustanną promocję aborcji i zamiary na nią! To się nazywa #parzyantkaaborcyjna w nowej odsłonie i na szerokich wodach!”.

Czy „partyzantka aborcyjna w nowej odsłonie” dała jakiś wymierny skutek – trudno powiedzieć. Telefon, polecany jako „porady aborcyjne”, okazał się nie istnieć, a sama Klepacka atakującym ją, jak je określiła, „wściekłym macicom” odpisała bezlitośnie: „Ja nie potrzebuję aborcji. Ale za to może wy potrzebujecie faceta?”.

Niezrażone aborcjonistki niemal natychmiast rozpoczęły kolejną akcję: doradzania, jak wychowywać w duchu aborcji dzieci. Opublikowany przez nie poradnik zasługuje na uwagę, ponieważ pokazuje, jak bardzo zmieniła się w tej kwestii linia propagandy lewicowo-liberalnych salonów.

ABORCJA LAJFSTAJLOWA

Nie tylko u zarania III RP, w czasach, gdy lewica organizowała się wokół postulatu referendum aborcyjnego, lecz także jeszcze kilka lat temu aborcyjna narracja szanowała powszechne przekonanie, że sztuczne poronienie to zło, skupiając się na przekonywaniu, że jego

dopuszczalność zapobiegać ma „większemu” złu. Epatowano w propagandzie przypadkami skrajnymi – gwałtów, kazirodztwa, rozwodzono się nad przypadkami skrajnych patologii, historiami w rodzaju „mąż alkoholik zmusza ciężko chorą żonę do urodzenia dziewiętego pochodzącego z małżeńskiego gwałtu dziecka, a Kościół to popiera”. Aborcja zdawała się nie dotyczyć normalnych życiowych sytuacji, a jedynie być ratunkiem w przypadkach horrendalnych.

zamiast maleć, i wraz z nią rosła liczba aborcji. Na co lewica doradzała dalsze obniżanie wieku dostępu do „edukacji” i antykoncepcji, wskutek czego liczba niechcianych ciąż jeszcze bardziej wzrosła – aż wreszcie, po latach kręcenia na Zachodzie tym błędnym kołem, postanowiono zostawić miniony etap za sobą i zarzucić pozory, jakoby zabijanie dzieci było dla lewicy tylko „mniejszym złem”.

Obecnie – jak lansują to Aborcyjny Dream Team i patronujące mu lewicowo



Było to typowe dla lewicy, leninowskie ukrywanie prawdziwych celów w imię „mądrości etapu” – jak dowodzi istnienie „aborcyjnego dream teamu” – dopiero niedawno uznanego za zakończony. Na tym etapie promowano tezę, że zakaz aborcji nie jest skutecznym sposobem ograniczania jej powszechności, że klucz do wyeliminowania zła leży w edukacji seksualnej i upowszechnieniu antykoncepcji.

Statystyki pokazały, że podsuwane przez lewicę lekarstwo okazało się przeciwnie skuteczne. W krajach, gdzie obniżono wiek edukacji seksualnej i zadbano o pełną dostępność do środków antykoncepcyjnych – nawet przez zapewnienie dostępu do nich dzieciom poza wiedzą i kontrolą rodziców – liczba niechcianych ciąż, szczególnie nastoletnich, rosła,

-liberalne media z „Wysokimi Obcasami” na czele – „Aborcja jest OK”. Po aborcji „ze względów medycznych” i „ze względów społecznych” pojawiła się „aborcja lajfstajlowa”, na której ikonę wspomnianą „Wysokie Obcasy” wylansowały piosenkarkę Natalię Przybysz. Ogłoszona „bohaterką roku” Przybysz – co czyniło jej słowa szczególnie szokującymi, angażująca się wcześniej w różne akcje okazywania empatii i miłości przyrodzie, w rodzaju „zaadoptuj pszczołę” – o usunięciu dziecka z powodu tak błahego jak niechęć do przeprowadzki do większego mieszkania opowiadała nie tylko bez cienia wyrzutów sumienia, lecz także jako o wspianym przeżyciu, dostarczającym ekstatycznej przyjemności, „wielkiej ulgi”, przeżyciu niezbędnym do samore-

alizacji i pełnego uświadomienia sobie własnej kobiecości.

W tym duchu utrzymane były przemówienia na manifestacjach Strajku Kobiet jesienią. Liderujące im działaczki opowiadały o „wspólnym przeżywaniu aborcji” przez kobiety, zachwalając „wspieranie się” i „bycie blisko”, a także zapewniając o nieopisanie wspianych odczuciach, kiedy „odchodzą skrzepy”. Media, w większości protestom życzliwe, starannie unikały tych opowieści



w swych transmisjach, ale same feministki wiele z nich opublikowały z dumą w Internecie. Podobnie jak niechętnie informują lewicowo-liberalne media o kolejnych promocyjnych akcjach feministek – wspomnianym poradniku, walentynkowych kartkach „Chcę mieć z tobą aborcję” albo „aborcyjnych kolekdach”.

Podczas wspomnianych manifestacji, w hasłach wypisywanych na transparentach i gryzmołonych na ścianach, zwłaszcza ścianach świątyń, oraz na doprowadzających feministki do szczególnej furii reklamach hospicjów perinatalnych, lansowano zresztą nowe słowo, pieszczotliwie skrócone określenie „abo”. To „abo” wyraźnie ma posłużyć odciążeniu przerywania ciąży od dawnego

skojarzenia ze złem, patologią lub innymi nieszczęściami.

„Jeśli zależy Ci, by Twoje dziecko w przyszłości nie oceniało decyzji reprodukcyjnych innych osób, to postaraj się wytłumaczyć, że każda osoba może mieć swój powód i nie ma podziału na mniej czy bardziej uzasadnione powody. Wszystkie są ważne” – doradza Aborcyjny Dream Team we wspomnianym poradniku. Przykładowe powody to „brak pieniędzy”, fakt, że „już się ma tyle dzieci, ile się chciało mieć” albo „ktoś po prostu nie chce mieć dzieci”.

TERAZ WSZYSCY „ABO”

Aborcjonistki starają się we wspomnianym poradniku przygotować swe adeptki do zmierzenia się z wyzwaniem „patriarchatu”. „Pamiętajmy, że nastoletnie osoby z pewnością doświadczyły już stygmatyzacji aborcji, podobnie jak my żyją w patriarchalnym społeczeństwie, być może chodzą na wychowanie do życia w rodzinie” – przestrzegają. Podsuwają też radę: „Ważne, żeby pokazać, jak bardzo aborcja jest powszechna – prawie 1 na 4 osoby mogące zajść w ciążę decyduje się na aborcję w pewnym momencie swojego życia”.

Skąd aborcjonistki wzięły taką liczbę? Zapewne z tych samych źródeł, na których opierają się aktywiści LGBT w swych twierdzeniach, że reprezentują 10 proc. populacji. Nawet najbardziej skrajne dotąd w ocenie popularności aborcji „Wysokie Obcasy” poprzestały na liczbie jednej piątej Polek – z właściwym sobie politycznym szaleństwem opierając na tym przekonanie, że podniesienie hasła „aborcji na żądanie” skupi je wszystkie pod sztandarem Lewicy.

Pomijając już tę fantastyczną liczbę, clou całej propagandy stanowi sama logika, na której się ona opiera: „abo” jest dobre, bo „abo” jest powszechne. Wszyscy robią „abo”, a co robią wszyscy, złe być nie może. Umiecie sobie wyobrazić esesmana, który na pytanie synka: „Tato, dlaczego gazujesz i palisz Żydów?” odpowiada: „Wszyscy ich zawsze nienawidzili, synu, od zawsze urządzali im pogromy i zamykali w gettach”?

Aby wzmocnić wrażenie, że „wszyscy”, lewica bardzo intensywnie domaga się zakazu polemiki z aborcyjną propagandą. Projekt legalizacji aborcji na życzenie, przygotowany pod egidą posłanki Nowackiej, zawierał przepis o karze do trzech lat więzienia za krytykowanie

aborcji. Tyle mogłaby, gdyby lewicowa ustawa obowiązywała w czasie, gdy wydawała swą sławną „Sztukę kochania”, dostać za nią Michalina Wisłocka – a przecież nie była ona osobą wierzącą ani moralistką i jej potępienie dla aborcji wynikało wyłącznie z przesłanek medycznych. Polska lewica, tak jak w innych sprawach, jest tu tylko naśladowcą – w wielu krajach Zachodu postulowane są podobne kary za krytykowanie aborcji, demonstrowanie przeciwko niej lub „wywoływanie dyskomfortu psychicznego” u osób, które jej dokonały; we Francji takie przepisy już przegłosowano.

Wynika to z faktu, że akurat w chwili, gdy postępujący rozkład rodziny i struktur społecznych pozwoliły uczynić „abo” elementem popkulturowej „fajności”, to nauka zadała miazdzący cios uzasadnieniom, którymi u zarania posiłkował się ruch proaborcyjny. Nie ma już dziś wątpliwości, że dziecko nie jest częścią organizmu matki i nie ma żadnego odpowiedniego do przerywania ciąży momentu, „zanim grupa komórek stanie się dzieckiem”. Od pierwszej chwili zarodek posiada swoje unikalne, niepowtarzalne DNA. Nie potwierdziło się twierdzenie, jakoby do pewnego momentu płód „nie był zdolny do odczuwania bólu”. A arbitralność granicy, do której dziecko miało być tylko „grupą komórek”, wykazały postępy medycyny – dziś już udaje się utrzymać przy życiu, po samodzielnym poronieniu, nawet dzieci kilkunastotygodniowe.

Tracąc ostatnie argumenty, musi lewica czynić argumentem „powszechność” zjawiska. Ta ostatnia, niestety, jest prawdą – nie tylko w krajach Zachodu, gdzie morduje się rocznie miliony dzieci, lecz także w Chinach, Indiach i innych krajach Wschodu, gdzie jednoczesna dostępność aborcji i USG stała się powodem masowej rzezi nieurodzonych dziewczynek. Fakt, że statystycznie to one najczęściej padają ofiarą obłędu „obrony praw kobiet”, jest szczególną okolicznością tego współczesnego ludobójstwa.

Poza „powszechnością” pozostaje feministkom tylko argument „z autorytetu”. To dlatego szczególną wściekłość budzą osoby, takie jak głosząca otwarcie swe poglądy wybitna sportsmenka, która samym swym istnieniem rozbija fanatycznym narrację o radosnym „abo” – w czym każdy uczciwy człowiek powinien czuć się zobowiązany ją wspierać.

Okręt podwodny ORP „Orzeł” znajduje się w opłakanym stanie technicznym i każdy rejs [...] może zakończyć się jego zatonięciem, a co za tym idzie – naszą śmiercią” – twierdzą autorzy listu otwartego, wysłanego pod koniec maja do kilku redakcji. Na jego publikację zdecydowała się „Gazeta Wyborcza”. List jest anonimowy, jednak autorzy zapewniają, że są marynarzami, członkami załogi ORP „Orzeł”. Piszą, że „w czasie ostatnich majowych manewrów wystąpiły problemy ze zbiornikami balastowymi, a co za tym idzie – również z wynurzeniem”. „Tym razem wszystko zakończyło się dobrze i dzięki poświęceniu załogi udało nam się powrócić na powierzchnię. Niemniej jednak następnym razem możemy już nie mieć tyle szczęścia” – ostrzegają. Zwracają też uwagę na konkretne problemy techniczne z zespołem napędowym, sonarem czy z zespołem nawigacyjnym. Nie udało się doprowadzić do pełnej sprawności systemów uzbrojenia, nie działają poprawnie systemy komunikacyjne. „To, że ORP „Orzeł” w ogóle jeszcze pływa, możemy nazwać cudem” – podsumowują. Ich zdaniem okręt powinien zostać wycofany z użycia ok. pięciu-sześciu lat temu, ponieważ po długim remoncie nie wrócił do pewnej sprawności.

Według tej diagnozy polska Marynarka Wojenna znajduje się w stanie częściowego rozkładu. Ze służby wycofano przestarzałe ORP „Sęp” i ORP „Bielik”, a program zakupu nowoczesnych okrętów w ramach programu „Orka” został odłożony w czasie. „Orzeł” nadal pływa, ponieważ jest to ostatnia przynajmniej teoretycznie sprawna jednostka. Jej wycofanie ze służby oznaczałoby zatem faktyczną likwidację dywizjonu okrętów podwodnych. Autorzy listu twierdzą, że dowódca flotylli okrętów, w której skład wchodzi dywizjon okrętów podwodnych, wszelkie uwagi ignoruje albo grozi zwolnieniem. Jak mówią mi byli oficerowie Marynarki Wojennej, to właśnie strach o własne stanowisko może być powodem, dla którego list wystosowany został anonimowo. List wieńczy alarmistyczna konkluzja: „To już jest naprawdę ostatni dzwonek, by uratować przed zatonięciem nie tylko ORP „Orzeł”, lecz także całą Marynarkę Wojenną”.

PRAWDA O SPRZĘCIE

Na list odpowiedział ppłk Marek Pawlak, rzecznik prasowy Dowództwa



Maciej Pieczyński

Po liście otwartym w sprawie problemów technicznych z jedynym sprawnym polskim okrętem podwodnym byli oficerowie mówią wprost: polskie rządy zaniedbały te siły zbrojne. Czy zostawiamy Bałtyk bez ochrony?

Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Podpułkownik Pawlak zakwestionował autentyczność dokumentu. Jego zdaniem użycie w treści sformułowań typu „manewry” i „brak tlenu” wskazuje jednoznacznie, że autorem jest ktoś niepowiązany z Marynarką Wojenną, niemający doświadczenia morskiego. „Każdy z podwodników jest świadomy i wyszkolony z zakresu ewentualnego ratowania się z okrętu i dobrze wie, że pierwszym czynnikiem zagrażającym życiu jest zatrucie dwutlenkiem węgla, a nie brak tlenu” – argumentuje rzecznik DG RSZ. W swoim oświadczeniu wymienia naprawy wykonane na ORP „Orzeł”. Na drugą połowę roku planowany jest przetarg na naprawę bieżącą. „Wszystkie

te czynności zmierzają do odtworzenia pełnej zdolności okrętu. Członkowie załogi oraz przełożeni są świadomi ryzyka, jakie niesie chodzenie w morze na okręcie podwodnym. Dlatego w trakcie wyjść, w których sprawdzane były naprawiane elementy, okręt zawsze zanurzał się w zabezpieczeniu okrętów ratowniczych będących w pełnej gotowości do podjęcia działań w jak najkrótszym czasie na wypadek jakiegokolwiek zdarzenia zagrażającego bezpieczeństwu. Wszystkie okręty marynarki wojennej kierowane do wykonywania zadań na morzu bezwzględnie muszą posiadać sprawne mechanizmy główne oraz systemy zapewniające bezpieczeństwo załogi” – czytamy w oświadczeniu.



FOT. KMDR POR. PAULSZAŃ PUCH WŁOSKO POLSKIE

płyń

Rzecznik Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych przedstawił też priorytetowe założenia planu modernizacji Marynarki Wojennej na lata 2021–2035. Flota ma się do 2033 r. powiększyć o trzy okręty obrony wybrzeża „Miecznik”, a do 2034 r. – o dwa okręty podwodne nowego typu „Orka”. Już za rok marynarka otrzyma dwa kolejne niszczyciele min „Kormoran II”. Wszystkie te jednostki „budowane są na podstawie wymagań taktyczno-technicznych, zapewniających realizację zadań zgodnie z ich przeznaczeniem”.

EROZJA SIŁ ZBROJNYCH

Komandor porucznik rezerwy dr Jarosław Keplin z Katedry Bezpieczeństwa Narodowego Akademii Pomorskiej w Słupsku, były oficer marynarki wojennej, twierdzi, że po liście otwartym w sprawie ORP „Orzeł” nie powinno się debatować o tym, kto go napisał, ale dlaczego to zrobił. Uważa, że należy list potraktować poważnie, a autorów przestrzegać przez pryzmat sympatyków marynarki wojennej. – Jestem przekonany, że chcieli nagłośnić sprawę w dobrej wierze, aby doprowadzić do zmiany fatalnego sta-

nu technicznego okrętu, który niewątpliwie może zagrażać bezpieczeństwu załogi – mówi „Do Rzeczy” kmdr Keplin. – Jeśli dodamy, że tak naprawdę okręt ten nie przeszedł znaczącej modernizacji pod biało-czerwoną banderą, to rysuje się niezbyt imponujący obraz możliwości bojowych tego okrętu. Należy również pamiętać, że jakość wykonywanych zadań przez załogę oraz stan techniczny okrętu, a także pojawiający się brak wiary w instytucje, które za ten stan są odpowiedzialne, w konsekwencji kreuje niskie morale załogi. W takiej sytuacji, jeśli faktycznie autorami listu są marynarze z ORP „Orzeł”, nie dziwię się, że list wystosowali anonimowo, w obawie przed problemami w pracy – zauważa. Jego zdaniem konieczne jest zbadanie sprawy i ocena faktycznego stanu technicznego okrętu.

Kmdr Keplin wskazuje, że od lat postępuje erozja tego rodzaju sił zbrojnych. – Jeszcze przed wejściem do NATO w 1999 r. nasi podwodniacy owocnie współpracowali z wojskami sojuszu w ramach Partnerstwa dla Pokoju, co pozwalało mieć nadzieje na przyszłość – przypomina kmdr Keplin. – W czasach świetności, na początku XXI w., mieliśmy pięć okrętów podwodnych, co już stanowiło całkiem pokaźną siłę. Oprócz wybudowanego w połowie lat 80. „Orła” dysponowaliśmy czterema wiekowymi, ale solidnie wyremontowanymi kobbenami, które z powodzeniem brały udział w wielu międzynarodowych ćwiczeniach, ale również m.in. w operacjach antyterrorystycznych na Morzu Śródziemnym. Dzisiaj pozostał jedynie ORP „Orzeł”. Rząd musi opracować konkretną strategię rozbudowy Marynarki Wojennej, aby zachować potencjał wyszkolonych załóg, gdyż to one stanowią największą wartość. Trzeba się zdecydować: albo remontować starsze jednostki i utrzymać nawyki morskie załóg, albo kupować sprzęt nowszej generacji, pamiętając przy tym, że proces wyszkolenia załogi to kilka lat żmudnej i ciężkiej służby, a to jest długotrwałe i kosztowne – dodaje.

Konradmirał Mirosław Mordel, niegdyś dowódca dywizjonu okrętów podwodnych, a do 2019 r. inspektor marynarki wojennej, obszernie skomentował sytuację w rozmowie z portalem o2.pl. W jego ocenie na początku lat 90. Marynarka Wojenna wyglądała „co najmniej solidnie”. „Ale wtedy też zaczął się regres. Pierwsza rzecz to pieniądze. Okręty wojenne są drogie. Łatwiej jest kupić w tym roku pięć czołgów, a w przy-

szłym 10. Gorzej, kiedy trzeba złożyć podpis na kontrakcie za trzy okręty podwodne, których koszt idzie w miliardy złotych” – stwierdził. Jego zdaniem politycy zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, że Polska ma dostęp do morza, w którego obronę trzeba inwestować.

Po wejściu do NATO polska marynarka wzbogaciła się o używany, ale wciąż jeszcze sprawny sprzęt z Zachodu, w tym wspomniane już kobbeny. Modernizacja sprzętu przebiegała sprawnie. Szybko jednak ruszyły cięcia w zbrojeniach. Zaczęto wycofywać wysłużone okręty, nie zastępując ich nowymi. W 2009 r. ówczesny szef MON Bogdan Klich zaakceptował programy operacyjne dla marynarki wojennej. Zdaniem ekspertów sprowadzały się one jedynie do płytkiej modernizacji, czyli do utrzymania pozostających na służbie okrętów, których stan jednak był coraz gorszy i wymagał coraz większych nakładów. „Od 10–15 lat wszyscy mówią, że kropelka nie wystarczy, że trzeba zrobić operację... I nikt nic z tym nie robi. Okres po roku 2010 zdecydował o obecnym stanie MW. Teraz wymiany wymaga niemal wszystko, a koszty byłyby gigantyczne” – powiedział o2.pl adm. Mordel.

Jak diagnozuje kmdr por. Artur Bilski, były oficer w dowództwie NATO, szef think tanku Nobilis Media ze Szczecina, w następstwie trwającego od 1990 r. braku strategii wynikającego z założenia braku zagrożenia ze strony Rosji i lekceważenia akwenu Morza Bałtyckiego dzisiaj Marynarka Wojenna straciła w dużej mierze zdolności do obrony infrastruktury krytycznej kraju, która przez ostatnie lata bardzo się rozbudowała w Polsce. – Mówimy tutaj o wzrastającej pozycji portów morskich Gdynia i Gdańsk, terminalu LNG w Świnoujściu, Baltic Pipe czy planowanej budowie farm wiatrowych na Bałtyku. Gospodarczo urastamy na Bałtyku do roli dużego gracza. Niestety w konsekwencji krótkowzrocznej polityki dzisiaj nasza flota góruje tylko nad należącymi do NATO marynarkami wojennymi Litwy, Łotwy i Estonii, które ze względu na wielkość swoich krajów i budżetów utrzymują symboliczne siły zbrojne – mówi „Do Rzeczy” kmdr por. Bilski. – Lekceważenie przez decydentów rozwoju Marynarki Wojennej, która zabezpiecza na Bałtyku naszą niezależność ekonomiczną, gospodarczą i energetyczną, może spowodować, że nie będziemy mogli skutecznie zadbać o nasze morskie interesy.



jajo". Wtedy po raz pierwszy na serio się przestraszyłem. Papiery już wyszły z III LO, ale IX LO nie chciało ich przyjąć. Bałem się, że znajdę się na lodzie, nie zostanę dopuszczony do matury, nie trafię na studia. A wojsko powoływało w takiej sytuacji natychmiast w kamazse.

A jednak trafiłeś z powrotem do Topolówki.

Mam z tego powodu osobisty wyrzut sumienia. Mój ojciec poszedł prosić Łosińskiego, żeby mnie przywrócił do szkoły. Tata wyszedł błady z gabinetu dyrektora i powiedział, że w całym życiu nie było mu dane dotąd znosić takiego upokorzenia.

Jak ojciec odnosił się do twojej działalności w podziemiu?

Był dumny, ale się martwił. Któregoś dnia wziął mnie na rozmowę. „Wiem, że konspirujesz, nawet nie próbuj chraniać, że nie” – powiedział. „Pamiętaj, żeby trzymać się dwóch zasad. Nie wmawiaj sobie, że grupa konspiracyjna to grupa przyjaciół. W razie wyspy SB bardzo łatwo udowodni ci, że przyjaciel cię zdradził. Wtedy możesz czuć rozgoryczenie i bez problemu cię złamią. Po drugie, nigdy nie konspiruj z przekonania, że robisz to dla zbawienia innych ludzi. Bezpieka może ci łatwo udowodnić, że zwykli ludzie mają takich jak wy gdzieś. Rób to, co wypływa z twoich przekonań, walcz we własnym imieniu. Niech to będzie twoja prywatna wojna z komunizmem. Wtedy nie przeżyjesz żadnych rozczarowań”. I tych zasad starałem się trzymać.

Warto dodać, że równolegle z konspiracyjną działalnością w Topolówce angażowałeś się w Ruch Młodej Polski.

Proces mojego przystępowania do RMP trwał bardzo długo. Wszystko zaczęło się w roku 1980, jeszcze przed Sierpniem '80. Pewnego dnia natknąłem się na ulotkę sygnowaną przez RMP, która zachęcała do uczestnictwa w mszy świętej z okazji święta 3 Maja. Postanowiłem pójść. Nabożeństwo odprawione zostało w bazylice Mariackiej. Na koniec uroczystości na środku nawy głównej stanął jakiś facet – wówczas nie wiedziałem, że jest to Dariusz Kobzdej – który rozpiął zieloną kurtkę i wyciągnął złożony parokrotnie transparent z napisem: „Ruch Młodej Polski”. Swoboda i odwaga, z jaką to zrobił, wstrząsnęły mną. Pierwszy raz zobaczyłem konkretnego czło-

wieka, który otwarcie występuje przeciwko komunizmowi i tym samym przełamuje barierę strachu innych osób. Po kilku minutach wszyscy ruszyliśmy pod pomnik Jana III Sobieskiego, gdzie odbyła się patriotyczna manifestacja. Początkowo te demonstracje skupiały niewiele osób, później przychodziło na nie sporo ludzi, oczywiście jak na epokę Gierka. Sporo, czyli kilka tysięcy osób. Kobzdej, Hall, Rybicki, Grzelak byli wówczas dla nas, młodych kontestatorów, niczym książęta. Stanowali wzór, połączenie elegancji i odwagi. Zresztą wszyscy należący do organizacji tacy się jawili. Pamiętam, że w III LO uczyła nas francuskiego pani Kubala. Zupełnie niczym się nie wyróżniała. Ani pod względem prowadzenia zajęć, ani z uwagi na wygląd. Jednak gdy tylko poszła fama, że pani Kubala jest związana z RMP, momentalnie zaczęliśmy patrzeć na nią inaczej. Z miejsca stała się wzorem elegancji, wyrafinowania, odwagi. A przecież była jedynie skromną nauczycielką. To pokazuje, jak silne było oddziaływanie RMP na młodych gniewnych początku lat 80.

To było twoje pierwsze zetknięcie z RMP. Co działało się później?

Po pewnym czasie z polecenia Walendziaka zacząłem uczestniczyć w kursie samokształceniowym, który prowadził Sławomir Czarlewski z RMP. To była fascynująca postać. Rodzina Czarlewskiego wywodziła się z Wolnego Miasta Gdańska. Dziadek i wuj byli obrońcami Poczty Polskiej. On sam w 1978 roku został skreślony z listy studentów za działalność antykomunistyczną. Stan wojenny spędził w Brukseli, gdzie zasiadał w kierownictwie Biura Zagranicznego Solidarności. Pamiętam, że prowadzone przez niego zajęcia były niezwykle interesujące i erudycyjne. Spotkania odbywały się w salce katechetycznej na plebanii przy kościele pod wezwaniem Świętej Barbary. Rozmawialiśmy o historii Polski, dziejach ruchu narodowego, wspólnie analizowaliśmy lektury. Chciałem wyjść poza bierność uczestnictwa w kursie i znaleźć się w kręgu aktywnych członków RMP, co jednak nie było takie proste. Okres po Sierpniu '80 był trudny dla organizacji, która stanęła wobec dwóch problemów. Jej działalność została spowolniona, ponieważ bardzo ważni działacze, między innymi bracia

Rybicki czy Grzegorz Grzelak, weszli w strukturę Solidarności. Po drugie, organizacja nie rozwijała się ze względu na niezwykle powolne „wtajemniczenie” kolejnych członków. Do 1980 roku była to bardziej grupa przyjaciół, otwarta na

wszelkie możliwe formy wsparcia. Profil zmienił się po Sierpniu: Ruch Młodej Polski stał się organizacją ekskluzywną, a znalezienie się w kręgu jej decydentów było właściwie niemożliwe. Po zaangażowaniu liderów organizacji w „S” coraz silniejszą pozycję w ruchu mieli Jarosław Kurski i Wiesław Walendziak, którzy niechętnie spoglądali na udział w działalności organizacji młodszych kolegów. Kiedy zadeklarowałem chęć pomocy, usłyszałem, że najpierw muszę mi się przyjrzeć i ocenić, czy się nadaję i czy sprostam wymaganiom. To długa droga, którą każdy musi przejść. Zamurowało mnie. Przecież to byli moi szkolni koledzy, którzy znali mnie i mój światopogląd. I chociaż RMP pozostawał obiektem moich westchnień, bardziej skupiłem się na organizowaniu niezależnej gazetki w III LO. Później ten kontakt został wznowiony przez Jarosława Kurskiego, który był w RMP na wyższym stopniu wtajemniczenia. Ale RMP w stanie wojennym powoli błąd i stracił impet. Z czasem zacząłem bywać w domu Arkadiusza Rybickiego przy ulicy Sienkiewicza we Wrzeszczu. Aram był legendą podziemia i miał cierpliwość do rozmów z młodym człowiekiem. To było wyjątkowe. Pamiętam, jak z zachwytem spoglądałem na jego opasłą bibliotekę. Aram przyznał wtedy, że wszystkie swoje pieniądze wydaje na książki. Robiło to na mnie ogromne wrażenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

Dotychczas wydrukowaliśmy następujące fragmenty książki:

- „Jak Semkowie Polskę wybrali” – nr 16/2021
- „Dziadek Jan i dziadek Józef” – nr 17/2021
- „Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową” – nr 18/2021
- „Niepokorna Topolówka” – nr 19/2021
- „Dramatyczny czas” – nr 20/2021
- „Licealna konspira” – nr 21/2021
- „Koledzy z konspiracy” – nr 22/2021

Drogowa rewolucja



Łukasz Zboralski

Rząd Morawieckiego zdekomunizował przepisy drogowe. Popełnił jednak przy tym wszystkie możliwe błędy, w tym największy – mimo obietnicy złożonej ludziom nie poinformował skutecznie kierowców i pieszych o zmianach

Od 1 czerwca obowiązuje w Polsce znowelizowana ustawa Prawo o ruchu drogowym. Wprowadziła kilka ważnych zmian w zasadach poruszania się po drogach, w tym wywołującą największe emocje – zmianę dotyczącą pierwszeństwa na przejściach dla pieszych. Wyrównało to obowiązki obu stron w tym miejscu. Piesi bowiem nadal muszą zachować szczególną ostrożność i nie wolno im swojego

pierwszeństwa wykorzystać „na siłę”, ponieważ prawo zakazuje im wejścia wprost przed nadjeżdżający samochód. W dodatku pieszym dodano pewien zakaz w ramach szczególnej ostrożności – podczas wchodzenia na przejście nie mogą korzystać z telefonów i innych urządzeń elektronicznych w sposób, który uniemożliwiałby im właściwą obserwację drogi – dodajmy od razu, że można było to egzekwować wcześniej (tak samo jak nadal nie będzie zachowaniem szczególnej ostrożności wchodzenie na pasy np. ze wzrokiem utkwionym w gazecie czy książce).

Kierowcy mają za to ustawowy nakaz ustępowania pieszym nie tylko znajdującym się na pasach, lecz także tym, którzy dopiero wchodzą na przejście dla pieszych.

KONIEC PRL NA PRZEJŚCIACH

W ten sposób po ponad 30 latach pierwszy rząd miał odwagę naprawić to, co zepsuli specje od prawa w PRL. W 1988 r. Polska ratyfikowała bowiem

konwencję wiedeńską o ruchu drogowym (dokument z 1968 r.), ale nasi specjaliści wykrzywili jej zapisy w kontekście przejść dla pieszych. W anglojęzycznej konwencji zapis wymaga od kierowców przepuszczania pieszych zamierzających przejść przez przejście („about to use”) – w ten sposób zaimplementowało go do swojego prawa wiele krajów, m.in. Niemcy, Francja, Holandia, Szwajcaria, Belgia, Austria, Norwegia czy Szwajcaria. PRL-owscy geniusze uznali, że kierowcy nie muszą tam tak bardzo uważać, więc mają ustąpić pieszym tylko będącym już na pasach, a piesi mają grzecznie czekać na możliwość wejścia (zakaz bezpośredniego wchodzenia przed nadjeżdżający pojazd).

Skutki PRL-owskiego podejścia do prawa ciągną się u nas do dziś. Gdy kraje zachodniej Europy przy takich rozwiązaniach prawnych szybko doszły do wniosku, że należy inaczej budować przejścia dla pieszych i kształtować infrastrukturę w obszarach zabudowanych, w Polsce dekadami budowano przejścia bez świateł przez

wiele pasów ruchu – przez co stworzono gigantyczną sieć pułapek dla pieszych i kierowców, którzy w nich wjeżdżają.

Postkomunistyczna mentalność zablokowała też późniejsze zmiany dotyczące limitu prędkości w obszarach zabudowanych. Gdy – na podstawie danych o wypadkach – ustalono konsensus 50 km/h (bo przy tej prędkości uderzenie samochodem w pieszego czy rowerzystę daje mu jeszcze 50 proc. szans na przeżycie, a powyżej niej szanse te radykalnie maleją), polscy politycy stworzyli dziwoląga prawnego, pozwalając od 23 do 5 rano jeździć 60 km/h. Byliśmy wyjątkiem w UE. Teraz przestajemy nim być – co ma pozwolić ograniczyć skutki wypadków w nocy (najczęstsze nocne wypadki w Polsce w obszarze zabudowanym to „najechanie na pieszego”) oraz łatwiej kształcić przyszłych kierowców – do zapamiętania mają jedną prędkość mniej i wreszcie będzie można tłumaczyć im sensowność limitu w miejscach, gdzie ludzie poruszają się pieszo.

Do tego wszystkiego prawo da znać wreszcie kierowcom, co znaczy zapisana od dawna w Kodeksie drogowym „bezpieczna odległość”. Do tej pory kierowcy dowiadywali się o tym dopiero po stłuczkach czy wypadkach, gdy słyszeli od mundurowych, że jej nie zachowali. Teraz wiadomo. Na drogach ekspresowych połowa prędkości auta wyrażona w metrach – tyle trzeba zostawić odstępu od poprzedzającego nas samochodu. Czyli: 70 m przy 140 km/h na autostradzie daje dopiero wyobrażenie, jak skandalicznie niebezpiecznie jeździmy tam obecnie – zachowując czasem zaledwie 10–20 m lub nawet mniej.

BEZ INFORMACJI I OSŁONY

Podejmując właściwą decyzję o zmianie prawa, rząd popełnił w Polsce jednak wszystkie możliwe błędy, by tę zmianę uczynić mniej efektywną.

Przede wszystkim – nikt nie poinformował dobrze kierowców ani pieszych, jak dokładnie zmieniają się ich obowiązki i prawa. To tym bardziej kuriozalne, że przyjmując nowe prawo, w projekcie zapisano trzymiesięczne vacatio legis właśnie po to, by przeprowadzić szeroką kampanię społeczną. Ministerstwo Infrastruktury ma na nią ok. 30 mln zł i spoty były już gotowe. Ktoś w resorcie Andrzeja Adamczyka nie zdążył jednak nawet opublikować przetargu na emisję tych spotów w mediach. Efekt? Ludzie zostali pozbawieni szerokiej informacji. Zamiast przez miesiąc przed

zmianą prawa być uświadamiani o tym, do czego muszą się przygotować, zostali z niczym. Według sondażu portalu Moto.pl – aż 40 proc. Polaków nie wie, co zmieniło się w prawie drogowym. Wpadkę próbuje nadrabiać TVP, która – co niespotykane za innych rządów – sama zaczęła emitować za darmo spoty (i słusznie, bo na tym powinna polegać misja publiczna). Nie jest to jednak takie natężenie kampanii, jakie widzimy, gdy telewizja otrzymuje za to miliony.

Drugi potężny błąd – brak głośnej politycznej akcji prewencyjnej w dniu wprowadzenia przepisów. To zaskakujące, polska policja lubuje się bowiem w PR-owskich akcjach. I co rusz jakieś prowadzi, nawet tak kuriozalne jak „Dziadku, Babciu, coś Ci dam – jeden odbłask, który mam”. Tym razem jednak, gdy w życie wchodziły najważniejsze od kilkunastu lat zmiany prawa, Komenda Główna Policji milczała. Naprawdę trudno to wyjaśnić. Wygląda to co najmniej na sabotaż – tak, jakby MSWiA opanowane przez inną frakcję Zjednoczonej Prawicy robiło wszystko, by przy okazji zmiany prawa narazić na szwank pomysł firmowany przez samego szefa rządu. Tymczasem od sprawnego nadzoru nad przestrzeganiem nowego prawa zależy to, jak wielki będzie efekt jego wprowadzenia (Litwa po takich zmianach, które wprowadziła stosunkowo niedawno, po roku odnotowała o 50 proc. mniej zabitych na przejściach dla pieszych).

Trzeci błąd, mniejszy, ale istotny – Ministerstwo Infrastruktury zasnęło i nie znowelizowało na czas rozporządzenia w sprawie szkolenia i egzaminowania kierowców. W związku z tym na liście błędów, które obowiązkowo przerywają egzamin na prawo jazdy, nie pojawiło się zachowanie dotyczące braku ustępowania pierwszeństwa pieszemu wchodzącemu na przejście. Po tym, jak to ujawniłem, resort przyznał, że nowelizacja jest w toku i zostanie to naprawione.

Czwarty błąd dopiero nadchodzi. MSWiA wraz z resortem infrastruktury kończą prace nad urealnieniem kar za wykroczenia drogowe. Z pewnością zwaloryzowany zostanie taryfikator mandatów, który nie był zmieniany od ponad 20 lat i który spowodował, że kary w relacji do zarobków stały się mało dokuczliwe. Wiadomo też, że rząd chce powiązać punkty karne za niektóre wykroczenia ze stawkami OC oraz że wreszcie wprowadzi – przygotowane przecież też dekadę temu – zapisy pozwalające na automa-

tyczne karanie posiadacza pojazdu za wykroczenia z fotoradaru (będzie mógł wskazać sprawcę, po przekroczeniu terminu zapłaci karę administracyjną). Nie było lepszego momentu na wprowadzenie tych zmian, jak właśnie przy okazji gruntownej zmiany prawa drogowego. Wówczas można to było dobrze umotywowować, że chodzi o bezpieczeństwo. Z każdym mijającym dniem będzie to trudniejsze politycznie, choć – jak wynika z sondaży, które ma Ministerstwo Infrastruktury – zdecydowana większość Polaków popiera podniesienie kar dla tych, którzy zagrażają innym na drogach.

Taki sposób wprowadzania zmian w prawie drogowym byłby nie do pomyślenia w jakimkolwiek zachodnim kraju. My możemy jedynie powiedzieć: po 30 latach dobre i to. Czy jednak wciąż musimy się tak pocieszać i nie stać nas na prowadzenie racjonalnej polityki?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Co dokładnie zmieniło się w prawie na drogach:

- Dojeżdżając do przejścia dla pieszych, kierowca musi zachować szczególną ostrożność i ustąpić pierwszeństwa pieszym znajdującym się na przejściu lub na nie wchodzącym. Piesi wchodzący na przejście mają pierwszeństwo przed pojazdami, z wyłączeniem tramwajów.
- Piesi mają wyszczególniony zakaz używania telefonów komórkowych i urządzeń elektronicznych już od momentu wchodzenia na przejście. Ustawa zakazuje jednak używania tych urządzeń jedynie w sposób, który ogranicza możliwość obserwacji drogi.
- Ujednolicona została dopuszczalna prędkość w obszarach zabudowanych. Nie ma już podwyższonego nocnego limitu. Przez całą dobę w obszarze zabudowanym można jechać maksymalnie 50 km/h (chyba że oznakowanie inaczej ustala ten limit).
- Ustawowo określona została bezpieczna odległość, którą kierowca powinien utrzymywać od poprzedzającego go pojazdu na drogach szybkiego ruchu (autostrady i drogi ekspresowe). Ustalono ją wzorem niemieckim jako połowę aktualnej prędkości pojazdu wyrażoną w metrach. Zatem jadąc np. 100 km/h, należy utrzymać co najmniej 50 m odstępu od poprzedzającego pojazdu.

Orla Straż

Najpierw autobusem z Gdyni do Warszawy, potem autokarem do Kijowa, a stamtąd tanimi liniami do Stambułu. W Stambule prześiadka na lot do Irbilu, stolicy irackiego Kurdystanu. Potem na północ, w pobliżu linii frontu w miejscowości Teleskoff, taksówką dzieloną z innymi pasażerami. – Podróż trwała dwie doby. Chodziło o to, żeby dostać się do Iraku jak najtańiej. Bardzo zależało mi na tym, żeby samemu zobaczyć, jak jest na miejscu. Nie wierzyłem przekazowi medialnemu – wspomina swoją pierwszą podróż do Iraku Bartosz Rutkowski, żołnierz, nurek, oficer w stopniu komandora podporucznika. Dziś w rezerwie.

W 2015 r. przeczytał artykuł o tym, jak we wsi niedaleko syryjskiego Aleppo terroryści z ISIS ukrzyżowali 12-latkę. – Zadałem sobie pytanie: Czy gdyby to dotyczyło mojego syna, Antka, który był wówczas rówieśnikiem tamtego chłopca, chciałbym, żeby wszyscy mieli to gdzieś, i czy mogę coś zrobić, żeby ta historia się nie powtórzyła? Doszedłem do wniosku, że jeśli przewróciłbym życie do góry nogami, to byłbym w stanie uratować choć jedno dziecko – wspomina.

Sięgnął po kartkę papieru. Zrobił plan i złożył wymówienie. Przeszedł na wojskową emeryturę. Sześć dni później był już w drodze do Irbilu. Po powrocie założył fundację Orla Straż, która pomaga ofiarom terrorystów, odbudowuje ich dawne życie. Fundacja jak dotąd podniosła z gruzów 70 domów i pomogła w stworzeniu 85 miejsc pracy, udziela pomocy psychologicznej, pomaga szkołom.

NA LINII FRONTU

Rutkowski po raz pierwszy do Iraku wyjechał jako współpracownik małej stacji telewizyjnej, obiecując w zamian darmowe materiały. – Dziennikarzowi łatwiej dotrzeć do pewnych miejsc niż turyście – tłumaczy. – Spotkałem wielu ludzi: od biskupów przez rzemieślników, rolników, żołnierzy do uchodźców i przesiedleńców. Byli rozgoryczeni, bo przede mną odwiedziło ich wielu ludzi, ale nikt nie wrócił z pomocą. Pamiętam, jak dotarłem na linię frontu w Teleskoff. Dwa kilometry dalej były pozycje ISIS. Dowódca samobrony chrześcijańskiej pokazał mi zeszyt, w którym zapisywał, ilu dziennikarzy mediów zachodnich ich odwiedziło. Na liście były największe stacje telewizyjne z USA, Wielkiej Bry-



Agnieszka Niewińska

Kiedy Bartosz Rutkowski przeczytał o tym, jak ISIS ukrzyżowało 12-latkę, zrezygnował ze służby wojskowej. Postanowił wspierać ofiary terroryzmu. Przez pięć lat pomógł m.in. odbudować 70 domów i 85 miejsc pracy

tanii i Niemiec. „Nikt nigdy nie wrócił tu z pomocą” – powiedział mi ten dowódca. Kiedy kilka miesięcy później wróciłem z pomocą, rozplakał się.

Mimo że od szturmowania ISIS, ludobójstwa lokalnej ludności, minęło siedem lat, sytuacja wielu ludzi się nie zmieniła. Część z nich to migranci wewnętrzni, pozostający poza kręgiem zainteresowania organizacji międzynarodowych. Żyją w namiotach czy kontenerach, które stały się ich domami. Jedni w obozach, inni tuż za ich rogatkami, na jakimś wolnym skrawku ziemi. – Nie mają możliwości pracy, uprawy ziemi, a chodzi o to, żeby wrócili do życia, które było przed atakiem. Na początku tego roku była największa fala samobójstw w obozach. Ludzie po prostu nie wytrzymują tego, że się nic nie zmienia, nie mają nadziei. Boją się, że świat uzna, że oni tacy są, że tam tak jest – ludzie rodzą się w obozach i umierają w obozach.

Orla Straż odbudowuje górskie wioski jeżydów, świadomie niszczone przez ISIS. Terroryści wysadzali domy jeden po drugim. – W jednym miejscu leżą gruzy, a kilka metrów dalej za pieniądze z Polski powstają nowe domy. Miesz-

kańcy sukcesywnie do nich wracają. Ale żeby do takiej wioski móc wrócić, muszą się tam otworzyć piekarnia, sklepik, gabinet lekarski czy warsztat samochodowy, bo tam nie ma transportu publicznego. Stąd też nasz projekt „Dobra Praca”, w ramach którego pomagamy odbudować miejsca pracy. Jeśli jedni wracają i otwierają działalność, to innym jest łatwiej zrobić ten krok – opowiada Rutkowski.

Orla Straż pomogła w stworzeniu m.in. pracowni krawieckich, szewskich, piekarni, sklepików, warsztatów samochodowych, punktów naprawy AGD, a także hodowli zwierząt. Salwa i Ghanim, rodzice trojga dzieci, przed ISIS uciekli na północ, do miasta Dahuk, gdzie zamieszkali w domu kultury. Potem przenieśli się do Alkusz, które leży bliżej ich rodzinnej miejscowości. Tam udało im się przeżyć dzięki pomocy mieszkańców. Na powrót do rodzinnego Teleskoff czekali dwa lata. Zanim wybuchła pandemia, Salwa pracowała w sklepiku szkolnym. Ghanim, który cierpi na niedowład prawej dłoni, nie każdą pracę jest w stanie wykonywać. Dzięki wsparciu Orlej Straży rodzinie udało się otworzyć niewielki

z Polski

TAK SIĘ POMAGA LUDZIOM **KRAJ**



Bartosz Rutkowski, były żołnierz, który zajął się ludźmi krzywdzonymi przez terrorystów FOT. FUNDACJA ORLEJ STRAŻ

zakład szewski w centrum miasta, który daje szansę na dochód dla rodziny.

KOZY I KURY W „ZESTAWIE STARTOWYM”

– W tamte rejony jeździ dużo organizacji, które mówią ludziom, jak mają żyć. Tymczasem oni sami dobrze to wiedzą. Jeśli ktoś przed wojną hodował kozy, a ISIS mu te kozy wybiło albo ukradło, to on nie zostanie nagle maklerem giełdowym. On chce mieć kozy i trzeba mu te kozy odkupić – mówi założyciel Orlej Straży. – Dzięki wsparciu naszego projektu przez polski rząd 250 rolnikom przekazaliśmy „zestaw startowy”: cztery kozy lub owce, cztery kury, małe zabudowanie dla zwierząt, kurnik z wybiegiem i pasze na cztery miesiące. Taki zestaw to koszt 8 tys. zł. Po roku rekordzista – Salim, który mieszka w dzikim obozowisku w Khanke – miał już stadko 10 kóz. Kiedy go spotkałem, z niewoli wrócił jego syn. Los żony i córki dalej był nieznany. „Przed wojną byłem bogatym człowiekiem, miałem ogromne stada zwierząt. Teraz kiedy rano biorę to stadko 10 kóz i idę przez wioskę, to są to dla mnie jedyne chwile, kiedy przypominam sobie normalne życie” – powiedział mi.

Orla Straż oprócz Iraku realizowała projekty wśród Koptów w Egipcie oraz w Syrii czy w Libanie. Bartosz Rutkowski zaznacza, że jedną z zasad organizacji jest to, by nie realizować własnych pomysłów na pomoc, ale odpowiadać na potrzeby ludzi. I tak w jednej z irackich szkół na prośbę dyrektora zakupili grzejniki i naftę, by uczniowie i nauczyciele nie marzli w zimie. Zaopatrzyli szkołę w środki czystości, założyli też karnisze i zasłony w klasach, bo przez ostre irackie słońce dzieci nie widziały tablicy. Rutkowski wspomina, że w jednej z odwiedzanych szkół usłyszał o tym, jak kiedyś od jednej z organizacji dostali ksero z drukarką, tyle że nie mieli do czego go podłączyć. Nie było ani prądu, ani generatora.

Do Bartosza Rutkowskiego dołączyło dwóch innych byłych żołnierzy – Dariusz Celiński i Krzysztof Plażuk. Po przejściu na emeryturę zaangażowali się w pomoc ofiarom terroryzmu na Bliskim Wschodzie. Cztery z członków Orlej Straży – Dawid Czyż – w 2016 r. wyjechał do Iraku, by jako ochotnik walczyć z Państwem Islamskim w szeregach chrześcijańskiej jednostki samoobrony. Wcześniej pracował m.in. jako listonosz w Sosnowcu.

Bartosza Rutkowskiego poznał w Iraku, wracając z frontu.

Fundacja do Iraku nie wysyła wolontariuszy, współpracuje z miejscowymi małymi organizacjami. – Koszt wysłania wolontariusza na parę miesięcy do Iraku jest taki, że za to utrzymamy tam kobietę z rodziną przez dziewięć miesięcy, a może i przez rok. Nie wozimy też darów rzeczowych, bo transport jest zbyt drogi. Nie całe Syria i Irak są zniszczone, wszystko można kupić na miejscu. Jak potrzebowaliśmy USG do centrum onkologicznego, to kupiliśmy tam światowej klasy aparat z dodatkową głowicą dla dzieci, z gwarancją i instrukcją w miejscowym języku – tłumaczy założyciel Orlej Straży. Podkreśla, że fundacja stara się, by koszty administracyjne były minimalne. – W fundacji pracuję społecznie. Chcemy, by ponad 90 proc. darowizn szło bezpośrednio na pomoc potrzebującym, i przez ostatnie pięć lat się to udawało.

„CZY ZNASZ SWOJEGO PROBOSZCZA?”

Po koniec maja Bartosz Rutkowski został laureatem Nagrody im. Jana Rodowicza „Anody”. Przyznawana jest przez Muzeum Powstania Warszawskiego i nazywana niekiedy nagrodą dla „powstańców czasu pokoju”. – Czytając o działalności Bartosza Rutkowskiego, dowiedziałem się, że obaj jego dziadkowie walczyli w podziemiu. Jeden w NSZ, drugi w AK. Pomyślałem sobie: niech mnie ktoś przekona, że ta fundacja nie ma żadnego związku z ich służbą. Przecież wszyscy wiemy, że ma i że obaj dziadkowie chętnie by się do Orlej Straży przyłączyli. Choć inne są miejsce i czas, to ciągle przecież chodzi o to samo: o wolność, godność, solidarność i miłosierdzie – mówił filozof Dariusz Karłowicz w swojej laudacji na cześć laureata.

Jak włączyć się w działania Orlej Straży? Bartosz Rutkowski zaprasza na jej stronę internetową: orlastraz.org. – Zależy nam na tym, by jak najwięcej osób dowiedziało się o tym, co robimy. Czasem gdy ktoś chce wiedzieć, jak może pomóc, to pytam, czy zna swojego proboszcza, który mógłby nas zaprosić na spotkanie z parafianami. Kiedy przy takich okazjach proszę o wsparcie, mówię, że ci, którym pomagamy – mechanicy, rolnicy, piekarze – to ludzie tacy jak my.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Orlą Straż można wesprzeć, przekazując darowiznę na rachunek bankowy:
06 1020 1853 0000 9102 0294 3074.**



Kadr z filmu „Nomadland” (Frances McDormand jako Fern i David Strathairn jako Dave) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dramat Florian Zeller z wybitną rolą Anthony’ego Hopkinsa omawiałem osobno; o „Nomadlandzie” i „Minari” należy pisać razem, bo są to dzieła, które się uzupełniają, które niespodziewanie weszły w dialog o korzeniach Ameryki i chorobie dziś te korzenie niszczącej.

Obydwa filmy są dziełami imigrantów: autorka „Nomadlandu” Chloé Zhao to Chinka urodzona w Pekinie, bogaci rodzice wysłali ją do Wielkiej Brytanii i USA, by zdobywała wykształcenie.

Autor „Minari” to z kolei Lee Isaac Chung, który przyszedł na świat już w Ameryce, ale jego rodzice byli przybyszami z Korei Południowej. Nie powinno nas to dziwić: Ameryka to kraj imigrantów, Hollywood od początków swego istnienia opowiadało amerykańskie sny rękami przybyszów z Niemiec, Polski czy ze Szwecji.

Zjawisko pozostało, zmienił się kierunek, dziś wezbrała azjatycka fala, po części dlatego, że amerykańskie uczelnie szeroko otwierają wrota przed młodymi talentami z tamtej części świata, a po części dlatego, że dla wielu mieszkańców Azji (nie tylko Chin i Korei, lecz także

Korzenie



Piotr Gociek

Tydzień temu „Ojciec”, teraz „Nomadland”, a wkrótce „Minari” – najgłośniejsze i najlepsze filmy minionego roku trafiają wreszcie do polskich kin

Indii i innych krajów) to wciąż wymarzony raj, miejsce, w którym można zacząć od początku i znaleźć wolność, chleb oraz swoje nowe miejsce na Ziemi. Całkiem jak w czasach, kiedy chińscy robotnicy budowali kolej żelazną w XIX-wiecznej Ameryce, a same Stany Zjednoczone

nazywane były przez nich Gam Saan – Żółtą Górą. Znamy i w Polsce książkową opowieść Lisy See „Na Żółtej Górze” o losach jej chińskiej rodziny i szerzej, o chińskiej imigracji sprzed stulecia.

To doświadczenie przeniesienia – wykorzenienia i próby zakorzenienia się na



Kadr z filmu „Minari” (Steven Yeun jako Jacob) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nowo – jest kluczową częścią amerykańskiej kultury i tożsamości. Podobnie jak wizja USA, którą w słowach ujął prezydent Ronald Reagan: „Ameryka jest jak jaśniejące miasto na wzgórzu, którego światło jak latarnia prowadzi zewsząd ludzi miłujących wolność”. Nawiązanie do biblijnego Nowego Jeruzalem było u Reagana i oczywiste, i naturalne.

W filmie „Minari” sympatyczna rodzina Yi – imigrantów z Korei Południowej – przenosi się z Kalifornii do Arkansas. Głowa rodziny, Jacob Yi (Steven Yeun), marzy o własnej farmie, kupuje więc kawałek żyznej ziemi, nabywa używany traktor i próbuje to marzenie zrealizować (jego pomagierem zostaje zresztą – ciekawe odwrócenie znaczeń – lekko szurnięty weteran wojny w Korei). Aby zapłacić bieżące rachunki, państwo Yi zatrudniają się na pobliskiej kurzej fermie. Łatwo nie jest. Monica, żona Jacoba (Han Ye-ri), nie podziela jego optymizmu. Jednocześnie coraz bardziej martwi się o zdrowie chorującego na serce syna (to z punktu widzenia dzieciaka poznajemy całą historię). Wkrótce do Ameryki przybywa więc także potrzebna pomoc, czyli

babcia (nagrodzona Oscarem za rolę drugoplanową Youn Yuh-jung).

Wszystko to dzieje się w latach 80. XX w., ale przeciwności, z którymi zmagają się rodzina Yi, są wieczne. Skąd wziąć wodę? Co zrobić, gdy studnia wyschnie? Jak przetrwać uderzenie wrogich żywiołów? Przybysze niewiele wiedzą o uprawie ziemi, żyją z dala od pobratymców (miejscowa społeczność koreańska jest bardzo nieliczna), muszą liczyć tylko na siebie, całkiem jak ci, którzy w połowie XIX stulecia przybywali do Arkansas z Europy i ze wschodnich Stanów, by spróbować znaleźć dla siebie nowe miejsce pod słońcem. Jacob jest pionierem, tak jak pokolenia innych przed nim, czyniących sobie ziemię poddaną. Babcia Soon-ja, której mały David początkowo nie cierpi, jest strażnikiem pamięci i tradycji. Wkrótce po przybyciu do Ameryki wybiera się na długą przechadzkę w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, by zasadzić minari (znacie tę roślinę, jecie ją w koreańskiej surówce kimchi). Minari to najlepsza na świecie roślina, tłumaczy babcia Soon-ja, bo rośnie wszędzie, gdzie się ją posadzi. Stąd tytuł filmu „Mina-

ri” – opowieści o zapuszczaniu korzeni w nowym miejscu.

„Nomadland” Chloé Zhao (Oscar dla najlepszego filmu i za najlepszą reżyserię) to z kolei opowieść o tych, których korzenie brutalnie wyrwano. Nie stało się tak za sprawą uzbrojonych band grasantów w sombreroach i chustach zasłaniających twarze ani trąb powietrznych czy ulew albo suszy. Nie wojna, nie rewolucja, lecz patologie współczesnego kapitalizmu wyrzuciły na bruk – a potem na szlak – tysiące Amerykanów, nad których losem pochyliła się w reporterskiej książce pod tym samym tytułem Jessica Bruder.

Przodkowie Fern (nagrodzona Oscarem Frances McDormand) przemierzali Amerykę, szukając ziemi do uprawy, lasów do karczowania, pastwisk do wypasu bydła, dzierżąc w nawykłych do ciężkiej pracy dłoniach własną przyszłość. Fern i jej podobni zostali wypłuci przez chory system, targany finansowym kryzysem lat 2008–2009, zamykający huty, kopalnie i fabryki gipsu, eksportujący miejsca pracy do Indii, Chin i Meksyku. System, który ocalił banki i spekulantów finansowych będących przyczyną kryzysu, ale nie znalazł złamanego dolara, by ocalić hipoteki, kredyty i posady tych, którym paroksyzmy neoliberalizmu zniszczyły życie.

Tak powstała nowa podklasa włóczęgów, z tą jednak różnicą, że Fern i inni wędrują po Ameryce w poszukiwaniu pracy, a nie datków; nowej nadziei, a nie domów do obrabowania. Dawne życie pozostawili za sobą, wraz z niespłaconymi domami i funduszami emerytalnymi, które wyparowały wraz z bankructwem fabryk, w których kiedyś pracowali, zamkniętymi sklepikami, które nie wytrzymały konkurencji z wielkimi sieciami handlowymi oraz Internetem. Czasem to właśnie jedna z tych firm, które niszczą dawny model gospodarki, rzuci współczesnym nomadom ochłap w postaci niskopłatnej pracy: kiedy już wszystko zawiedzie, zawsze możesz zatrudnić się w centrum wysyłkowym Amazona.

Książka Jessiki Bruder była zapisem doświadczeń ludzi, których osobiście poznała i których losy śledziła; kawał znakomitej reporterskiej roboty w dobrym stylu. Zaufali jej, opowiedzieli jej o sobie, podzielili się rodzinnymi traumami. W oryginale reportaż nosił podtytuł „Surviving America in the Twenty-First Century”, co zostało niepotrzebie

zredukowane w polskiej edycji do „W drodze za pracę”. „Istnieli zawsze: wagabundzi, włóczyki, wędrowni pracownicy, niespokojne duchy. Jednak teraz, w trzecim milenium, pojawiło się nowe koczownicze plemię – pisze o swoich bohaterach Bruder. – Ludzie, którzy nigdy nie przypuszczali, że zostaną nomadami, wyruszają w drogę. Rezygnują z tradycyjnych domów i mieszkań i przeprowadzają się do tego, co nazywa się czasem »nieruchomościami na kółkach« – do busów, kamperów z odzysku, szkolnych autobusów [...]. Zostawiają za sobą dylematy nie do rozwikłania, przed którymi staje dziś dawna klasa średnia. Wolisz mieć na jedzenie czy pójść do dentysty? Spłacić ratę kredytu czy rachunek za prąd? Uregulować ratę za samochód czy kupić leki? Wydać na czynsz czy na spłatę pożyczki studenckiej? Szarpnąć się na zimowe ubranie czy na paliwo, żeby móc dojechać do pracy?”. Nie lubią, dodaje Bruder, gdy mówi się o nich „bezdumni”. Przecież mają domy: śpią we wnętrzach własnych pikapów z zabudowaną paką, przyczep kempingowych i zwyczajnych sedanów (tylne siedzenie auta też może być domem). Preferują więc określenie „bezmiejscowi”.

Chloé Zhao przerobiła tę opowieść po swojemu, zmieniając akcenty. Owszem, zachowała klimat paradokumentalny, wybrane doświadczenia rozmaitych bohaterów książki scalała w los Fern i kilkorga napotkanych przez nią innych nomadów. Odrzuciła jednak w dużym stopniu ton antykapitalistycznej tyrady, wychodząc zapewne z założenia, że film to nie wstępniak do „New York Timesa” ani analiza społeczno-gospodarcza. Oczywiście zachowała te wątki w pewnym stopniu, ale nie pozwoliła, by przesłoniły pytania o los tych, którzy w drodze: trudna teraźniejszość i niepewna przyszłość fascynują Zhao bardziej niż ponura przeszłość. I oto chińska reżyser wkrzesza na ekranie amerykański mit, zastanawiając się, czy jednak nie znajdziemy czegoś, co łączy osadników sprzed stuleci oraz współczesnych nomadów. Czy wyrzuceni poza nawias społeczeństwa włóczędzy nie odkrywają aby, że istnieje świat wart czegoś więcej niż tylko przelotnego



spojrzenia oka przez okno podczas podróży autostradą?

Nie do końca się z tą wizją zgadzam. Romantyzm, wolność, nowe możliwości: trudno się tym rozkoszować, kiedy w brzuchu burczy i nie stać cię na wizytę u lekarza, a najbliższa zima spędzona w samochodzie może cię wysłać do krainy wiecznych łowów. Zhao oczywiście nie ma racji. Ale jednocześnie Zhao ma rację, bo przypomina, że wędrowka założycieli kolejnych stanów, miast i wiosek też była mitręgą, mordęgą i trudem wielce niebezpiecznym, a w chwilach próby jednak przeklinano okrutną naturę, jak i podziwiano jej

surowe piękno. Książka Jessiki Bruder to lektura ponura, nie daje pocieszającego finału; film Zhao pod koniec niespodziewanie zbiega się z przesłaniem z „Minari”: najważniejsze jest znalezienie swojego kawałka ziemi, wbicie w niego zębów i pazurów, zapuszczenie na nowo korzeni. Bez tego jesteśmy jak zeschłe liście na wietrze, cóż z tego, że unoszone na tle wielce pięknych i romantycznych krajobrazów.

Paradoks – oto przybysze z zewnątrz, Koreańczyk i Chinka, przypominają Amerykanom o tym, co ważne, i o tym, na czym zbudowano amerykański świat. Cytując piosenkę U2 z filmu Martina Scorsese „Gangi Nowego Jorku”: „These are the hands that build America”. Z zewnątrz widać lepiej, a i szkodliwe mody można ominąć. Nie ma więc w „Minari” ani w „Nomadlandzie” tego samobójczego, obsesyjnego samobiczowania się współczesnej Ameryki. Rodzina Yi z filmu „Minari” to praktykujący katolicy, cały film przesycony jest kultem pracy i współpracy (by zbudować lepszą przyszłość, nie wystarczy zasadzić minari nad strumieniem; rodzina musi się zjednoczyć). W „Nomadlandzie” akurat pierwiastka duchowego nie znajdziemy, są za to wrażliwość, troska i zrozumienie dla pogardzanych przez amerykańskie elity i liberalne media przedstawicieli podkłasy white trash. I jest to troska prawdziwa, a nie udawana, jak w fałszywie brzmiącej ekranizacji „Elegii dla bidoków” dokonanej przez Rona Howarda. (Książka J.D. Vance’a była znakomita i do bólu prawdziwa oraz niepoprawna politycznie,

film Howarda to wyczyn w stylu „liberał patrzy na zoo”).

Jeśli powrót do korzeni, to i tradycja literacka; zdaje się, że w Ameryce uważniej czytają ją dziś przybysze. I tak Lee Isaac Chung, reżyser „Minari”, chciał początkowo zrobić film na motywach prozy Willi Cather, wybitnej amerykańskiej pisarki, która była piewą amerykańskiego pogranicza oraz trudu tych, którzy budowali tam swoje życie, szczególnie imigrantów. Chung przymierzał się do ekranizacji powieści „Moja Antonia” (była dwukrotnie wydana w Polsce), której bohaterem jest chłopiec żyjący w rodzinie pionierów w Nebrasce lat 70. XIX stulecia. Otaczają go osadnicy z Czech, Rosji i krajów skandynawskich. Ostatecznie jednak Lee Isaac Chung postanowił sięgnąć do doświadczeń własnych i własnej rodziny. Tak powstał film „Minari”.

Pamiętamy, że i Polacy podążali tą samą drogą, szukając nowego życia – od czasów zaborów do emigracji solidarnościowej. Szkoda, że nie udało się w żaden ciekawy sposób oddać tego narodowego doświadczenia w filmie – nie licząc parodystycznych „Kochaj albo rzuć” Sylwestra Chęcińskiego oraz „Szczęśliwego Nowego Jorku” Janusza Zaorskiego. Wstrząsający obraz pokazał dramaturg Janusz Głowacki, pisząc „Antygonę w Nowym Jorku”, ale uchwycił jedynie fragment, w dodatku dla budowy amerykańskiego mitu mało istotny. Los zdychających na nowojorskim bruku bezdomnych porusza, ale Amerykę budowali jednak ci, którym się udało.

Polskie kino czeka na swoje „Minari”, nie wiem, czy się go kiedyś doczeka. Na razie pojawiają się jedynie skromne próby analizy emigracyjnej tymczasowości (jak u Domańskiego w „Jak najdalej stąd” albo nakręconym w 1982 r. filmie „Fucha” Jerzego Skolimowskiego). Może odpowiedź jest okrutna: może takich opowieści o zapuszczaniu korzeni na obczyźnie nie dostaliśmy, bo Polakom po prostu się zwykle nie udawało? Bez przesady, udawało się częściej, niż myślimy. Druga odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, jest z kolei ponura: może tych opowieści nie mamy, bo ci, którym się udało, po prostu się swych korzeni wstydzą? A może wstydzą się raczej lub wyrażają głęboki brak zainteresowania ci, którzy mogliby o tym w formie artystycznej opowiedzieć? Ech, temat na rozważania przy innej okazji.



Radość grania, radość oglądania



Grzegorz
Kondrasiuk

Pamiętnego 23 maja, w dniu zakończenia pandemicznego postu, postanowiłem już dłużej się nie umartwiać. Dlatego, pomny wspomnień z teatrów Studio, TR i Powszechnego (niektórymi dzieliłem się z Państwem w poprzednich numerach „Do Rzeczy”), swoje kroki skierowałem na ul. Litewską, do teatru Syrena. I nie żałuję! Może i przez polskie sceny przelewa się właśnie powódź arcydzieł... Przekonamy się i o tym, czy szuflady twórców podczas stanu wojennego zapełniły się, czy pozostały puste.

Tymczasem, celebrując po swojemu otwarcie przybytków sztuki, wolałem zacząć „od środka”, od teatralnej codzienności, od repertuarowego urobku. Żadne tam premiery i bankiety, choć spektakl to przecież, zważywszy na okoliczności, świąteczny i nadzwyczajny. Bo oto dziarsko wkracza na scenę Syreny dyrektor, Mikołajczyk Jacek, by wygłosić wzruszającą przemowę, jak to wspaniale po tak długiej przerwie będzie dla państwa zagrać i jak bardzo za to państwu dziękujemy. Do myślam się, że właśnie o tym miał być dyrektorski spicz, ale nie dane było widzowi wysłuchać go z odpowiednim wzruszeniem. „Prześmiać smęcić, spadaj ze sceny, daj w końcu pograć” – przerywają

mu zza dekoracji niecierpliwe kwestie w tym stylu. Wyłania się długowłosa wytapirowany osobnik z odpowiednio wyeksponowaną, półnągą klatą, chwyta za mikrofon i wrzeszczy na tle hardrockowych riffów: „K..., otworzyli nas!”. I tak oto rozpoczęło się któreś z kolejnych wykonań polskiej prapremiery musicalu „Rock of Ages”, wyreżyserowanego przez Jacka Mikołajczyka. W roku 2019, po „Rodzinie Addamsów” i „Czarownicach z Eastwick”, postanowił zapoznać polską publiczność z tym broadwayowskim hitem, cieszącym się światową popularnością, przeniesionym także i – w gwiazdorskiej obsadzie – na ekrany kin. Spektakl żyje, przyciąga komplety.

Ścieżka dźwiękowa „Rock of Ages”, zgodnie z regułami gatunku jukebox musical, oferuje znane skądinąd kawałki hard-, pop- czy glamrockowe. Nie ma co doszukiwać się tu wyrafinowanych konstrukcji muzycznych czy tekstowych, bo ważne jest przecież coś innego: zanurzenie się w tamte nastroje i harmonie, w balansującą na granicy obciachu, ale przecież chwytliwą konwencję rockowej ballady czy rozbrajająco naiwnych protest songów. To się może podobać. Bo czy ktokolwiek z nas nie grzeszył, zapędzając się jako słuchacz w te rejony? Fabuła wydaje się nie przekraczać horyzontu poznawczego zakreślonego przez hiciory Styxu, Bon Joviego, Poison, no i oczywiście – nieśmiertelnego Europe z nieśmiertelnym „Final

Countdown”. Jest to jeszcze jedna melodramatyczna wariacja na temat pierwszej miłości, pierwszego rozczarowania, skrzyżowana z rockowym wariantem amerykańskiego mitu „od pucybuta do milionera”. Los Angeles, lata 80., młody songwriter i wokalista Drew, sprzątający toaletę klubu przy Sunset Strip w oczekiwaniu na swoje pięć minut (Karol Drozd), i początkująca aktoreczka, a na razie barmanka Sherrie (Dominika Guzek)... Rozwija się ten romansik, z przeszkodami, a jakże, a wokół rockmani, grupies, ćmy barowe – sceneria, która już lata temu przeniosła się w obszary stereotypu, do bólu zużytego i opatrzonego, choć po świecie snują się przecież jeszcze ostatni Mohikanie tego plemienia.

Miałem trudności z przestrojeniem się na rubaszny humor płynący ze sceny, bo jak przezornie ostrzegają twórcy, „w spektaklu występują słowa uważane za niecenzuralne oraz liczne aluzje seksualne”. Ale im więcej w kolejnych scenach nawarstwiało się banału, tym mocniej zaskakują poukrywane tu i ówdzie miejsca pogłębiane, szydercze i ironiczne. Oto śpiewak wykonuje skomponowaną dla swej ukochanej miłosną balladę, podczas gdy... Cóż, nie zdradzajmy za wiele. Albo brawurowy Przemek Głapiński jako obarczony funkcją narratora Lonny, erotoman i technik klubu Bourbon Room, ten właśnie osobnik, który przegonił ze sceny przemawiającego dyrektora. Ma swoje pięć minut w demaskatorskim,

standuperskim, brechtowskim monologu, natrząsając się z możliwości scenki teatru Syrena, z pandemicznej dziury budżetowej, z rockowego sztuczdyła, w którym przyszło mu grać, z publiczności, z zespołu, a może i z kondycji ludzkiej. Choć pojawiają się poważne tematy, a nawet odniesienia do rzeczywistości zaraz za ścianami teatru Syrena, które można uznać za aktualne (nie tylko rock, lecz także i łapówki dla prezydenta miasta, deweloperka, aktywności...), to formuła tej współczesnej baśni, pozornie naiwna, w istocie szydercza, unieważnia dokładnie wszystko, co napotka na swojej drodze. Bo skoro opera ma swoje szczyty boskiego idiotyzmu, ujawnione w operetkach, to i musical ma prawo wspinać się na te wyżyny i można się w tym stylu rozsmakować. Śmiech objawi wtedy swój anarchiczny potencjał – morderczo zmiksowany ze staroświecką już dziś formą. A do tego wszystkiego aktor śpiewający i tańczący niczego dodatkowego na scenie nie musi czy też – nazywając rzecz po imieniu – nie dźwiga słodkiego brzemienia Autorytetu Moralnego. Nie ma żadnych wymagowanych obowiązków poza ekspresją swojego talentu i pilnowaniem prawideł warsztatu. I zespół Syreny pilnuje, i to jak! Grają jak opętani, cieszą się występem, szukają kontaktu. Może się mylę, ale radość grania była tego wieczoru dominantą na scenie, tak jak na widowni była nią radość oglądania. ©©



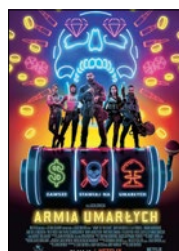
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Trupia zabawa



★★★★★

REŻ. ZACK SNYDER
„ARMIA UMARŁYCH”
 („ARMY OF THE DEAD”)
 USA 2021

wyst. Dave Bautista, Ella Purnell

Wymarzony projekt Zacka Snydera (walczył o realizację wiele lat) ma wszystkie zalety i wady produkcji fanowskiej – w tym przy-padku fanem historyjek krwawych, zaskakujących i popkulturowych do bólu jest oczywiście sam reżyser, który pożyczka, skąd popadnie. Gdybym sam miał sprzedać taki scenariusz szefowi hollywoodzkiej wytwórni, napisałbym na zachętę: „Ucieczka z Nowego Jorku” skrzyżowana z „Ocean’s Eleven”, a wszystko to w mieście opanowanym przez zombi.

Miastem krwiożerczych nie-umarłych okazuje się Las Vegas, obecnie odizolowane od reszty świata. Żyjące tam zombi nie są tak bezmyślne i niezorganizowane jak ich pobratymcy z typowego horroru, mają swego lidera,

mają kastę przywódczą. Można się z nimi nawet (do pewnego stopnia) porozumieć. Dobę przed planowanym zrzućeniem na Las Vegas bomby atomowej grupa najemników wkracza do miasta, by dokonać skoku stulecia. W sejfie jednego z kasyn czeka bowiem 200 mln dol. Uzbrojeni po zęby śmiałkowicie wkraczają do akcji: ten to spec od wybuchów, tamten od otwierania sejfów, jest i specjalistka od latania helikopterami (uroczo zgryźliwa jak zwykle Tig Notaro). Oddziałem dowodzi Scott Ward (Dave Bautista), który podobnie jak kilku z jego towarzyszy miał już okazję walczyć z zombiakami w czasach, gdy wylęgły się w Vegas.

Najlepiej na „Armii umarłych” bawić się będą ci, którzy uwielbiają klimaty znane z filmu

N

Tima Burtona „Marsjanie atakują!”. Film Zacka Snydera jest także przede wszystkim pastiszem, po drugie hołdem dla gatunku, a dopiero po trzecie dokłada coś nowego. Zbyt wiele postaci sprawia, że niemal każda jest zbyt wątko naszkicowana, z drugiej strony sceny czystej akcji wypadają lepiej niż momenty „motywacji psychologicznej”. Od strony wizualnej wszystko jest ekstra (i ekstrawaganckie), mamy nawet tygrysa zombi, a zrujnowana stolica grzechu robi wrażenie. Z drugiej strony Snyder próbuje za wiele wrzucić do jednej potrawy. Wątki polityczne zdają się dołożone na siłę: obóz dla ewakuowanych z Vegas mieszkańców to karykatura ośrodków, w których przetrzymuje się w USA nielegalnych imigrantów, a prezydent cymbał, który chce wybuchem atomowym „patriotycznie” uświetnić święto 4 lipca, to cienka aluzja pod adresem sami wiecie kogo – już wysiedlonego zresztą z Białego Domu. ©©



NOWE SERIALE: „MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I ROBOTY”

Druga część antologii fantastycznych filmów animowanych składa się z zaledwie ośmiu epizodów (sezon pierwszy, z roku 2019, liczył 18). Oprócz pierwszego filmiku (mało oryginalny „Automated Customer Service”) wszystkie trzymają poziom, a grafika zachwyca różnorodnością. Najlepsze części to „Pop Squad”, mroczna opowieść o cenie

nieśmiertelności na podstawie prozy Paola Bacigalupiego oraz zamykający całość „Utopiony olbrzym”, ekranizacja jednego z najsłynniejszych opowiadań Jamesa G. Ballarda. ©©

Piotr Gociek
 • sezon 2 „Miłość, śmierć i roboty” („Love, Death & Robots”),
 USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Dominic Cooke „Gra szpiegów” („The Courier”), Wielka Brytania 2020
- sezon 2 „Rodzice” („Breeders”), Wielka Brytania 2021
- sezon 2 „Lupin”, Francja 2021

CINEMA

HD GO

HD GO

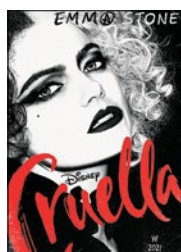
Nie lubię dalmatyńczyków

KINO

Wytwórnia Disneya składa hołd brytyjskiej popkulturze. „Wcale nie jestem zła, miałam tylko nieszczęśliwe dzieciństwo” – mogłaby powtórzyć za szeryfem z Nottingham tytułowa bohaterka. „Cruella” jest klasycznym prequelem – opowieścią o młodości postaci, którą publiczność już wcześniej zdążyła poznać. To również opowieść o zemście, oryginalna, o tyle że jej głównym narzędziem jest maszyna do szycia. Panna de Mon cierpi na typowe dla komiksowych herosów i heroin rozdwojenie jaźni. W pierwszym wcieleniu jest pocziwą Mirellą, zdolną znosić wiele upokorzeń, byle spełnić swoje marzenie – zostać projektantką mody. Ostatecznie

stworzy najlepiej ubrany gang w historii Londynu. Stylowa rządzi. Ramy czasowe fabuły pokrywają się z okresem, gdy Carnaby Street stała się mekką dandysów. Cruella jest kimś w rodzaju punkowej królowej. Jeden z jej współników to wykupany David Bowie z czasów, gdy udawał kosmitę. Pojedynek młodej wiedźmy ze starą aktorsko kończy się remisem. Obie Emmy ani na moment nie wypadają z ról. Scenarzyści, szukając inspiracji u Charlesa Dickensa i Lauren Weisberger, mimo chodem udowadniają, że każda epoka tworzy nowe mity. Czy geniusz zawsze musi być egoistyczny, często wredny i czasem szalony? Oto jest pytanie. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. CRAIG GILLESPIE
„CRUELLA”
USA 2021

wyst. Emma Stone,
Emma Thompson,
Joel Fry



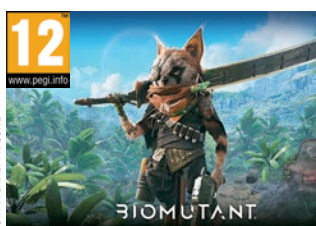
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „BIOMUTANT”

Postapokaliptyczny, zamieszkały przez zmutowane, człekokształtne zwierzęta świat znów staje na krawędzi zagłady. Ratować go będziemy w skórze jednego z biomutantów, wykorzystując cały arsenał możliwości. Chapeau bas przed twórcami polskiej wersji językowej.

W zwierzęcym świecie natrafiamy na przedmioty pozostawione przez ludzi, a zmutowane futrzaki same nadają im nazwy. Tłumacze zdali test z kreatywności, wymyślając takie perełki, jak: „piszczydynks”, „splukotron” czy „dźwiękowciskacz”. „Biomutant” to bez wątpienia gra oryginalna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



i przynosząca debiutującemu nią studiu rozgłos, ale miejscami jednak niedopracowana. © ©

Radosław Wojtas

- Gatunek: RPG akcji, TPP
- Platforma: PC, XONE, PS4
- Producent, dystrybutor: Experiment 101, THQ Nordic

17 LAT PÓŹNIEJ

HBO

Na sitcomie „Przyjaciele” wychowało się co najmniej jedno pokolenie, lecz niedysiejsi bohaterowie są zmęczeni. Żał patrzeć na nadgryzione zębem czasu (i skalpelem chirurga plastycznego) oblicza sześciorga aktorów, którzy zgodzili się wziąć udział w benefisie o metrażu godnym filmu kinowego. Jeśli ktoś liczył, że umieszczeni w zrekonstruowanych dekoracjach zdobędą się na coś więcej niż banalne wspominki i odczytanie z kartek kultowych dialogów, zgrzeszył naiwnością. Równie przewidywalne są inne atrakcje: pokaz serialowej mody, Phoebe śpiewająca „Cuchnącego kota” w duecie z Lady Gągą czy perlisty śmiech Janice. Kiedyś w quizie wiedzy o „Przyjaciółkach” stawką było mieszkanie, dziś to zaledwie pretekst do sentymentalnych wzruszeń.

Gwiazdy odpowiadają na pytania, siedząc pod fontanną znaną z czołówki sitcomu. Fontanna hałasuje, więc prowadzący odcina dopływ wody. Jakież to symboliczne.



wyst. Lisa Kudrow,
Matt LeBlanc,
Jennifer Aniston

★★★★★
REŻ. BEN WINSTON
„PRZYJACIELE.
SPOTKANIE
PO LATACH”
 („FRIENDS:
REUNION”)
USA 2021

NIEMIECKI PICASSO

arte

Odcinał się od ekspresjonizmu, lecz i tak uznano go za artystę „zdegenerowanego”. Dla Hitlera był uosobieniem wszystkiego, czego nienawidził w sztuce nowoczesnej: zniekształcania rzeczywistości, zamykania do egotyki i erotyki, francuskich inspiracji, jaskrawych kolorów. Na domiar złego Ernst Ludwig Kirchner lubił towarzystwo nagich kobiet, pił absynt i zażywał narkotyki. Berlin go męczył, więc zamieszkał w szwajcarskiej wiosce. Na wieść, że z niemieckich muzeów usuwa się i niszczy jego obrazy, zastrzelił się przed domem sąsiada. Pośmiertnie zrehabilitowany i doceniony, ostatnio znowu jest na cenzurowanym. W biograficznym dokumencie krytycy sztuki zamieniają się w adwokatów malarza prowokatora, broniąc go przed oskarżeniami o seksizm, rasizm i pedofilię. Kirchner radził sobie ze złą prasą w inny sposób. Publikował pod francuskim pseudonimem entuzjastyczne recenzje swych dzieł. © © recenzuje Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. SUSANNE BRAND
„ERNST LUDWIG KIRCHNER.
KONTROWERSYJNY GENIUSZ
EKSPRESJONIZMU” („ERNST
LUDWIG KIRCHNER.
FURCHTBAR GENIAL”)
NIEMCY 2021

★★★★★

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

PAWEŁ SZWED 1965–2021

Marka Szwed

Był ode mnie 13 lat młodszy, ale nigdy nie czułem przy nim tej różnicy wieku. Sprawiał, że człowiek przy nim młodził, a młodszy od niego poważnieli. I jedni, i drudzy go lubili, a najbardziej chyba autorzy, których książki wydawał. Nie wiem, czy zawdzięczał to intuicji czy wiedzy i doświadczeniu, ale sprawiał wrażenie, że na wydawanej książce zależy mu tak samo jak im, a może i bardziej.

Był facetem ambitnym, ale gdy zakładał swoje wydawnictwo Wielka Litera i zastanawiał się – jak opowiadał – nad jego nazwą, podpowiedziano mu, by zachodnim wzorem użył swego nazwiska. Odrzucił tę możliwość. Bo jak to by brzmiało: wydawnictwo Szwed? A przecież zaprzyjaźnieni z nim autorzy i tak na pytanie, gdzie wydają swoje tytuły, odpowiadali: u Szweda. Jego nazwisko stało się marką, co – moim zdaniem – głównie zawdzięczał swoim walorom osobistym. Paweł zarażał wszystkich energią, chęcią działania, humorem. W czasach, gdy się z nim już tylko spierałem, nawet po najbardziej zażartych kłótniach, nigdy nie czułem do niego urazy, zawsze miałem ochotę na spotkanie czy choćby zamienienie z nim kilku słów przez telefon. Zresztą, rzeczwiście, na ogół było to kilka słów, przedstawienie konkretnej sprawy, wymiana opinii, żart na koniec.

Poznałem go w końcu poprzedniego stulecia, chyba jeszcze gdy pracowałem w dziale krajowym „Życia”, tamtego „z kropką”. Ale znajomość ta nabrała rumieńców dopiero wtedy, gdy Paweł zastąpił Igora Jankego na stanowisku szefa PR wydawnictwa Świat Książki, a oficyna ta, ze swoim klubem książki, była wówczas potęgą. Wydawnictwem kierował Andrzej Kostarczyk, któremu zależało na ściągnięciu do wchodzącej w skład koncernu Bertelsmanna firmy zna-



FOT. WYDAWNICTWO WIELKA LITERA

nych, liczących się polskich autorów. I to się udało, a Paweł po wykonaniu solidnej „pijarowskiej” pracy zaczął kierować w wydawnictwie działem prozy, by niebawem zostać dyrektorem wydawniczym. Dyrektorował Światowi Książki przez sześć lat, a rozstał się z nim, gdy po zakupie oficyny przez Weltbild zorientował się, że nowemu właścicielowi bardziej zależy na sprzedaży krasnali ogrodowych i mopów niż literatury.

Ajemu na literaturze zależało i potrafił ją promować. To on organizował wtedy nowatorskie lekcje z pisarzami, np. w Toruniu, ale i w Wilnie, co udawało się połączyć zarówno ze zwiedzaniem pięknych miejsc, jak i z biesiadowaniem, płasami do białego rana i innymi atrakcjami, o których zmilczę, ale je pamiętam i dobrze wspominam. Jak zresztą zapomnieć roztańczonego Tomka Łubieńskiego w parze z Anią Piwkowską czy – mogłoby się zdawać zasadniczego – Bronka Wildsteina, który zaproszony przez Pawła do Wilna okazywał się duszą towarzystwa?

Najwspanialszą wspólną przygodą stać się miał jednak dwutygodniowy wyjazd do Włoch, które w większej grupie, m.in. z Hanną Marią Gizą i Krzysztofem Vargą, przejeżdżaliśmy autokarem w 1999 r., a na wyprawę tę jako wyjątkowego przewodnika zabrał Świat Książki Zygmunt Kubiaka,

autora niebotycznego bestsellera, którym stała się jego „Mitologia Greków i Rzymian”. Wspólnie podziwialiśmy piękno Wenecji i Capri, dumę Rzymu i Paestum, śniliśmy życie. Bo cóż innego można robić w Pompejach? Odkrywaliśmy krainę baśni na wybrzeżu Amalfi. A pokonując niezliczone kilometry, gadaliśmy, gadaliśmy bez końca.

A nadawaliśmy jeszcze na tych samych falach. Paweł zaangażował się bardzo w ustanowienie nagrody literackiej imienia Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, mającej szansę – przy wsparciu finansowym Bertelsmanna – stać się poważną przeciwwagą dla Nike. „Rzeczpospolita”, która w zamyśle miała być patronem prasowym nagrody, a w której wówczas pracowałem, nie wykazała jednak należytego zainteresowania. Dlaczego – nie bardzo wiedziałem, a dziś wiem i tym bardziej ten grzech zaniechania uważam za ciężki.

Minęło jednak trochę lat i oto w 2005 r., podczas wręczenia Eustachemu Ryłskiemu Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za „Człowieka w cieniu”, ten sam Paweł z nieudawaną troską w głosie szepnął mi, jak to fatalnie się stało, że prozaik został wyróżniony tą właśnie nagrodą, ponieważ stracił przez to szansę na dostanie Nike. Początkowo myślałem, że żartuje, potem jednak poróżniła nas ocena pisarstwa Manuela Gretkowskiej, a niebawem już niemal na każdy temat mieliśmy inne zdanie.

Nie ma to teraz żadnego znaczenia. Paweł Szwed nie żyje, miał 54 lata. Człowieka wciąż młodego duchem, pełnego wigoru, zapалу, chęci do smakowania życia w każdym jego przejawie zabrał COVID. Powtarzał często, że książki przedkłada ponad wszystko, naprawdę jednak najważniejsi byli dla niego ludzie. Myślę podobnie i dlatego nie potrafię pogodzić się z tą śmiercią. ©



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cień Zafóna

Choć autor „Cienia wiatru” podkreślał, jak bardzo kocha klasykę XIX w. i z niej swe opowieści wywodził – zatem Dostojewski, Dickens, Tołstoj – to lektura jego opowiadań dowodzi, że bardziej zadłużył się u legioniu rozmaitych twórców mniej znanych, acz bardziej sensacyjnych. Białogłowy w szponach zazdrosnych mężów, tajemnicze wieże i labirynty, kłatwy, sprzedające kobiety zamieniające się w anioły, wydarzenia nadnaturalne i niezmiernie dramatyczne – Zafón sięga po instrumentarium powieści gotyckiej, jarmarcznych ballad, baśni i opowieści niesamowitych. Jest to pisanie błyskotliwe, potoczne i skoncentrowane na dawaniu nam przyjemności z samego obcowania z opowieścią. Oczywiście jest potrzebna i taka literatura. Co więcej, bardzo ją lubimy. Szczególnie na wakacjach albo kiedy mamy lat 16. Lub gdy zmęczy nas piłowanie lektur obowiązkowych na zajęciach akademickich.

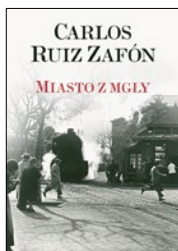
W zbiorze wydanym pośmiertnie (Zafón zmarł w czerwcu ubiegłego roku) najciekawszym tekstem jest szkatułkowa opowieść „Księżę Parnasu” z Cervantesem w roli głównej (a także jego domniemaną wielką miłością i losami zaginionej, legen-

darnej trzeciej części „Don Kichota”). Najbardziej wzrusza opowiadanie otwierające tom – „Blanca i pożegnanie” – które odkrywa chyba przed nami emocje samego autora, który kryjąc się za fasadą romantycznej opowieści, zdradza powody, dla których pisać warto – nawet jeśli zdają się nieco samolubne.

Kilku krótkich opowiadań można by się bez straty pozbyć, co przyniosłoby szkody objętości i tak niewielkiej książeczki. Proponowane teksty nie układają się w większą, logiczną całość, to po prostu typowy zestaw opowieści rozproszonych, które Zafón napisał w różnych momentach życia z rozmaitym przeznaczeniem i na rozmaite zamówienia prasy czy twórców antologii. Mniej ciekawe są od jego opowieści, bo mają mniej rozpędu i rozmachu.

Fani tetralogii „Cmentarz zapomnianych książek” odnajdą w „Mieście z mgły” podobny klimat i motyw. Mnie cieszy to, jak ważną rolę w tych mozaikach odgrywają

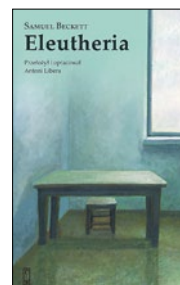
księgarze, bibliotekarze, pisarze, kolekcjonerzy rzadkich druków oraz – rzecz jasna – czytelnicy. Słowo pisane jest fundamentem wszechświata, nie dajcie się nabrać na opowieści o częstkach elementarnych, falach kwantowych i ciemnych materiach. One mogą być tylko tym, czym są. Słowo pisane może być wszystkim. ©©



★★★★★
CARLOS RUIZ ZAFÓN
„MIASTO Z MGŁY”
MUZA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsza i odmienna od późniejszych sztuka Samuela Becketta. Wskutek sporu dwóch wydawców pisarza (amerykańskiego i francuskiego) ukazała się dopiero po jego śmierci. Przekład i przypisy – nieoceniony Antoni Libera.



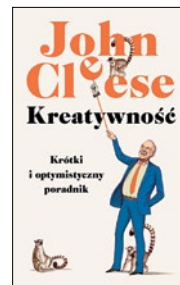
SAMUEL BECKETT
„ELEUTHERIA”
PIW

Ostatni tom eseju wybitnego neurologa, historyka i popularyzatora nauki. Podtytuł: „Pierwsze miłości i ostatnie opowieści”, a w środku rozważania m.in. o mediach społecznościowych, depresji, halucynacjach i starości.



OLIVER SACKS
„WSZYSTKO NA SWOIM MIEJSCU”
ZYSK I S-KA

Książeczka mała, zabawna i pożyteczna. Znany aktor i scenarzysta, filar grupy Monty Python, podpowiada – bazując na własnych doświadczeniach – jak stymulować twórcze myślenie, czego unikać i czym się nie przejmować.



JOHN CLEESE
„KREATYWNÓŚĆ”
INSIGNIS

Ciąg dalszy najgłośniejszej i najlepszej powieści Haldemana, czyli „Wiecznej wojny”. W odległej przyszłości trwa bój o ludzką duszę, prawo wyboru i wolność jednostki – świat tymczasem należy do klonów i wspólnoty umysłów. ©© **recenzuje Piotr Gociek**



JOE HALDEMAN
„WIECZNA WOLNOŚĆ”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „HISTORIE PRAWDOPODOBNE”

Tom zawierający cztery zbiory graficznych opowieści, do których scenariusze napisał Neil Gaiman, mistrz brytyjskiej fantastyki, część z nich znana jest zresztą polskiemu czytelnikowi w formie opowiadań (choćby „Studium w szmaragdzie”, skrzyżowanie opowieści o Holmesie i horrorów Lovecrafta). Fantastyka dla dorosłych, choć w wielu miejscach rzewna niczym



AUTORZY RÓŻNI
„HISTORIE PRAWDOPODOBNE”
EGMONT 202

poezja pop. Gaiman jest mistrzem nastroju i dialogów, gdy filozofuje, popada w banał lub głupotki („Problem Zuzanny”). Za każdą z czterech części odpowiadał inny rysownik – wszyscy sprawili się bardzo dobrze. ©© **poleca Piotr Gociek**

Blokową ciszę w PRL, inaczej niż na Zachodzie, stosunkowo późno zaczęły zakłócać dźwięki syntezatorów. Powód późniejszego niż na Zachodzie rozkwitu muzyki elektronicznej był prozaiczny – polskich artystów nie było stać na zakup drogich i trudno dostępnych zabawek do jej tworzenia. Prekursorzy polskiej elektroniki musieli sięgać za Odrę. Andrzejowi Mikołajczakowi na przykład sprzęt przemycali mieszkająca w RFN babcia. Większość szukała zagranicznych kontraktów. Prekursorzy, a byli to z reguły ludzie doświadczeni i wykształceni muzycznie, grywali do kotleta w turystycznych kurortach czy na wycieczkowcach. Krzysztof Duda na sprzęt zarabiał w Norwegii. Komponujący dla topu tamtych lat – Anny Jantar, Zdzisławy Sośnickiej, Ireny Jarockiej, Jerzego Połomskiego – Mikołaj Hertel od początku lat 70. regularnie



wyjeżdżał do Niemiec. Nie znosił kołysania, wycieczkowce więc odpadały, dlatego wieczorami grywał w niemieckich kurortach, a całe

dnie spędzał w sklepach ze sprzętem. – Wychodziłem ostatni, gdy już zamykali. Grałem na tych instrumentach tak długo, że podczas wizyt

w sklepach komponowałem nowe utwory – wspominał. Dziennikarz Czwórki Norbert „Bert” Borzym, przekopując radiowe archiwa, wpadł na pomysł stworzenia kompilacji zapomnianych lub wcześniej niewydanych nagrań polskiej sceny elektronicznej lat 80. Do współpracy zaprosił Maćka Zambona, szefa wytwórni The Very Polish Cut-Out. Owocem tej kooperacji jest album „Echo wielkiej płyty”. – W swoich poszukiwaniach znalazłem wykonawców, o których mało kto wie, części z nich sam również nie znałem – mówił Borzym na antenie Czwórki. – Przygotowanie materiałów zabrało nam 2,5 roku. Ja wyszukiwałem muzyków, a Maciek kontaktował się z twórcami, którzy przekazali mu taśmy matki. Była to ciężka praca, związana również z kwestiami umów, kontraktów i praw autorskich – dodał. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOWICZ

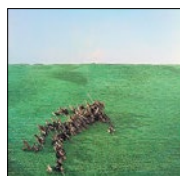
NA SŁUCH

Wyczekiwany debiut

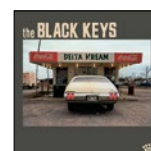
Słuchając kolejnych utworów, poczułem się jak na początku lat 80., kiedy każdego miesiąca pojawiał się album, który wytyczał nowe kierunki. Squid czerpią z przeszłości (rock generalnie od 20 lat zjada własny ogon), ale w ich wypadku bardziej chodzi o ducha tamtej epoki niż kalkę starych pomysłów. Na płycie nie ma dwóch podobnych utworów i co więcej – każdy z nich co chwila zaskakuje zmianą nastroju, rytmiki i instrumentarium. W otwierającym album „G.S.K.” (brytyjski gigant farmaceutyczny) porywa nas prog-funkową pulsacją, w którą wdziera się agresywny wokół, jakby żywcem wyjęty z agitacyjnych wieców. Po nim następują rozbudowane utwory przypominające wczesne

dokonania Public Image Ltd. i The Fall, kosmiczne podróże Can czy mniej sprosne opowieści Mr. Bungle. Na tle poszarpanych dźwiękowych pejzaży Ollie Judge snuje opowieści rozgrywające się w monolitycznych osiedlach wyimaginowanych miast. Do stworzenia tego dystopijnego pejzażu zainspirowały lidera Squid proza Douglasa Couplanda oraz pisma Marka Fishera i Merlina Coverleya. Nastrój niepokoju budują rwane gitary, mroczne smyczki, waltornie, szepty i rozmowy oraz 30-osobowy chór, którego śpiew został elektronicznie przetworzony.

„Oglądaj swoją ulubioną wojnę w telewizji / Tuż przed pójściem spać / A potem twój ulubiony sitcom / Patrz, jak łzy spływają po twoim policzku...”. ©©



★★★★★
SQUID
„BRIGHT GREEN
FIELD”
WARP



★★★★★
THE BLACK KEYS
„DELTA KREAM”
NONESUCH

Amerykański duet oddaje hołd mistrzom bluesa z delty Mississippi – Davidowi Kimbroughowi jr, R.L. Burnside’owi czy Johnowi Lee Hookerowi. Płyta nagrana podczas 10-godzinnej sesji przesiąknięta jest potem, dobrą whiskey i zabawą.



★★★★★
JAUBI
„NAFS AT PEACE”
ASTIGMATIC

Pakistański kwartet Jaubi wraz z Markiem Pędziwiatrem (EABS/Bloto) i Brytyjczykiem Tenderloniousem nagrali album inspirowany wersami z Koranu. Uduchowiona improwizacja na styku jazzu, ethno i północnoindyjskiej muzyki klasycznej. Multi-kulti w najlepszym wydaniu.

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 6



Prawo międzynarodowe i ochrona pamięci historycznej

- Jakie narzędzia oferuje prawo międzynarodowe w kontekście obrony prawdy historycznej?
- Dlaczego niemieckie sądy utrudniają walkę z manipulacjami na temat drugiej wojny światowej?
- „Wadliwe kody pamięci”, czyli jak przekłamywana jest na świecie historia masowych zbrodni
 - Materialny kontekst ochrony dobrego imienia państwa i narodu



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 3568f777a1

SPIS TREŚCI

55 ROZMOWA Z PROF.
MICHAŁEM BALCERZAKIEM

WIELKIE ZADANIE DLA POLSKIEJ DYPLOMACJI

– Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale tak nie jest. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska – mówi prof. Michał Balcerzak

59 LECH OBARA
I SZYMON TOPA

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO NIEMIECKU

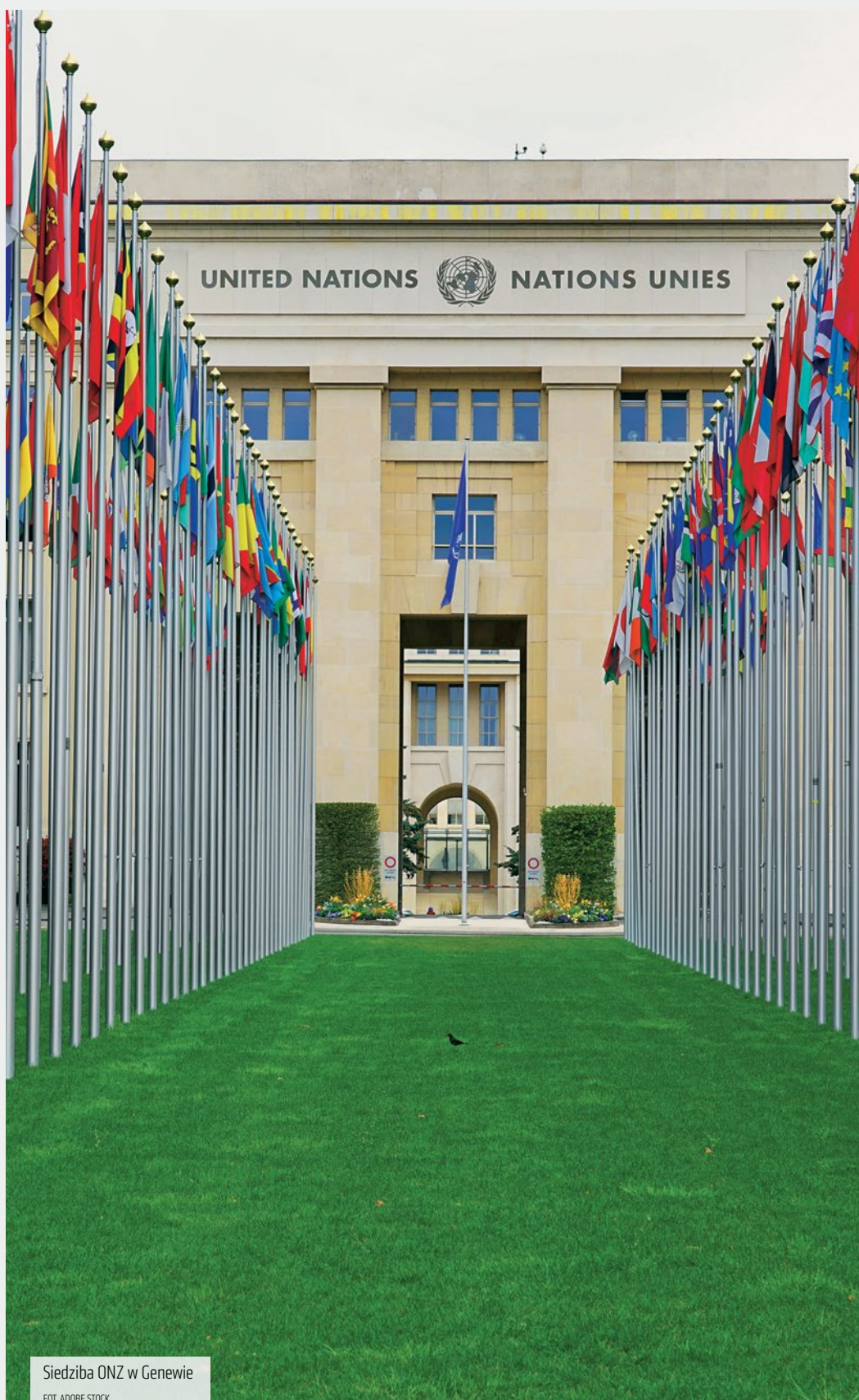
System sądowniczy RFN torpeduje prawo unijne dające polskim obywatelom możliwość walki o prawdę historyczną. Dlaczego wyroki polskich sądów nie są automatycznie wykonywane na terenie Niemiec?

63 SYLWESTER PIECKOWSKI
**ODSZKODOWANIA
TO PRAWO OFIAR**

Prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Nie uznaje także przedawnienia roszczeń o odszkodowania z tytułu takich zbrodni

66 WOJCIECH SIMON
WADLIWE KODY PAMIĘCI

Chociaż prawo do prawdy uznawane jest za jedno z podstawowych praw człowieka, to nie tylko Polacy zmagają się z problemem wrogiej narracji historycznej i przekłamywania faktów. Przeciwdziałać temu zjawisku próbują również przedstawiciele innych narodów i grup etnicznych, w przypadku których „skrót myślowy” przemieniają ofiary w katów



Siedziba ONZ w Genewie

FOT. ADOBE STOCK

PIOTR WŁÓCZYK: Czy prawo międzynarodowe publicznie odnosi się do pamięci historycznej, szczególnie w kontekście ofiar drugiej wojny światowej?

PROF. MICHAŁ BALCERZAK: „Pamięć historyczna” to bardzo pojemne pojęcie, więc musimy wprowadzić pewne rozróżnienie. Czy mamy tu na myśli ustalenie tego, co zaszło, czy też mówimy o ochronie obiektywnej, już ustalonej prawdy czy też narracji. Jeżeli chodzi o odkrywanie prawdy, to jesteśmy w stanie znaleźć w prawie międzynarodowym pewne instrumenty, które mogą nam pomóc w ustaleniu faktów historycznych, szczególnie jeżeli mówimy o najpoważ-

rycznej. Nawiasem mówiąc, nie uważam, że pojęcie „narracja” jest czymś złym, ponieważ myślimy przecież o tej prawdziwej narracji, czyli opowieści o faktach z naszej historii.

Jakie widać w tym kontekście możliwości?

Chociaż może się to wydać niektórym zaskakujące, to w prawie międzynarodowym znajdziemy dosyć dużo narracji historycznej. Kiedy państwa po drugiej wojnie światowej tworzyły od podstaw nowy ład międzynarodowy, zakładając m.in. Organizację Narodów Zjednoczonych, to jednym z głównych argumentów była chęć zabezpieczenia świata przed

dzynarodowa uczyniła – przynajmniej w warstwie deklaratywnej – fundament nowego ładu.

Jednak czym innym jest odwoływanie się do inspiracji, a czym innym przewidywanie twardych mechanizmów, które broniłyby prawdziwej narracji, czyli opowieści o zbrodniach popełnionych w trakcie drugiej wojny światowej. Niestety nie ma osobnej umowy międzynarodowej, która przewidywałaby ochronę prawdy historycznej, dając nam tym samym do rąk klarowny mechanizm pozwalający na pociąganie do odpowiedzialności prawnej osób fałszujących prawdę historyczną.



– Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale tak nie jest. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska – mówi prof. Michał Balcerzak

w rozmowie z Piotrem Włoczykiem

Wielkie zadanie dla polskiej dyplomacji

niejszych zbrodniach: ludobójstwie, zbrodniach wojennych oraz zbrodniach przeciw ludzkości. Mimo swoich ograniczeń proces przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze miał ogromne znaczenie dla odkrywania prawdy o zbrodniach drugiej wojny światowej. Współcześnie jednym z mechanizmów służących do ścigania i karania winnych najpoważniejszych zbrodni jest Międzynarodowy Trybunał Karny, działający na podstawie przyjętego w 1998 r. Statutu Rzymskiego. Ustanowiono też wiele „umiędzynarodowionych” sądów karnych dla ustalenia faktów i ukarania winnych zbrodni w takich państwach jak Sierra Leone, Kambodża czy Liban.

Nieco inaczej sprawa wygląda, jeżeli pytamy, czy prawo międzynarodowe oferuje nam coś, gdy problem tkwi nie w samym ustaleniu prawdy, ale w ochronie przed fałszowaniem narracji histo-

powtórką z koszmaru ludobójstwa i wszelkich innych zbrodni popełnionych w tamtym czasie. Chociaż trzeba też zauważyć, że o ile rzeczywistość powojenna pozwoliła na osądzenie niektórych zbrodni niemieckich, to już nie tych dokonanych przez sprawców sowieckich.

Historię piszą zwycięzcy...

Oczywiście. W preambułach traktatów czy innych dokumentów międzynarodowych często znajdują się odniesienia do tematu naszej rozmowy. Jeżeli przyjrzemy się choćby Powszechnej deklaracji praw człowieka z 10 grudnia 1948 r. czy Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa (uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 9 grudnia 1948 r.), to zauważymy, że pamięć o ofiarach zbrodni popełnionych w czasie drugiej wojny światowej została niejako wpisana do katalogu wartości, które społeczność mię-

Czy istnieje w takim razie jakiś pośredni mechanizm?

W prawie międzynarodowym mamy pewne „furtki”. Od razu powiem jednak, że tych okazji nie ma zbyt dużo. Przykładowo dobre, choć wąskie rozwiązanie przewiduje prawo Unii Europejskiej. Mam na myśli Decyzję ramową Rady 2008/913/WSiSW z 2008 r. o zwalczaniu „pewnych form i przejawów rasizmu i ksenofobii”. Chodzi tu o negowanie najpoważniejszych zbrodni uznanych za takie w prawie międzynarodowym, nie tylko Holocaustu. Prawo unijne nakłada na państwa członkowskie obowiązek ścigania takich zachowań. Muszą to być jednak akty umyślne i połączone z nawoływaniem do nienawiści lub podburzaniem do przemocy. A przecież gdy historyk, dziennikarz czy polityk mówi lub pisze nieprawdę na tematy historyczne, to rzadko czyni to z taką właśnie wyraźną intencją.

A co w przypadku, gdy niemiecka telewizja państwowa czyni Armię Krajową współwinną Holocaustowi, pokazując w swoim serialu polskie podziemie jako bandę antysemitów zabijających z przyjemnością Żydów?

Chociaż to bolesne dla Polaków, to w opisanym przez pana przypadku bardzo trudno byłoby skutecznie działać, używając instrumentów prawa międzynarodowego czy unijnego.

Inny przykład z niedalekiej przeszłości – rosyjskie MSZ ogłasza, że powstańcy warszawscy zajmowali się głównie zabijaniem Żydów.

W takim przypadku w grę powinny wchodzić intensywne działania dyplomatyczne. Elementem prawa międzynarodowego jest przecież prawo dyplomatyczne. Protesty i schładzanie relacji jak najbardziej podpadają pod prawo międzynarodowe. W stosunkach międzynarodowych można eskalować i używać różnych legalnych metod, by próbować zmienić zdanie danego państwa na temat historii. Pytanie, jak daleko chcemy iść w kierunku takiej eskalacji.

Szczególnie jeżeli jesteśmy dużo mniejszym partnerem w takiej dyskusji...

Czy zerwiemy w takim przypadku stosunki dyplomatyczne? Nie przypominam sobie w historii stosunków międzynarodowych sytuacji, by jedno państwo zerwało stosunki z drugim jedynie z powodu różnic w ocenie historii. Bardziej widzę tu rolę dla dyplomatów oraz historyków niż dla prawników. Z dużym żalem muszę przyznać, że jako prawnicy zajmujący się prawem międzynarodowym nie zawsze jesteśmy w stanie przydać się w takich sprawach.

Te problemy dotyczą nie tylko Polski. Spójrzmy na ludobójstwo Ormian z 1915 r. dokonane przez Turków. Armenia od lat pozostaje w sporze z Turcją, ale ostatnio to pierwsze państwo zyskało potężnego sojusznika – prezydent USA oficjalnie uznał tę zbrodnię, wbrew protestom Ankary, za ludobójstwo. Czy wobec tego cokolwiek grozi Turcji za zakłamywanie historii?

Turcja od lat konsekwentnie odmawia uznawania tych masowych mordów za ludobójstwo. Państwo to jest członkiem wielu organizacji międzynarodowych, w tym Rady Europy. Czy możliwe jest więc wystąpienie przeciwko Turcji do jakiegoś sądu międzynarodowego, np. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPCz)? Żeby pociągnąć państwo



FOT. ARCHIWUM PROF. MICHAŁA BALCERKA

do odpowiedzialności, trzeba się oprzeć na konkretnej normie prawnej, która zabrania kłamania na temat obiektywnie ustalonych faktów odnośnie do zbrodni ludobójstwa. Niestety, takiej „twardej” normy nie znajdziemy ani w Europejskiej konwencji praw człowieka, ani w innych traktatach międzynarodowych. Sądów międzynarodowych mamy kilka, ale wszczęcie sporu międzypaństwowego nigdy nie jest łatwe, a często jest po prostu niemożliwe w przyczyn prawnych. Żaden sąd międzynarodowy nie przyjmie roszczenia przeciwko państwu, które odmawia uznania obiektywnej prawdy historycznej albo ocenia „po swojemu” zdarzenia takie jak ludobójstwo.

Polska nie jest jedynym państwem na świecie, które jest zainteresowane obroną prawdziwej opowieści o drugiej wojnie światowej

Chociaż do ETPCz trafiła przynajmniej jedna sprawa związana z ludobójstwem Ormian.

Tak, ETPCz nieraz zajmował się sprawami, w których pojawiał się temat prawdy historycznej. W kwestii ludobójstwa Ormian trybunał rozpatrywał sprawę wniesioną przez polityka tureckiego Doğu Perinçeka, który w 2005 r., przebywając w Szwajcarii, zanegował ludobójstwo Ormian. Ostateczny wyrok zapadł w 2015 r. Trybunał podtrzymał wówczas decyzję, że polityk ten zmieścił się w granicach wolności ekspresji, i uznał, że grzywna, na którą skazali go Szwajcarzy, była środkiem nieadekwatnym, a zatem wobec tureckiego polityka naruszono Europejską konwencję praw człowieka. Warto zaznaczyć, że część sędziów ETPCz stwierdziła wówczas, iż trybunał nie powinien się uchylać od zawężenia ochrony wolności słowa w przypadku negowania aktów ludobójstwa. W orzecznictwie strasburskim często powtarzana jest teza, że ochronie podlegają opinie, które obrażają i szokują, ale trybunał ten nigdy nie uznał, iż ochronie podlegają jawne kłamstwa na temat „jasno ustalonych faktów historycznych”.

Niestety, od roli strażnika prawdy historycznej ETPCz w pewnym sensie „uciekł” też w 2013 r. w sprawie katyńskiej (Janowiec i inni przeciwko Rosji). Powodem procesu było to, że

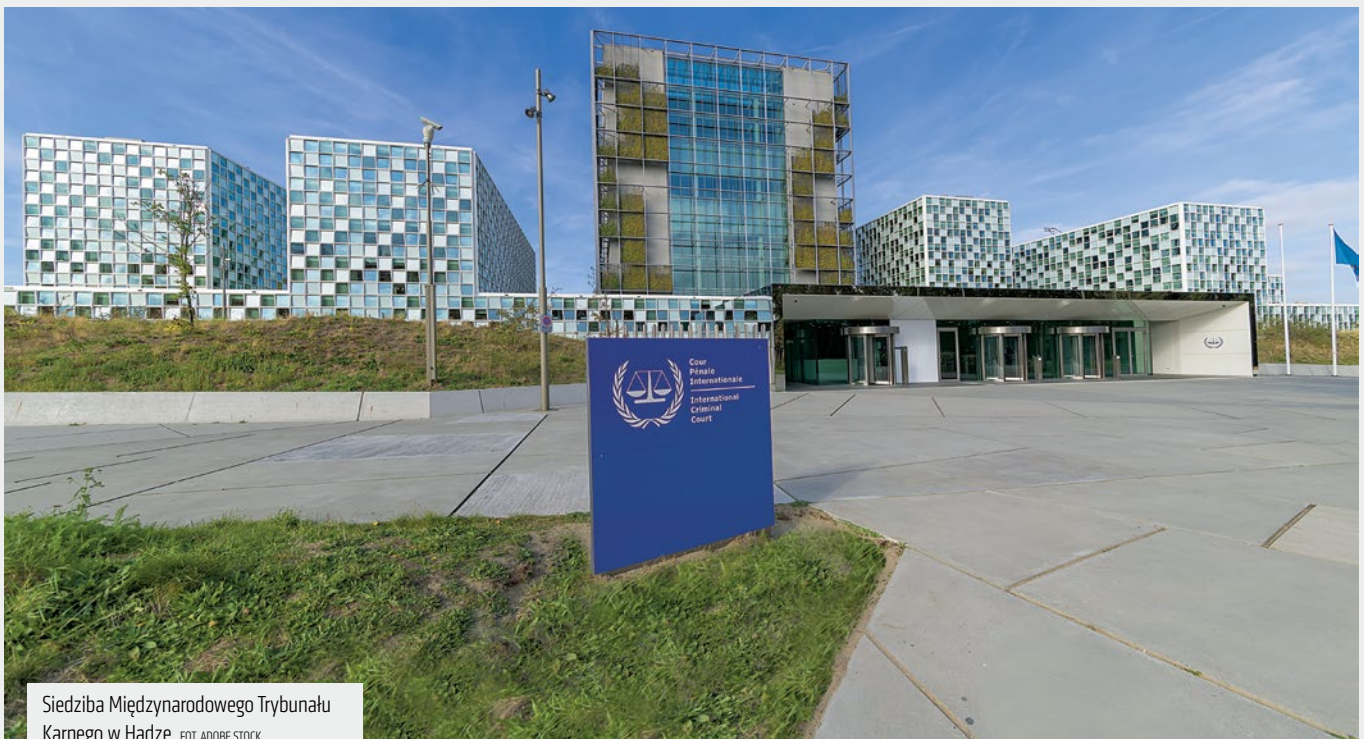
Rosjanie umorzyli śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej i utajnili akta tego postępowania, w tym uzasadnienie postanowienia o umorzeniu. Zrobili to w 2004 r., gdy Rosja była już związana konwencją. Rodziny katyńskie chciały uzyskać dostęp do materiałów z rosyjskiego śledztwa, jednak bezskutecznie, stąd niektórzy krewni ofiar skierowali swoje kroki do Strasburga. Proces przed ETPCz nie skończył się niestety dobrze dla prawdy historycznej – Polaków spotkał duży zawód. Nikt nie oczekiwał od trybunału ustalania nieznanych faktów na temat zbrodni katyńskiej. Chodziło jedynie o uznanie, że Rosja pogwałciła Europejską konwencję praw człowieka, prowadząc śledztwo katyńskie w taki, a nie inny sposób, a następnie odmawiając dostępu do akt postępowania. Trybunał wykonał jednak unik i nie stwierdził odpowiedzialności Rosji za umorzenie śledztwa i utajnienie postanowienia o umorzeniu, przywołując argumenty dotyczące braku jurysdykcji temporalnej (upływ czasu pomiędzy zbrodniami z 1940 r. a przełomem XX i XXI w., gdy prowadzono śledztwo). To była ważna sprawa, ponieważ wypowiedzenie się prokuratury rosyjskiej na temat zbrodni katyńskiej wzmocniłoby wydźwięk ustaleń historyków. Rosja zdecydowała się jednak zamieścić tę sprawę pod dywan i odmówić rodzinom ofiar wglądu w akta śledztwa.

Zbrodnia katyńska nie cieszy się takim rodzajem ochrony prawnej, jakim objęto Holokaust.

Karanie za negowanie Holokaustu jest od wielu lat powszechnie przyjętą normą i chyba nikogo to już dziś nie dziwi. To jednak wyjątek na tle innych przypadków ludobójstwa.

Czym jest „prawo do prawdy”? Szerzej pisze pan na ten temat w swoim opracowaniu opublikowanym w książce „Prawda historyczna a odpowiedzialność prawna za jej negowanie lub zniekształcanie” (pod redakcją Arkadiusza Radwana i Marcina Berenta).

W kontekście naszej rozmowy to bardzo ciekawe zagadnienie. Ta koncepcja została stworzona ok. 30 lat temu, gdy na różnych kontynentach upadały dyktatury i społeczeństwa domagały się poznania prawdy na temat popełnionych zbrodni. Chodziło o ustalenie losu ofiar reżimów, również zbrodni międzynarodowych.



Siedziba Międzynarodowego Trybunału
Karnego w Hadze FOT. ADOBE STOCK

Artykuł 32 I Protokołu dodatkowego do konwencji genewskich zobowiązuje państwa do dbania o „prawo do wiedzy rodzin o losie ich członków”. Ta koncepcja pojawia się też w orzecznictwie m.in. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Rodziny mają prawo do poznania prawdy. To element tzw. sprawiedliwości tranzytywnej. Ale wydaje się też, że beneficjentami tego prawa mogłyby być całe narody lub grupy etniczne.

„Prawo do prawdy” wciąż wypełniane jest treścią. Ta koncepcja coraz bardziej zyskuje na znaczeniu. Nic nie stoi na przeszkodzie, by grupa państw postanowiła, żeby prawo do prawdy potraktować jeszcze szerzej – jako prawo człowieka do zgodnej z prawdą narracji historycznej na temat tego, co dotyczy jego samego, jego rodziny lub narodu, z którego pochodzi, a także reagowania w przypadku pojawienia się szczególnie niebezpiecznych kłamstw historycznych.

Jak wspominałem na początku naszej rozmowy, brakuje też traktatu czy choćby aktu „prawa miękkiego”, który wykazywałby troskę społeczności międzynarodowej o zgodną z prawdą narrację historyczną. Jednak to, że nie ma takiej podstawy prawnej, nie oznacza, iż nie należy nic w tej sprawie robić.

Zachęca pan polską dyplomację do podjęcia inicjatywy na tym polu?

Tak, to zadanie przede wszystkim dla polskiej dyplomacji. Z pewnością nie jest to łatwa droga. Taka inicjatywa wymaga

„pracy u podstaw” i zabierze zapewne wiele lat. Jako państwo nie powinniśmy tu sobie stawiać zbyt ambitnych celów, ponieważ nie sędzę, by udało się przyjąć w tej sprawie traktat międzynarodowy. Widzę jednak szansę, by małymi krokami wprowadzić tu standardy tzw. soft law, czyli wspomnianego „miękkiego prawa”. Pamiętajmy, w prawie międzynarodowym niekiedy kodyfikujemy to, co początkowo funkcjonuje jako „soft law”. Potrzebujemy do tego odpowiedniego forum, zapewne najlepsze byłoby forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Myślą przewodnią powinna być troska o prawdziwość narracji historycznej w oparciu o rzetelną wiedzę historyczną.

Pytanie, na ile to realne, skoro dobrze wiemy, że nie brakuje państw, które są bardzo przywiązane do swojej wersji historii, która dla innych narodów jest nie do zaakceptowania.

Tylko że Polska nie jest jedynym państwem na świecie, które jest zainteresowane obroną prawdziwej opowieści o drugiej wojnie światowej. Nie tylko Polaków frustruje fałszowanie historii tego okresu. Pojawienie się tego tematu w środowisku międzynarodowym na pewno nam nie zaszkodzi, a jest szansa, że wyniknie z tego coś dobrego.

Kiedy słyszę hasło „prawo do prawdy”, to od razu myślę o obławie augustowskiej – największej zbrodni popełnionej na Polakach po drugiej wojnie światowej. Wciąż żyją rodziny ofiar, które nie mogą się doczekać prawdy na temat swoich bliskich. To

mógłby być dobry punkt wyjścia do polskich starań o poszerzenie zakresu „prawa do prawdy”.

Jak najbardziej. Nie ma co udawać, że to będzie proste, ale widać też, że prawo międzynarodowe, w kontekście dążenia do prawdy, ewoluuje. Działalność Międzynarodowego Trybunału Karnego to wyraz tego, że społeczność międzynarodowa chce działać w tym zakresie. Czasem wydaje nam się, że jesteśmy osamotnieni w dążeniu do prawdy, ale tak nie jest. Są państwa, które są niewątpliwie zainteresowane fałszowaniem historii o ofiarach, ale nie brakuje też krajów takich jak Polska.

W tym kontekście należy wspomnieć o jeszcze jednym zagadnieniu: „prawie do zachowania pamięci”. Widać to choćby w tzw. Zasadach ochrony i promocji praw człowieka poprzez zwalczanie bezkarności, opracowanych w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zasada nr 3, czyli „Obowiązek zachowania pamięci”, oznacza m.in., że państwa mają obowiązek podejmować działania mające na celu „ochronę przed rozwijaniem argumentacji rewizjonistycznej i negacjonistycznej”. Wprawdzie wspomniane „Zasady” są aktem „soft law”, ale Polska i inne kraje zdecydowanie mogą się powoływać na zawarte tam postanowienia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Michał Balcerzak jest doktorem habilitowanym nauk prawnych, pracuje na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.



Lech Obara



Szymon Topa

System sądowniczy RFN torpeduje prawo unijne dające polskim obywatelom możliwość walki o prawdę historyczną. Dlaczego wyroki polskich sądów nie są automatycznie wykonywane na terenie Niemiec?

Od dłuższego czasu w debacie publicznej trwa polsko-niemiecka bitwa o narrację historyczną. Niemcy nie szczędzą pieniędzy i wysiłków, aby w opinii publicznej obozy zagłady kojarzono jedynie z Holocaustem, którego sprawcami byli naziści; ci zaś byli każdej narodowości, czyli również polskiej. Polacy zaś przekonują świat, że Holocaust to również rana i strata dla polskiego narodu, a okupacja niemiecka w Polsce miała dużo bardziej okrutny charakter niż na Zachodzie.

Bilans tej walki na razie nie wydaje się dla Polski korzystny. Symbolem nie-

sięgnąć po instrumenty prawne. Tak właśnie zrobił m.in. pan Karol Tendera. Sam doświadczył okrucieństwa niemieckiego okupanta. Do obozu w Auschwitz trafił po brutalnym przesłuchaniu przeprowadzonym przez gestapo. Codziennie walczył tam o przeżycie, ale i o poczucie własnej wartości. Jak wspominał, wielokrotnie był już gotowy, aby skoczyć „na druty” i zakończyć w ten sposób swoje cierpienie. Później, jako działacz społeczny, starał się przekazywać swoje wspomnienia młodzieży. Jak twierdził, za swoją misję uznał pielęgnowanie pamięci o cierpieniach tych

stronie głównej oświadczenie, w którym przeprosza osobiście Karola Tenderę za naruszenie jego dóbr osobistych. W ten sposób ten były więzień stał się polską ikoną walki z „polskimi obozami”.

BRUKSELA I

ZDF co do zasady nie podlega jurysdykcji polskich sądów. Nie byłoby możliwe pozwanie niemieckiej telewizji przed sądem polskim, gdyby nie przepisy Rozporządzenia Rady (WE) nr 44/2001 z dnia 22 grudnia 2000 r. w sprawie jurysdykcji i uznawania orzeczeń sądowych oraz ich wykonywania w sprawach cywilnych i handlowych, zwanego Brukselą I. Przewidziało ono sytuacje umożliwiające pozwanie jednostki przed sąd państwa, w którym nie ma ona swojej siedziby czy swojego miejsca zamieszkania.

Jednym z takich wyjątków był przepis art. 5 pkt 3 Brukseli I, zgodnie z którym „osoba, która ma miejsce zamieszkania [miejsce zamieszkania

Sprawiedliwość po niemiecku

mieckiej polityki pamięci jest popularny na całym świecie niemiecki serial „Nasze matki, nasi ojcowie”, a także widoczna w debacie publicznej solidarność niemieckich ośrodków kształtowania opinii publicznej, dbających o korzystny wizerunek historyczny Niemiec. Polska polityka historyczna kojarzy się zaś z kolejnymi interwencjami dyplomatów w zagranicznych redakcjach, nieudaną nowelizacją ustawy o IPN, a także polskimi środowiskami medialnymi i naukowymi prześcigającymi się w przekonaniu, że sprawcami Holocaustu byli nie tylko Niemcy, lecz także w równym stopniu Polacy.

W sytuacji, kiedy polskie władze nie radziły sobie z niemiecką polityką historyczną, polscy obywatele postanowili

współwięźniów, którzy nie mieli tyle szczęścia co on.

Pan Tendera zdecydował się wytoczyć pozew przeciwko niemieckiej telewizji ZDF o naruszenie jego dóbr osobistych za to, że na swojej stronie internetowej w zapowiedzi filmu dokumentalnego opisała ona Majdanek i Auschwitz jako „polskie obozy zagłady”. Jak wyjaśniał na rozprawie przed sądem okręgowym w Krakowie: „Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczeć, że to była pomyłka, ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to!”. Po trzyletnim procesie Sąd Apelacyjny w Krakowie w wyroku z dnia 22 grudnia 2016 r. nakazał ZDF opublikować na swojej

lub siedzibę] na terytorium państwa członkowskiego, może być pozwana w innym państwie członkowskim: m.in. w sprawach dotyczących czynu niedozwolonego lub czynu podobnego do czynu niedozwolonego – przed sądy miejsca, w którym nastąpiło lub może nastąpić zdarzenie wywołujące szkodę”. Na gruncie tego przepisu w orzecznictwie TSUE przyjął się pogląd, ugruntowany przez orzeczenie z dnia 25 października 2011 r. w sprawie eDate Advertising i in. (C509/09 i C161/10, EU:C:2011:685), że w przypadku pomówienia dokonanego za pomocą Internetu, mającego nieograniczony zasięg, osoba poszkodowana może pozwać zagraniczny podmiot odpowiedzialny za to pomówienie w państwie, w którym

■ znajduje się jego tzw. centrum spraw życiowych. Najczęściej jest to miejsce zamieszkania osoby pomówionej lub jej siedziba (w przypadku jednostek organizacyjnych).

W przypadku Karola Tendery takim „centrum spraw życiowych” był oczywiście Kraków. Tam, gdzie się urodził i żył do końca swoich dni, udzielając się na rzecz upamiętnienia ofiar drugiej wojny światowej. Dlatego wniósł on pozew przed sądem krakowskim, który posiłkując się prawem unijnym, uznał się za uprawniony do orzekania wobec niemieckiej telewizji publicznej. W ten sposób prawo unijne stało się amunicją w sporze z dziennikarzami fałszującymi pamięć o sprawcach zbrodni popełnionych w obozach zagłady.

Ten sam akt prawny, który pozwolił polskiemu sądowi prowadzić sprawę przeciwko niemieckiej telewizji, miał potem stać się podstawą do prowadzenia egzekucji na terenie Niemiec. Pan Karol Tendera uznał, że ZDF nie wykonał wyroku Sądu Apelacyjnego w Krakowie. W rezultacie jego pełnomocnik wystąpił do Sądu Krajowego w Moguncji, właściwego miejscowo dla ZDF, z wnioskiem o uznanie wykonalności polskiego wyroku. Wniosek znalazł swoje uznanie i niemiecki sędzia dopuścił egzekucję przymusową polskiego tytułu egzekucyjnego, zarządzając nadanie mu klauzuli wykonalności. Pomimo zażalenia prawników ZDF Wyższy Sąd Krajowy w Koblencji podtrzymał stanowisko sądu niższej instancji.

Ponieważ ZDF nie pogodziło się z rozstrzygnięciem koblenckiego sędziego, została wniesiona skarga do Bundesgerichtshof (BGH) w Karlsruhe. Niemiecki odpowiednik polskiego Sądu Najwyższego z kolei nie miał skrupułów i wziął w obronę niemiecką rację stanu. Postanowieniem z dnia 19 lipca 2018 r. odmówił w swoim orzeczeniu uznania wykonalności prawomocnego polskiego wyroku. Powołał się przy tym na klauzulę „porządku publicznego”, uznając, że treść przeprosin określonych przez Sąd Apelacyjny w Krakowie w części, w jakiej opisuje wypowiedź o „polskich obozach” jako fałszowanie historii i naruszenie dóbr osobistych byłego więźnia obozu koncentracyjnego, jest opinią. W efekcie niemiecki ZDF – w ich ocenie – byłby w ten sposób sądownie zmuszony do tego, aby opublikować

i sygnować cudzą opinię (sic!). Tymczasem, jak twierdzi BGH, podstawową normą prawa niemieckiego jest wolność od głoszenia cudzych opinii.

KWESTIA PORZĄDKU

Klauzula porządku publicznego jest szczególną instytucją w prawie międzynarodowym, która chroni fundamenty systemu prawnego danego państwa przed ingerencją obcej normy prawnej. Ponieważ jest przejawem uchylania się przez dane państwo od realizacji zobowiązań prawnych wobec innego państwa, stosuje się ją wyjątkowo. Modelowym przykładem zastosowania klauzuli porządku publicznego jest wykluczenie możliwości uznania zagranicznego aktu małżeństwa, którego skutkiem byłoby usankcjonowanie bigamii.

Innym znanym przykładem jest kwestia uznawania amerykańskich wyroków zasądających tzw. punitive damages, czyli odszkodowań mających charakter represyjny (sankcyjny). W Europie takie roszczenie jest uznawane za rażąco sprzeczne z kompensacyjnym charakterem odszkodowania. To właśnie z tego powodu córka Włodzimierza Cimoszewicza nie mogła liczyć na uznanie w Polsce amerykańskiego wyroku Sądu Obwodowego Hrabstwa Cook, w stanie Illinois, zasądającego od wydawcy polskiego tygodnika „odszkodowanie karne” w wysokości 4 mln dol.

Nie sposób w kategoriach argumentacji prawnej zrozumieć, na czym polega oczywisty charakter sprzeczności pomiędzy sądowym nakazem opublikowania oświadczenia o określonej treści,

FOT. ADOBE STOCK



ponieważ naruszałoby jedną z zasad podstawowych. Zakaz kontroli merytorycznej orzeczenia wydanego w innym państwie członkowskim będzie zatem zawieszony dopiero, jeżeli naruszenie będzie stanowiło oczywiste naruszenie normy prawnej uważanej za zasadniczą dla porządku prawnego państwa członkowskiego, w którym wystąpiono o uznanie lub prawa uznanego za podstawowe w tym porządku prawnym.

Oczywistość naruszenia prawa niemieckiego w sprawie Karola Tendery powinna być dostrzegalna również przez niemieckich sędziów powszechnych. Oczywiste naruszenie prawa ma bowiem miejsce wtedy, kiedy jest ono widoczne dla każdego przeciętnego prawnika, bez konieczności dokonywania pogłębianej analizy. Tymczasem z orzeczenia Wyższego Sądu Krajowego w Koblencji, oddalającego zażalenie ZDF, wynika, że nawet jeśli orzeczonego przez polski sąd nakaz opublikowania przez ZDF przeprosin określonej treści nie jest charakterystyczny dla prawa niemieckiego, to jednakże wciąż mieści się w przewidzianym przez to prawo katalogu roszczeń o usunięcie skutków naruszenia dóbr osobistych. W sytuacji zatem, kiedy sędziowie niemieccy w pierwszej i drugiej instancji nie rozpoznali rzekomo tak oczywistej sprzeczności pomiędzy polską normą prawną a niemiecką, musi budzić zastanowienie, jakimi kryteriami kierowali się sędziowie BGH, uznając polski wyrok za podważający fundamenty niemieckiego systemu prawnego.

Nie mniejsze zdziwienie wywołuje teza, że nakaz opublikowania przez ZDF, jako sprawcy naruszenia dóbr osobistych, przeprosin według ścisłych wskazań Sądu Apelacyjnego w Krakowie jest sprzeczny ze swobodą wypowiedzi/wyrażania opinii. Nie wytrzymuje ona konfrontacji z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPCz).

Orzeczenia polskich sądów, nakładające obowiązek opublikowania przeprosin, były przedmiotem oceny tego Trybunału (Błaja News, App. No. 59545/10; Kubaszewski, App. No. 571/04; Gasior, App. No. 34472/07; Stankiewicz i inni, App. No. 48723/07; Kania i Kittel, App. No. 35105/04; Kurski, App. No. 26115/10, Zybertowicz, App. No. 65937/11). W sprawach tych ETPCz nigdy nie sformułował stanowiska, aby sądowe nakazanie przeprosin

stanowiło formę narzucenia opinii, a przez to naruszało prawo do swobody wypowiedzi. ETPCz badał jedynie, czy w konkretnych okolicznościach sprawy zastosowana sankcja za skorzystanie z prawa do swobody wypowiedzi była konieczna w państwie demokratycznym (adekwatna). Mało tego, w sprawie Kubaszewski ETPCz uznało, że orzeczone wobec lokalnego wydawcy dziennika nakaz opublikowania przeprosin jest stosunkowo łagodny („relatively light”). Podobnie w sprawie Gasior ETPCz, oceniając dotkliwość orzeczonego nakazu przeprosin jako środka ochrony dóbr osobistych w kolizji z prawem do swobody wypowiedzi, uznał, że „skarżąca została jedynie zobowiązana do opublikowania przeprosin”.

KOMISJA W SUKURS

BGH to niejedyny sojusznik niemieckich dziennikarzy. Komisja Europejska, na czele z Ursulą von der Leyen, choć chce się zwać „strażniczką traktatów”, nie widzi żadnych przeszkód w tym, że niemieccy sędziowie stawiają się ponad przepisami prawa UE.

Orzeczenie BGH to rozstrzygnięcie najwyższego organu sądowego w Niemczech. Jest sygnałem dla niemieckich sędziów, aby od teraz odmawiały uznawania polskich wyroków nakazujących niemieckim wydawcom przeproszać polskich obywateli. Orzeczenie BGH w sprawie Karola Tendery godzi również w jeden z najważniejszych fundamentów UE, tj. w funkcjonowanie wolnego rynku. Obowiązywanie zasady uznawania w danym państwie członkowskim orzeczeń wydawanych przez sądy innego państwa członkowskiego ma za cel utrzymanie i rozwój obszaru wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, w którym zagwarantowany jest swobodny przepływ osób, a tym samym zapewnienie środków niezbędnych dla należytego funkcjonowania rynku wewnętrznego.

Komisja Europejska nie powinna ignorować, że najwyższy niemiecki organ sądowy dał wyraźny sygnał sądom powszechnym podległym mu judykacyjnie, aby w sporach pomiędzy niemieckimi podmiotami a obywatelami z innych państw członkowskich kierowały się potrzebą ochrony właśnie tych pierwszych, nawet jeśli będzie to godzić w obowiązek ochrony praw podstawowych (godności) tych drugich.

nałożonym na ZDF przez Sąd Apelacyjny w Krakowie, a przyjętymi w Niemczech zasadami ochrony swobody wypowiedzi, na którą powołał się BGH.

TSUE w orzeczeniu z dnia 28 kwietnia 2009 r. (Apostolides, C-420/07, EU:C:2009:271) zwrócił uwagę, że przepis art. 34 pkt 1 Brukseli I powinien być interpretowany w sposób ścisły, jako że stanowi on przeszkodę w realizacji jednego z podstawowych celów rozporządzenia, a powoływanie się na niego powinno mieć miejsce jedynie w wyjątkowych przypadkach. Powoływanie się na klauzulę porządku publicznego jest dopuszczalne jedynie w przypadku, gdy uznanie lub wykonanie orzeczenia wydanego w innym państwie członkowskim naruszałoby w sposób niedopuszczalny porządek prawny państwa wezwanego,



■ Tymczasem Komisja Europejska w odpowiedzi na petycję Stowarzyszenia „Patria Nostra” daje niemieckim instytucjom wolną rękę w stosowaniu prawa UE. Mianowicie w odpowiedzi szefowa biura gabinetu politycznego Salla Saastamoinen, w imieniu pani komisarz, stwierdziła, że Komisja Europejska nie ma kompetencji w zakresie określania granic, w jakich sądy państw członkowskich mogą odwoływać się do pojęcia porządku publicznego w celu odmowy uznania orzeczenia wydanego przez sąd innego państwa członkowskiego. Zrzekanie się przez Komisję Europejską kontroli nad tym, jak Niemcy wykonują wyżej opisane

rozporządzenia UE, jest sygnałem dla niemieckich sądów, że mają one pełną swobodę w rozstrzyganiu spraw o uznawanie roszczeń zagranicznych wyroków wydanych przeciwko niemieckim podmiotom.

Bierność Komisji Europejskiej wobec łamania prawa UE przez niemiecki BGH nie jest jednak jedynym wsparciem udzielonym niemieckim wydawcom. Unijni urzędnicy uważają, że polscy obywatele domagający się ochrony swoich dóbr osobistych w związku z przypisywaniem Polakom utworzenia obozów zagłady nie powinni korzystać z dobrodziejstwa orzecznictwa TSUE pozwalającego uzasadnić polską jurysdykcję

łącznikiem zwanym „centrum spraw życiowych”.

Niestety, okazję do tego stworzył Sąd Apelacyjny w Warszawie. Skierował on do TSUE zapytanie prejudycjalne w sprawie szefa Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych Stanisława Zalewskiego przeciwko bawarskiemu wydawcy, który określił obóz zagłady w Treblince „polskim”. Sąd nabrał bowiem wątpliwości, wbrew niemal 10-letniej praktyce orzeczniczej, czy powyższy łącznik „centrum spraw życiowych” ma zastosowanie do przypadków, gdy dyfamacyjna wypowiedź nie odnosi się wprost do konkretnej osoby.

KE, odpowiadając na pytanie polskiego sądu, wyraziła pogląd, że dotychczasowe orzecznictwo UE nie powinno mieć zastosowania do takich spraw jak w przypadku Karola Tendery czy Stanisława Zalewskiego. W takich sprawach to wydawcy niemieccy powinni być chronieni przed nadużywaniem roszczeń przez polskich obywateli. To sądy niemieckie powinny badać, czy pisząc o „polskich obozach”, naruszyli dobra osobiste Polaków, a jeśli tak – to jakie mogą im przysługiwać roszczenia.

TSUE jeszcze nie wydał orzeczenia w tej sprawie, ale wypowiedział się już rzecznik generalny TSUE Michał Bobek, który nie podzielił stanowiska Komisji Europejskiej. W jego ocenie to polski sąd badający swoją jurysdykcję winien rozważyć, czy związek pomiędzy nim a zawisłym przed nim sporem prawnym jest na tyle „ściśły”, aby nie zostało zagrożone prawidłowe sprawowanie wymiaru sprawiedliwości. Opinia rzecznika generalnego TSUE nie jest jednak wiążąca. Pozostaje liczyć na to, że sędziowie luksemburscy nie poddadzą się presji Komisji Europejskiej, która stanęła po stronie niemieckich wydawnictw. TSUE w sprawie Karola Tendery przeciwko ZDF nie miał szansy się wypowiedzieć. Teraz, w sprawie Stanisława Zalewskiego, TSUE ma szansę zachować swoją dotychczasową linię orzeczniczą i nie odbierać Polakom możliwości ochrony przed polskimi sądami dóbr osobistych naruszanych przez zagranicznych wydawców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Mecenasi Lech Obara i Szymon Topa są członkami Stowarzyszenia „Patria Nostra”, broniącego przed sądami dobrego imienia narodu polskiego.



Sylwester Pieckowski

Prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Nie uznaje także przedawnienia roszczeń o odszkodowania z tytułu takich zbrodni

Godność narodu i państwa posiada komponent niematerialny i materialny. Obydwa powinny być formułowane i realizowane jednolicie, na tej samej aksjologicznej podstawie prawdy historycznej i poszanowania fundamentalnych zasad moralności i prawa, a także ochrony podstawowych praw człowieka. Walce o godność i dobre imię narodu oraz państwa polskiego, której najlepszym wzorem jest proces sądowy przeciwko niemieckiej telewizji publicznej ZDF, podjęty przed sądami polskimi i niemieckimi przez Karola Tendere, powinny towarzyszyć tożsame troska i determinacja państwa polskiego w przywracaniu sprawiedliwości materialnej w stosunkach z Niemcami. Ich wyrazem powinno być uzyskanie pełnego odszkodowania za zbrodnie i szkody wojenne popełnione na terytorium okupowanej Polski przez III Rzeszę w latach 1939–1945.

JEDEN PROCENT DLA POLAKÓW

Polscy obywatele otrzymali od Niemiec w postaci różnych form rekompensaty ok. 600 mln marek niemieckich, co stanowiło mniej niż 1 proc. kwot wypłaconych przez Niemcy obywatelom Europy Zachodniej i Izraela.

PRL bez powodzenia podejmowała liczne próby uregulowania odszkodowań niemieckich. Zamiast reparacji Niemcy uruchomili kanał pośredniego wypłacania finansowego zadośćuczynienia, według własnego uznania, polskim ofiarom obozów koncentracyjnych, eksperymentów medycznych i robotnikom przymusowym deportowanym do niewolniczej pracy w III Rzeszy, za pośrednictwem Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”.

Fundacja ta w latach 1992–2004 wypłacała świadczenia w kwocie



Państwo Powalscy w 1937 r. Cała rodzina została wywieziona w 1941 r. do Niemiec na roboty. Pierwsza z prawej: matka autora tekstu FOT. ARCHIWUM AUTORA

Odszkodowania to prawo ofiar

■ 689,97 zł na osobę. Większość poszkodowanych zmarła, nie doczekawszy się zadośćuczynienia. Strona niemiecka oficjalnie głosi, że wypłacone zadośćuczynienie stanowi pełne odszkodowanie wojenne, co jest oczywistym nonsensem i kłamstwem. Berlin używa obecnie następującej formuły, którą wyartykułował ambasador RFN Rolf Nikel w listopadzie 2017 r.: „Nie ma żadnej wątpliwości, że Niemcy ponoszą moralną odpowiedzialność za potworne zbrodnie w Polsce podczas drugiej wojny światowej. I celowo mówię tu o Niemcach, a nie o nazistach, ponieważ za tymi zbrodniami stali niemieccy żołnierze, którzy zabijali w imieniu Niemiec”. Jednak w dalszej części wypowiedzi ambasador Nikel przeszedł do zdumiewającej konkluzji: „Kwestia reparacji wojennych jest już jednak prawnie i politycznie zamknięta. Nasze władze w Berlinie wielokrotnie to podkreślały”.

Tymczasem prawo międzynarodowe nie uznaje przedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, nie uznaje także przedawnienia roszczeń o odszkodowania z tytułu takich zbrodni. Prawdziwego pojednania nie będzie bez przyjęcia przez rząd Niemiec odpowiedzialności materialnej wobec Polski jako państwa ofiary agresji oraz wobec polskich obywateli, ofiar wojny i ich rodzin.

Roszczenia reparacyjne państw ofiar konfliktów zbrojnych są tradycyjną metodą „rozliczania” kosztów wojen między państwami na płaszczyźnie publicznoprawnej. Niezależnie i obok roszczeń reparacyjnych przeciwko państwom sprawcom zbrodni ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości mogą być również dochodzone roszczenia odszkodowawcze osób pokrzywdzonych na podstawie prawnej deliktu, czyli czynu niedozwolonego. W odniesieniu do polskich pokrzywdzonych roszczenia te przysługują ofiarom zbrodni wojennych i ich spadkobiercom oraz mogą być dochodzone przed sądami powszechnymi według ich właściwości przedmiotowej i miejscowej, na podstawie prawa polskiego i UE. Polscy skarżący podejmowali wielokrotne próby wniesienia pozwów do sądów niemieckich jako właściwych z uwagi na podmiotowość strony pozwanej, tj. rządu RFN. Bez powodzenia, gdyż sądy te generalnie odrzucały pozwy jako niedopuszczalne przedmiotowo (na podstawie niemiec-

kiej tezy, że państwo nie może być pozywane przez osobę fizyczną za zbrodnie wojenne), przedawnione lub sprzeczne z zasadami porządku publicznego RFN. W tej sytuacji jedynym forum, przed którym polski obywatel może dochodzić sprawiedliwości z tytułu szkód wojennych, jest polski sąd państwowy.

Niestety, w świetle obowiązującego prawa i orzecznictwa Sądu Najwyższego ta droga także jest dla polskiego obywatela niedostępna z jednego tylko powodu, na który powołuje się rząd RFN: instytucji immunitetu jurysdykcyjnego i egzekucyjnego państwa, utrwalonej jako norma zwyczajowa prawa międzynarodowego, która stanowi, że zgodnie ze średniowieczną zasadą „*par in parem non habet imperium*” („równy nie ma władzy nad równym”), RFN nie może być pozywana przed sądami obcych państw. W wyniku ewolucji tej instytucji w praktyce międzynarodowej, zapoczątkowanej w USA (tzw. Tate Letter z 1952 r. i amerykańska ustawa Foreign Sovereign Immunities Act of 1976), obecny kształt i zakres stosowania immunitetu został ograniczony tylko do aktów władczych państw, czego wyrazem są podpisane konwencje o immunitacie jurysdykcyjnym: Europejska Konwencja o Immunitacie Państwa z 1972 r. oraz Konwencja ONZ z 2004 r. Konwencje te nie weszły jeszcze w życie z uwagi na niską liczbę ratyfikacji. Polska nie podpisała żadnej z nich.

Nie ma tu nadal jasności i zgodności poglądów sądów oraz nauki, czy czyny niedozwolone, w tym zbrodnie wojenne, popełnione przez państwo agresora mogą korzystać z zasłony immunitetu jako akty władcze. Stanowisko sądów i rządu RFN jest w tej kwestii kategoryczne i brzmi: akty wojenne i ich pochodne są wyrazem aktów władzy państwowej i jako takie nie podlegają osądowi obcych państw, korzystając z pełnego immunitetu jurysdykcyjnego i egzekucyjnego. Zgodnie z art. 9 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 1997 r. Polska przestrzega powszechnie obowiązującego prawa międzynarodowego, które ma pierwszeństwo przed polskimi ustawami. W ten sposób niepisana norma proceduralna międzynarodowego prawa zwyczajowego, jaką jest immunitet jurysdykcyjny i egzekucyjny, jest skutecznie stosowana przez rząd RFN w blokowaniu roszczeń odszkodowawczych polskich obywateli

wnoszonych do sądów polskich. Z tego powodu polski obywatel nie może zrealizować swego konstytucyjnego prawa do sądu, a jego prawo do ochrony czci i godności oraz własności, także mocno ugruntowane w konstytucji, staje się uprawnieniem pustym.

Są dwie drogi pokonania tego impasu. Pierwsza to uchwalenie polskiej ustawy o immunitacie jurysdykcyjnym i egzekucyjnym państwa, która przesądziłaby o wyższości norm konstytucyjnych RP nad normami procesowymi międzynarodowego prawa zwyczajowego, takimi jak immunitet jurysdykcyjny. Druga to podpisanie i ratyfikowanie konwencji europejskiej oraz konwencji ONZ. Z tych dwóch rozwiązań znacznie lepsze jest to pierwsze, gdyż jest szybsze i nie ogranicza roszczeń z okresu drugiej wojny światowej, natomiast rozwiązania konwencyjne mają co do zasady wyłącznie zastosowanie prospective.

W celu wyjaśnienia tej sytuacji zwróciłem się w 2020 r. do Ministra Sprawiedliwości z propozycją podjęcia inicjatywy ustawodawczej prowadzącej do uchwalenia polskiej ustawy o immunitacie jurysdykcyjnym i egzekucyjnym państwa. W odpowiedzi ministerstwo napisało, że krok ten jest przedwczesny, gdyż Polska najpierw powinna przystąpić do konwencji europejskiej i konwencji ONZ i dopiero na tej podstawie napisać własne prawo. Takie stanowisko uważam za gorszy wybór i unik taktyczny. Przede wszystkim oznacza to długotrwały proces tworzenia prawa, a roszczenia polskich obywateli nadal będą przez polskie sądy konsekwentnie odrzucane, tak jak do tej pory, co zilustrują dwiema sprawami rozstrzygniętymi przez Sąd Najwyższy RP w latach 2010 i 2019.

TRAGEDIA DWOJGA DZIECI

Winicjusz Natoniewski w pozwie z dnia 29 października 2007 r. skierowanym przeciwko Republice Federalnej Niemiec wniósł o zasądzenie na jego rzecz od strony pozwanej kwoty miliona złotych tytułem zadośćuczynienia za krzywdę doznaną podczas pacyfikacji przez niemieckie siły zbrojne w czasie drugiej wojny światowej miejscowości Szczecyn, położonej w województwie lubelskim. Pacyfikacja ta, podczas której wysiedlano ludność, dokonywano egzekucji, palono zabudowania oraz rabo-

wano mienie, przeprowadzona została 2 lutego 1944 r. W jej wyniku śmierć poniosło kilkuset mieszkańców. Według twierdzeń pozwu powód, wówczas sześciolatek, doznał w następstwie akcji niemieckich sił zbrojnych licznych, rozległych poparzeń głowy, klatki piersiowej oraz obu rąk, z czym zmagał się przez całe życie.

Postanowieniem z dnia 8 listopada 2007 r. sąd okręgowy odrzucił pozew na podstawie art. 1099 k.p.c. bez doręczenia go stronie pozwanej ze względu na brak w sprawie jurysdykcji krajowej.

Zażalenie powoda na postanowienie sądu okręgowego z dnia 8 listopada 2007 r. Sąd Apelacyjny oddalił postanowieniem z dnia 13 maja 2008 r., podzielając pogląd leżący u podstaw rozstrzygnięcia zawartego w zaskarżonym postanowieniu.

Sąd Najwyższy przyznał rację moralną panu Natoniowskiemu, ale stwierdził, że nie można pozwać strony niemieckiej, ponieważ ta skutecznie zasłania się instytucją immunitetu.

W pozwie skierowanym przeciwko rządowi RFN domagałem się 663 tys. zł. To czteroletnie wynagrodzenie dla pracownika rolnego wraz z odsetkami i korektą inflacyjną oraz odszkodowanie za stracone szanse mojej mamy – spędziła cztery lata dzieciństwa, harując za darmo na roli, zamiast uczyć się w szkole. Rozpocząłem tę sprawę we wrześniu 2016 r., składając pozew w Sądzie Okręgowym w Płocku (mama została wywieziona na roboty, gdy mieszkała w tej okolicy). Pozew został przyjęty do rozpoznania i skierowany – przez ambasadę polską w Berlinie – do urzędu kanclerskiego w Berlinie. Strona niemiecka nie podjęła działań procesowych. Dokumenty zostały zwrócone z komentarzem: „Brak zgody na przyjęcie z uwagi na immunitet jurysdykcyjny RFN w sprawach iure imperii”. Sąd okręgowy przyjął tę argumentację bez zastrzeżeń, a następnie Sąd Apelacyjny podzielił zdanie sądu okręgowego. Ewidentnie strona niemiecka nie ma zamiaru poddać się jurysdykcji

jenne i jako takie nie powinny korzystać z zasłony immunitetu.

WŁOSKI PRZYKŁAD

Obecny kształt instytucji immunitetu państwa, utrwalony w zwyczajowym prawie międzynarodowym, przy ciągłym braku wiążącej regulacji konwencyjnej oraz braku odpowiedniej regulacji tej instytucji w prawie polskim, wskazuje, że jedynym rozwiązaniem tego problemu będzie podjęcie inicjatywy ustawodawczej przez Sejm RP w drodze wniosku do Trybunału Konstytucyjnego RP o stwierdzenie niekonstytucyjności przepisów Kodeksu postępowania cywilnego, które udzielając pierwszeństwa procesowej normie zwyczaju międzynarodowego, efektywnie odbierają konstytucyjne prawo do sądu obywatelom polskim dochodzącym roszczeń odszkodowawczych z tytułu zbrodni wojennych III Rzeszy popełnionych na terytorium Polski w latach 1939–1945. Taki wniosek grupa posłów na Sejm skierowała już do Trybunału Konstytucyjnego 15 grudnia 2020 r. Sprawa oczekuje na rozpatrzenie.

Licząc na pozytywną odpowiedź Trybunału Konstytucyjnego, jako dobry i zachęcający przykład pragnę wskazać precedensowy wyrok Sądu Konstytucyjnego Republiki Włoskiej nr 238 z 24 października 2014 r. Wyrok konkluduje, że normy porządku konstytucyjnego o charakterze bezwzględnie obowiązującym ius cogens, takie jak prawo obywatela do sądu, prawo do ochrony czci i godności, mają pierwszeństwo przed normą proceduralną zwyczajowego prawa międzynarodowego, jaką jest immunitet jurysdykcyjny państwa obcego. Oznacza to, że włoscy obywatele mają szansę domagać się przed włoskimi sądami odszkodowania za niemieckie zbrodnie popełnione w czasie wojny we Włoszech. Polacy zasługują, by państwo wyposażyło nas w podobny instrument prawny, który uniemożliwi Niemcom uchylanie się od odpowiedzialności za zbrodnie popełnione na naszym narodzie w latach 1939–1945.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawdziwego pojednania nie będzie bez przyjęcia przez rząd Niemiec odpowiedzialności materialnej wobec Polski jako państwa ofiary agresji oraz wobec polskich obywateli, ofiar wojny i ich rodzin

Druga sprawa jest dla mnie bardzo osobista. Od 2016 r. walczę przed polskim sądem o odszkodowanie za cztery lata niewolniczej pracy mojej mamy, która zmarła rok wcześniej. Gdy w latach 90. pojawiła się szansa uzyskania świadczeń od Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”, mama poprosiła mnie, żebym jej w tym pomógł. Sporządziłem wnioski w imieniu jej i jej brata, który również został wywieziony wraz z nią na roboty pod Królewiec na wielką farmę mleczną.

W wyniku postępowania mama usłyszała odmowę, gdyż okazało się, że jej nazwisko zniknęło z dokumentacji niemieckiej. Jak do tego doszło? Niemcy starali się to ukryć jeszcze w czasie wojny, ponieważ nawet w świetle prawa III Rzeszy nie wolno było angażować do pracy 12-letniego dziecka. Mama nie dostała świadczenia z fundacji i bardzo to przeżyła. Świadczenie dostał za to wujek: 2,5 tys. zł za cztery lata pracy niewolniczej...

sądu polskiego. Wniosłem więc skargę kasacyjną do SN, który po roku ustosunkował się do niej, odpowiadając, że nie rozpozna jej, ponieważ „nie zawiera nowych zagadnień prawnych”. To jest ostateczne rozstrzygnięcie, od którego można się odwołać do Sądu Najwyższego tylko w trybie skargi nadzwyczajnej.

Sąd Najwyższy wyjaśnił w krótkim uzasadnieniu, że obecnie w Polsce, podobnie jak w innych państwach, za powszechnie przyjętą zasadę uznaje się, że państwo obce posiada immunitet jurysdykcyjny tylko w sprawach związanych z władczą działalnością (acta iure imperii), nie przysługuje mu on natomiast w sprawach związanych z udziałem w zwykłym obrocie cywilnym i gospodarczym (acta iure gestionis). Sąd uznał, że agresja zbrojna Niemiec i okupacja Polski stanowiły wyraz aktu władczego III Rzeszy i jako takie nie podlegają ocenie oraz osądzeniu przez polski sąd, niezależnie od podstawowego faktu, iż działania te stanowiły przestępstwo wo-

Sylwester Pieckowski jest adwokatem, specjalizuje się w rozwiązywaniu sporów gospodarczych w trybie negocjacji, arbitrażu i mediacji. Od 2016 r. walczy o odszkodowanie od Niemiec za pracę niewolniczą swojej matki.

Wadliwe kody



Wojciech Simon

Chociaż prawo do prawdy uznawane jest za jedno z podstawowych praw człowieka, to nie tylko Polacy zmagają się z problemem wrogiej narracji historycznej i przekłamywania faktów. Przeciwdziałać temu zjawisku próbują również przedstawiciele różnych narodów i grup etnicznych, w przypadku których „skrótowe myślowe” przemieniają ofiary w katów

Termin „wadliwe kody pamięci” do dyskursu naukowego wprowadził prawnik i ekonomista prof. dr hab. Artur Nowak-Far, wykładowca Szkoły Głównej Handlowej i były wiceminister spraw zagranicznych, który – wraz z Łukaszem Zamęckim – był redaktorem wydanej w roku

2015 książki „Wadliwe kody pamięci. Zniekształcenie pamięci o zbrodniach międzynarodowych w dyskursie publicznym”.

Chodzi o krótkie zbitki językowe i „skrótowe myślowe” chętnie używane przez media w różnych krajach świata, które tworzą u odbiorców wypaczony obraz

świata, sprawiając, że nieznający historii przypadkowy słuchacz może łatwo pomylić ofiary masowych zbrodni z ich sprawcami.

Skrótowy charakter tego typu chwytliwych „uproszczeń” sprawia, że zakorzeniają się one w języku i w pamięci tysięcy lub milionów odbiorców, nie tylko utrudniając narodom, które padają ofiarą nieuczciwej narracji, walkę o dobre imię, lecz także trwale wprowadzając fałszywe narracje do globalnej, regionalnej, narodowej i lokalnej pamięci.

Fałszywe kody pamięci są szczególnie niebezpieczne w połączeniu z kiepską edukacją historyczną oraz ignorancją, niechlujstwem wielu dziennikarzy i redaktorów lub wręcz celowym wprowadza-

pamięci

FOT. ADOBE STOCK



dzaniem odbiorców w błąd przez media, które doskonale wiedzą lub przynajmniej powinny wiedzieć, że dokonują historycznej manipulacji.

„Wadliwe kody pamięci na ogół są rezultatem ignorancji – nie należy jednak wykluczać, że mogą być używane celowo albo po to, by obrazić jakąś grupę, albo przynajmniej reprodukcją subtelny sygnał własnej dla niej, a niekiedy bardziej lub mniej skrywanej pogardy” – zauważa prof. Nowak-Far.

Te błędne kody są szczególnie groźne, ponieważ łatwo mogą zniekształcać świadomość zbiorowego odbiorcy, co w konsekwencji prowadzić może do utraty dobrej reputacji, a także wymiernych szkód społecznych, politycznych czy

gospodarczych. Jeśli takie fałszywe narzeczania zaczynają przeważać, to niszczą one również porządek moralny społeczeństw i trwale uniemożliwiają lub przynajmniej znacząco utrudniają komunikację między narodami.

NIEMIECKIE OBOZY ZAGŁADY

Terminu „wadliwe kody pamięci” w odniesieniu do kłamstwa historycznego niemal od dekady używa również polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które od 2004 r. prowadzi kampanię przeciw „polskim obozom koncentracyjnym”. Wśród Polaków przykładem takiego błędnego kodu, który budzi największe emocje, jest bowiem właśnie kłamliwe sformułowanie „polskie obozy zagłady”.

Sugeruje ono niedostatecznie wykształconym czytelnikom lub widzom, że to Polacy organizowali lub prowadzili takie obozy, chociaż prawda jest taka, że robili to niemieccy żołnierze na terenach okupowanej przez nich Polski. Jednocześnie, choć niemieckie obozy istniały w wielu krajach Europy, nikt nie pisze o „austriackich obozach” czy „czeskich obozach koncentracyjnych”.

Właśnie z tego powodu Polska już w 2006 r. poprosiła UNESCO o oficjalną zmianę nazwy obozu Auschwitz-Birkenau na „Auschwitz-Birkenau. Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady”. I chociaż ta nazwa funkcjonuje już niemal dwie dekady, to wciąż w mediach brytyjskich, amerykańskich, niemieckich,

francuskich, duńskich, austriackich, norweskich, izraelskich, słowackich, włoskich czy hiszpańskich, pojawiają się nieprawdziwe i szkalujące dobre imię Polaków określenia typu „polski obóz zagłady”, „polskie komory gazowe”, „polskie ludobójstwo” czy „polskie SS”.

O tym, jak groźne mogą być tego typu „wadliwe kody pamięci”, świadczy choćby fakt, że terminu „polski obóz śmierci” w maju 2012 r. użył nawet prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama i – co gorsza – zrobił to podczas ceremonii pośmiertnego uhonorowania Prezydenckim Medalem Wolności Jana Karskiego – człowieka, który jako jeden z pierwszych opowiedział Rooseveltowi o Holokauście i błagał o podjęcie działań, które uratowałyby więźniów wysyłanych do obozów zagłady. Mimo długoletniej walki polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, polskich dziennikarzy oraz organizacji pozarządowych, takich jak choćby Reduta Dobrego Imienia, kłamliwe pojęcia i terminy pojawiają się w mediach nawet w trzeciej dekadzie XXI w. Na szczęście konsekwentne żądania sprostowania i przeprosin sprawiły, że liczba odnotowywanych przypadków publikacji „wadliwych kodów pamięci” w wielu krajach spada. Zdecydowana większość interwencji kończy się zaś publikacją sprostowania, przeprosinami oraz obietnicą, że dany błąd więcej już się nie powtórzy. Polscy dyplomaci we współpracy z organizacjami pozarządowymi od lat prowadzą również intensywne działania skierowane na pozytywne prezentowanie za granicą najnowszej historii Polski, w tym stosunków polsko-żydowskich. Najskuteczniejszą formą są bowiem projekty edukacyjno-historyczne, które zapobiegają publikacjom informacji z wadliwymi kodami pamięci, a nie tylko interwencje post factum.

„LUDOBÓJSTWO ORMIAŃSKIE”?

Walkę o dobre imię i o prawdę historyczną od wielu dekad prowadzą również Ormianie. Mimo że rzeź Ormian jest drugim po Holokauście najlepiej udokumentowanym i opisanym ludobójstwem dokonanym przez władze państwowe na grupie etnicznej w czasach nowożytnych, oni również mają problem z próbami fałszowania historii.

Podobnie mylącym terminem jak „polskie obozy zagłady” są w zachodniej literaturze i w zachodnich mediach książki i artykuły dotyczące tzw. Ar-

menian Genocide, czyli „ludobójstwa ormiańskiego”. Chociaż dla wykształconego czytelnika wydawałoby się oczywiste, że chodzi o zbrodnie, których ofiarą po roku 1915 padli Ormianie, dla zachodniego czytelnika, który nie ma pojęcia o historii XX w., taki termin może budzić odwrotne skojarzenia.

Szkodliwa manipulacja historyczna jest w tym wypadku tym bardziej możliwa, że opinia międzynarodowa długo nie chciała pamiętać o ludobójstwie dokonanym na Ormianach przez Turków. I to mimo że w imperium osmańskim wymordowano w ciągu kilku lat od 1,2 do 1,4 mln osób, z czego część ofiar wymordowano w wyjątkowo barbarzyński sposób. A przecież tylko w Konstantynopolu aresztowano kilkuset przedstawicieli inteligencji ormiańskiej: nauczycieli, lekarzy, kapłanów, których bez żadnego sądu natychmiast zgładzono. 24 kwietnia 1915 r. tureckie władze wydały bowiem rozkaz mordów i masowych wysiedleń Ormian. Inicjatorem masowych mordów i deportacji był ówczesny minister spraw wewnętrznych Talaat Pasza. Wielu Ormian spalono żywcem, powieszono, utopiono lub strącono w górskie przepaści. Tych, których nie zabito od razu, wypędzano w straszliwych marszach śmierci – podczas których ludzie ginęli z pragnienia i głodu – do obozów na pustyni. Duża część Ormian została zmuszona do ucieczki, w efekcie czego do dziś więcej Ormian mieszka w diasporze niż w samej Armenii.

Turcy do dziś bronią się, że duża liczba zgonów Ormian była po prostu wynikiem głodu i złych warunków panujących podczas deportacji oraz pierwszej wojny światowej, pomijając milczeniem fakt, że imperium osmańskie mordowało Ormian jeszcze pod koniec XIX w. Do tej mniej lub bardziej zamierzonej ignorancji światowej opinii publicznej miał nawet w latach 30. nawiązywać Adolf Hitler. „Kto dziś pamięta o rzezi Ormian?” – pytał retorycznie przywódca III Rzeszy, zapowiadając zbrodnie wojenne dokonywane na polskiej ludności od początku drugiej wojny światowej.

23 kwietnia 2015 r., w setną rocznicę ludobójstwa, Apostolski Kościół Ormiański kanonizował półtora miliona ofiar ludobójstwa sprzed stu lat. „To na nas, Ormianach, ciąży obowiązek moralny i prawo pamiętania o półtora milionie naszych przodków, którzy zostali zamordowani,

i o setkach tysięcy osób, które przeszły nieludzkie doświadczenia” – podkreślał zaś prezydent Armenii Serż Sarkisjan.

Ormianie nie tylko utworzyli Mauzoleum Ofiar Ludobójstwa, lecz także walczą o to, aby odpowiednio prowadzona polityka historyczna pozwoliła zachować godną pamięć o wielkiej ofierze tego narodu.

Uroczystości związane z setną rocznicą ludobójstwa odbywały się więc we wszystkich tych miejscach, w których żyją większe skupiska Ormian: od Bejrutu poprzez Los Angeles do Paryża i Sztokholmu. Marsz Milczenia przeszedł również pod ambasadę Turcji w Warszawie (przybyli na niego również Ormianie z Łodzi, Krakowa, Katowic etc.). W wielu miastach świata, w tym w polskiej stolicy, co roku 24 kwietnia społeczność ormiańska obchodzi rocznicę upamiętniającą rozpoczęcie eksterminacji ich narodu. Dzięki działaniom Ormian ludobójstwo Ormian oficjalnie uznało ok. 30 państw na całym świecie, w tym m.in. Argentyna, Armenia, Austria, Australia, Belgia, Bułgaria, Chile, Cypr, Francja, Grecja, Holandia, Kanada, Liban, Litwa, Niemcy oraz Polska (w 2005 r.). Fakt ten uznali również papież Jan Paweł II, Parlament Europejski oraz Rada Europy.

W grudniu 2019 r. ludobójstwo Ormian uznał amerykański Senat. Ormianom długo nie udawało się do tego przekonać kolejnych gospodarzy Białego Domu. W 2017 r. prezydent Donald Trump nazwał masakrę Ormian „jednym z najstraszniejszych masowych okrucieństw XX w.”, unikając jednak terminu „ludobójstwo”. Dopiero 24 kwietnia 2021 r. rzeź Ormian ludobójstwem nazwał oficjalnie prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden, co wywołało natychmiast istotne napięcie na linii USA-Turcja, gdyż takie stanowisko Białego Domu może stanowić przykład dla reszty cywilizowanego świata.

Oficjalny komunikat wydał też natychmiast szef tureckiej dyplomacji Mevlüt Çavuşoğlu, który w swoim oświadczeniu podkreślił, że „nikt nie może nas uczyć na temat naszej historii”.

Do dziś władze Turcji nie chcą bowiem uznać wydarzeń z początku XX w. za ludobójstwo. Negowanie ludobójstwa jest zaś kluczowym elementem polityki historycznej Ankary zarówno na scenie międzynarodowej, jak i wewnętrznej (Turcy grożą retorsjami każdemu pań-

stwu, które uzna ludobójstwo Ormian, a w tureckich szkołach dzieci uczą się o „ormiańskich kłamstwach”). Przykładem skutecznej interwencji Turcji na arenie międzynarodowej było odwołanie w ostatniej chwili w 2018 r. głosowania w sprawie oficjalnego uznania przez Izrael zagłady Ormian w państwie tureckim za ludobójstwo. Projekt – na prośbę izraelskiego MSZ – wycofała przywódczyni Meretu Tamar Zandberg, która sama wcześniej go zgłosiła.

Wielkim sukcesem polityki historycznej Ormian było z kolei skłonienie liderów Unii Europejskiej do przedstawienia władzom w Ankarze jednoznacznego komunikatu: przyznanie się Turcji do ludobójstwa Ormian jest jednym z warunków przyjęcia Turcji do Unii Europejskiej.

Bardzo liczna ormiańska mniejszość we Francji skłoniła władze w Paryżu do przyjęcia najtwardszego stanowiska w tej sprawie: izba niższa parlamentu Francji w 2016 r. uchwaliła prawo przewidujące do roku więzienia i aż 45 tys. euro grzywny za każde publiczne negowanie faktu ludobójstwa Ormian w latach 1915–1917, rozszerzając przepisy dotyczące negowania Holocaustu.

„LUDOBÓJSTWO TUTSI” I „EKSTERMINACJA HERERO”

Przykładem „wadliwego kodu pamięci” jest również termin „ludobójstwo Tutsi”. Termin ten nawiązuje do krwawych wydarzeń, do których doszło w Rwandzie w 1994 r.

6 kwietnia 1994 r. zestrzelono samolot z prezydentem Rwandy, Juvénalem Habyarimaną, na pokładzie. O zamach członkowie ludu Hutu oskarżyli Tutsi, których już wcześniej w rządowych mediach nazywano „robactwem”. Antagonizmy między Hutu a Tutsi trwały wprawdzie od wieków, jednak takiej rzezi pod koniec XX w. nikt się nie spodziewał. W zaledwie sto dni brutalnie zamordowano w tym kraju nawet milion osób, a morderstw dokonywano średnio co 8,5 sekundy. Każdego dnia Hutu zabijali ok. 10 tys. osób. Ofiarom strzelano w tył głowy, wbijano im nóż w oczy. Tutsi zabijano również maczetami lub gwałcono aż do śmierci. Część synów zmuszano do gwałcenia własnych matek. Zdarzały się też przypadki, gdy mordercy zmuszali kobiety pochodzenia Tutsi do jedzenia własnych noworodków.

Ludobójstwo w 10-milionowej Rwandzie niemal na żywo transmitowały największe telewizje świata, a zbrodniom beczynnie przyglądali się żołnierze ONZ, którzy stacjonowali w Rwandzie. Nic w celu powstrzymania ludobójstwa nie zrobiły ani kraje UE, ani USA. Tym bardziej krzywdzący jest więc termin „ludobójstwo Tutsi”, choć brutalnych morderstw dokonywały też oddziały Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego, złożonego w większości z Tutsi, które podczas operacji odwetowych dokonywały masakr ludności Hutu w obozach dla uchodźców. Współcześnie w Rwandzie nie mówi się już o Hutu i Tutsi, gdyż polityczna poprawność każe mówić o jednej wspólnotce Rwandyjczyków. Zabójcy do dziś nie ponieśli jednak sprawiedliwej kary. Nie wyjaśniono też, jaką odpowiedzialność za ludobójstwo ponosi rząd w Paryżu, który w walce o polityczne wpływy w tej były belgijskiej kolonii celowo rozgrywał wielowiekowe napięcia etniczne.

Przykładem „wadliwego kodu pamięci” również dotyczącego ludobójstwa w Afryce jest termin „eksterminacja Herero i Namaqua”. Chodzi o brutalne stłumienie przez wojska Cesarstwa Niemieckiego powstania afrykańskich ludów Herero i Namaqua na przełomie lat 1904 i 1905, które uznawane jest za pierwsze ludobójstwo XX w. Tak eksterminację tych dwóch plemion przez Niemców określił tzw. raport Whitakera opublikowany w 1985 r. przez ONZ. Niemcy pod wodzą gen. Lothara von Trotha, który postanowił nie tylko zdławić powstanie, lecz także „ostatecznie rozwiązać problem” z rdzennymi mieszkańcami, z zimną krwią wymordowali dziesiątki tysięcy osób, rozstrzelując ich za pomocą karabinów maszynowych, zatruwając studnie, a także wypędzając ich na pustynię i nie dopuszczając do źródła wody. W 1905 r. Niemcy utworzyli też w zatoce Shark Island pierwszy obóz zagłady, przeprowadzali też na więźniach eksperymenty medyczne (uczniem Theodora Mollisona, który prowadził badania w Niemieckiej Afryce Wschodniej, był Josef Mengele). Rząd w Berlinie swe zbrodnie z początku XX w. uznał dopiero w sierpniu 2004 r., odmówił jednak wypłaty odszkodowań nielicznym potomkom tych członków plemion, którym udało się przeżyć (Niemcy doprowadzili do śmierci 80 proc. populacji ludu Herero i 50 proc. plemienia Nama). Dopiero pod koniec maja 2021 r. Niemcy ogłosili, że zapłacą Namibii 1,1 mld euro odszkodowania za popełnione w tym

kraju ludobójstwo. – Od teraz będziemy to oficjalnie nazywać ludobójstwem. W świetle historycznej i moralnej odpowiedzialności Niemiec, prosimy potomków ofiar i poszkodowanych o wybaczenie za wyrządzone im okrucieństwa – oświadczył szef niemieckiej dyplomacji Heiko Mass.

OBRONA PORZĄDKU MORALNEGO

„Wadliwe kody pamięci” mają więc różny kontekst polityczny. Niekiedy mają prowokować do określonych zachowań. Wprawdzie nie zawsze używane są celowo, jednak bardzo często wzbudzają ogromne emocje. „Najważniejsze w nich jest to, że potrafią one – siłą języka – odwracać moralny porządek wynikający z lekcji, którą daje społeczności międzynarodowej historia. W odniesieniu do zbrodni ściganych przez społeczność międzynarodową są przez to niebezpieczne, gdyż skutecznie zacierają pamięć oraz ocenę zła, które do tych zbrodni doprowadziły. Podważają one przy tym prawo do prawdy, o które mamy – jako społeczność międzynarodowa – obowiązek upominać się nie tylko we własnym imieniu, lecz także w szczególności w imieniu ofiar” – zauważył prof. Nowak-Far we wstępie do wspomnianej książki „Wadliwe kody pamięci”.

W walce z nimi doskonale służy podnoszenie ogólnego poziomu wykształcenia społeczeństw. U wykształconych odbiorców lub czytelników i widzów, którzy pamiętają dawne czasy, tego typu określenia nie są bowiem aż tak niebezpieczne. Już w przypadku młodych osób, które nie otrzymały wystarczającej edukacji, „wadliwe kody pamięci” mogą wywoływać fatalne w skutkach nieporozumienia. I chociaż każdy kraj ma prawo do obrony własnej narracji historycznej, to jednak każde państwo powinno też bronić porządku moralnego, który sprzeciwia się przemianom ofiar w sprawców i odwrotnie. Profesor Witold Kulesza słusznie zauważa zaś, że zbiorowa pamięć i prawda historyczna mogą być traktowane jako dobro społeczne chronione prawem karnym.

Warto więc uświadamiać liderom opinii, redaktorom i dziennikarzom w różnych krajach świata fakt istnienia „wadliwych kodów pamięci” oraz uczyć pracowników mediów, jak rozpoznawać tego typu zakłamania nie tylko w celu obrony prawdy, lecz także dla ochrony wiarygodności danego medium.



ks. Przemysław Artemiuk

Pojawiające się w mediach stwierdzenie, że książka Piotra Augustyniaka „Jezus Niechrystus” jest ważna, teologa może dziwić, a nawet zaskakiwać.

Praca krakowskiego filozofa to raczej wyznanie niewiary, rozliczenie się z Kościołem katolickim, zerwanie z tradycją, jednym słowem: pożegnanie

Jeśli książka jest ważna, to przede wszystkim dla jej autora – i słusznie. Stanowi bowiem rodzaj credo, które zawiera odrzucenie boskości Jezusa, a co za tym idzie – negację założenia przez niego Kościoła, chociaż nie wprost. Augustyniak, który otarł się o dominikanów, a w młodości przynależał do parafialnych wspólnot, teraz dokonuje rachunku sumienia i postanawia ogłosić swoją niewiarę. Pomocna okazuje się w tym wiedza filozoficzna, badania prowadzone nad myślą mistrza Eckharta, Nietzschego, Heideggera. W książce Augustyniak wyjaśnia, że wskazani filozofowie, niczym przewodnicy, pokazali mu drogę ku nowemu życiu, pełną pojęć, za to pozbawioną osobowego Boga.

Czytając przed laty z zainteresowaniem pracę krakowskiego filozofa poświęconą niemieckim myślicielom, odniosłem nieodparte wrażenie, że dokonuje on dosyć oryginalnej, by nie powiedzieć – mało ortodoksyjnej – interpretacji myśli mistrza Eckharta. Po lekturze pracy Augustyniaka sięgnąłem zarówno do pism nadreńskiego mistyka, jak i do znakomitej monografii jemu poświęconej, autorstwa Bernarda McGinna. W świetle tego ostatniego dzieła inaczej spojrzałem na niemieckiego mistrza. Niemniej jednak krakowski filozof zachęcił mnie do uważnej lektury Eckharta.

W wypadku książki o Jezusie czy też szerzej – o chrześcijaństwie – mam jednak problem. Praca bowiem, chociaż nosi znamiona naukowego eseju i posiada formę refleksji na temat osoby Jezusa, pełna jest osobistych odniesień, często nasasyconych niechęcią do katolickiej teologii. Poza Pismem Świętym Augustyniak nie odwołuje się do żadnej ważnej egzegetycznej czy też teologicznej pracy. Przywołuje jedynie

epizodycznie kilku autorów z kręgu third quest (Vermes, Crossan), a także lewicowych filozofów zainteresowanych nowotestamentowymi wątkami (Agamben, Badiou). Jaki więc obraz Jezusa prezentuje krakowski filozof? Dlaczego odmawia mu boskości? Co ma oznaczać pojawiająca się w tytule negacja jego mesjanizmu?

INSPIRACJA LENNONEM

Kluczem do interpretacji postaci Nazarejczyka staje się dla Augustyniaka „Imagine” Johna Lennona. Od tej analogii rozpoczyna się esej krakowskiego filozofa. Stwierdza on, że między obu postaciami,

Jezusem i Lennonem, istnieje wyraźna zbieżność. Obaj bowiem zapłacili za swoje marzenia najwyższą cenę. Perspektywa, którą kreśli Lennon, jest bliska Augustyniakowi. Cechuje ją bowiem niewiara „w każdego boga, w każdą religię, w każdą ideologię. [...] Bo wszystkie one są tylko projekcjami naszego psychicznego i duchowego bólu” – stwierdza filozof. Przesłanie „Imagine” z kolei, jego zdaniem, zawiera w swej istocie wielką wiarę w życie i wiarę w człowieka. I w tej perspektywie Augustyniak pragnie spojrzeć na Jezusa i o nim opowiedzieć. Ma jednak świadomość, że taka analogia może być



FOT. AUDREY STOK

W obronie Chrystusa

sprzeczna z kanonicznymi Ewangeliami. Dlatego stwierdza: „Jestem przekonany, że prawda o jego [Jezusa] doświadczeniu i przesłaniu jest właśnie taka. Na przekór religii – i tej, z której wyrósł, i tej, którą rzekomo stworzył, oraz na przekór światu, który go otaczał, a na końcu zgładził i niezwłocznie ubóstwił”.

Swoje rozważania Augustyniak dedykuje wszystkim nieznanym dla siebie miejsca w ramach życia religijnego, które oferuje chrześcijaństwo, a w szczególności Kościół katolicki. Ponadto filozof zauważa, że chociaż wiele osób sytuuje się dzisiaj poza wspólnotą wyznaniową, to jednak mają oni prawo do osoby Nazarejczyka, ponieważ w jego historii „jest coś, czego nie chcieliby się wyzbyć; [...] odnajdują w niej intelektualną i duchową inspirację oraz umocnienie swojego poczucia wolności; coś, co sprawia, że czują się zrozumiani i afirmowani; coś, co motywuje do tego, aby żyć intensywnie, bardziej wrażliwie i twórczo”.

We wstępie pojawia się także apel, skierowany przez filozofa do wszystkich „bezwyznaniowców”. Warto zacytować go w całości: „Mamy prawo do postaci Jezusa. Jego historia należy do nas. Spróbujmy razem to niezwykle doświadczenie życia, które jest w nim zakodowane, odebrać uzurpatorom. Tym, którzy twierdzą, że Jezus ich wybrał i że go reprezentują, a diametralnie różniących się z jego wrażliwością, energią i odczuciem świata. Odbierzmy razem Jezusa konfesyjnej doktrynie, religijnemu rytuałowi, kościelnej nowomowie, patriarchalnej, opresyjnej zwierzchności, walczącej o polityczne wpływy. Pomóżmy jego energii i wizji wyzwolić się z tego aresztu. Pomóżmy nie tylko dlatego, że na to zasługuje, ale też dlatego, że my tego potrzebujemy”.

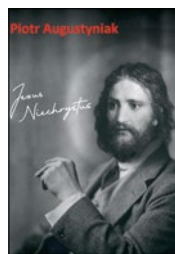
KATALOG NADINTERPRETACJI FILOZOFA

To prawda, że każdy może w historii i przesłaniu Jezusa odnaleźć wątki mu bliskie. Czytając jednak esej Augustyniaka, towarzyszyło mi nieodparte wrażenie, że mamy do czynienia z próbą zafałszowania Nazarejczyka, przejęcia jego osoby i nauczania oraz równoczesnego uwiedzenia czytelników. Oto filozof nakłada na postać Jezusa z Nazaretu słowa Lennona, pełne utopijnych frazesów. Już przed laty Agnieszka Kołakowska stwierdziła, że tekst tej piosenki „to wizja ostatecznego zwycięstwa strażników politycznej poprawności: zwycięstwa ideologii nad

zdrowym rozsądkiem i rozumem, nad językiem i historią, nad nauką i nad faktami – nad człowiekiem i wolnością. Innymi słowy, zwycięstwo totalitaryzmu na skalę światową”. Na czym ona polega? Co ją znamionuje? Zgodnie z przesłaniem piosenki eks-Bitelsa jest to „wizja świata bez państw i bez religii, bez wartości, za które warto zabijać lub umierać, bez nieba i piekła, bez własności, jest to wizja przerażająca”. Kołakowska dodaje, że „dreszcz przeszywa na myśl o tym, jak – to znaczy za pomocą jakich represji – taką utopię wbrew naturze ludzkiej można by (hipotetycznie) wprowadzić i kto by ją utrzymywał. Wizja ta budzi grozę także dlatego, że zdaje się być szeroko podzielaną aspiracją XXI wieku, szczególnie w nowej Europie”. Odnosząc tekst „Imagine” do osoby Jezusa, Augustyniak chce ukazać inne, jego zdaniem prawdziwe, oblicze Nazarejczyka. Moim zdaniem utopijne jak tekst Lennona i nieliczące się z faktami z Ewangelii.

Po drugie, stwierdzając, że do dzisiaj postać Jezusa znajduje się w kleszczach uzurpatorów, którzy poprzez tradycję, dogmaty i liturgie zawłaszczają go, krakowski filozof postuluje, by odebrać Nazarejczyka wszelakiego rodzaju funkcjonariuszom systemu kościelnego. Chodzi oczywiście o znane już od czasów oświecenia odkościelnicie wizerunku Jezusa, odarcie go z ciasnych bandażów dogmatu, wyzwolenie. Tego rodzaju postulat, doskonale znane od czasów wczesnego chrześcijaństwa i apokryficznych, gnostyckich Ewangelii, zawierają ukryte przekonanie, że ortodoksyjna kościelna tradycja dokonała zawłaszczenia Mistrza z Nazaretu, dlatego strzegąc z takim uporem kanonicznych tekstów, cenzurowała i odrzucała heterodoksyjne pisma. Dzisiaj postulat dotyczący dowolności interpretacyjnej oraz równego traktowania starożytnych źródeł, niezależnie od ich pochodzenia i kanoniczności, są realizowane przez historyków i biblistów z kręgu trzeciego poszukiwania (third quest). Nadmienmy, że nierzadko ich badaniom towarzyszy ideologiczne nachylenie. Judaistyczny kontekst zdaje się dominować w ich analizach. W swoich poszukiwaniach wchodzą jednak w koleiny oświeceniowych krytyków i podobnie jak oni tworzą kolejne uproszczone wizerunki Jezusa.

Po trzecie, Augustyniak uwodzi czytelnika własną wizją Nazarejczyka. Jest ona płaska, jednowymiarowa, uproszczona,



PIOTR
AUGUSTYNIAK
„JEZUS
NIECHRYSTUS”
SŁOWO/OBRZ
TERYTORIA

rozmią się z tekstami Ewangelii. Krakowski filozof wtłacza Jezusa we własną wizję. Ogołacając go z boskości, rozpoczyna od negacji zmartwychwstania. Nie podaje jednak żadnych argumentów za lub przeciw. Opierając się jedynie na wybranych fragmentach Ewangelii, identyfikowanych jako źródło Q [ok. 235–266 wersetów wspólnych dla Ewangelii według św. Mateusza oraz Łukasza i równocześnie nieobecnych u św. Marka,

niektórzy egzegeci nazywają je „Ewangelią galilejską”], wyprowadza z nich pojęcie doświadczenia egzystencjalnego, które miało być kluczowe zarówno dla Nazarejczyka, jak i dla każdego człowieka. Rozważa wybrane teksty ewangelijne, prowadząc równocześnie dialog ze swoimi mistrzami. Od nich bierze wybrane pojęcia i przypisuje je Jezusowi. W ten sposób tworzy jego obraz, jak sam zauważa, nie historyczny, ale „kairotyczny”, czyli pozachronologiczny, gdzie nie ma przed i po, dlaczego i dlatego, gdzie wszystko staje się płynne, zmienne i w gruncie rzeczy dowolne. Augustyniak nie szuka śladów boskiej tożsamości Jezusa w jego odniesieniu do Boga, w nauczaniu, w cudotwórczej działalności, ale boskość interpretuje zgodnie z poglądami Eckharta, które przecież są wtórne wobec tekstów Nowego Testamentu.

TYLKO CZŁOWIEK?

Kim zatem jest dla krakowskiego filozofa Jezus? Tylko człowiekiem, wprawdzie wyjątkowym, ale człowiekiem. Nazywa go jednym z potencjalnych przewodników i inspiratorów „radikalnego zwrotu w kulturze”. Ale nie jest ani jedynym, ani wyjątkowym autorytetem, chociaż jednym z najważniejszych. Postuluje zainteresowanie, a nawet powrót do Jezusa, przy równoczesnym odrzuceniu jego mesjańskości, stąd pojawiające się w tytule książki określenie Niechrystus. Zbliżenie do takiego Nazarejczyka, zdaniem Augustyniaka, może się dokonać tylko poza Kościołem. Esei kończy się deklaracją: Jezus – tak, Chrystus – nie, Kościół – nie oraz zastrzeżeniem, by nie pomieszać tych kierunków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. Przemysław Artemiuk – teolog fundamentalny, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego i wykładowca w Wyższym Seminarium Duchownym w Łomży.

PAWEŁ ZDZIARSKI: Dlaczego Ministerstwo Sprawiedliwości chce kształcić prawników we własnej szkole wyższej?

MARCIN ROMANOWSKI: Uczelnie wyższe w Polsce i ich wykładowcy są przesiąknięci lewicową wizją świata i nierzadko „dziedzictwem” poprzedniego systemu. Współczesna kultura prawna odwraca się od tradycyjnych europejskich wartości. Nie można uczyć młodych ludzi o tym, że zło jest dobrem. Nie można na opak interpretować niezwykłych praw człowieka. Takim prawem jest choćby prawo do życia. Nie ma innego sposobu na walkę z wynaturzeniem prawa jak właściwe jego nauczanie. Taką misję bierze na siebie Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości, która oferuje bezpłatne, jednolite studia magisterskie o praktycznym charakterze. Dajemy młodym ludziom niezbędne narzędzia, tworząc formułę również dla młodzieży spoza dużych

-prokuratorskiej, ścieżki prawniczych zawodów regulowanych – adwokata, radcy prawnego, notariusza, komornika – lub ścieżki konsularno-legislacyjnej), w ramach których studenci będą odbywać praktyki zawodowe w sądach, prokuraturach i kancelariach prawnych, poznając jednocześnie specyfikę wykonywania poszczególnych zawodów prawniczych. Ten cykl studiów uzupełniony będzie praktykami w wybranym organie administracji publicznej, m.in. w Ministerstwie Sprawiedliwości, uczelnianej studenckiej poradni prawnej oraz w Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości w Warszawie i Instytucie Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krakowie.

Co jest najważniejszym efektem takich studiów?

Przede wszystkim umiejętności praktyczne pozwalające rozumieć problemy,

nie z legislatorami będzie się przygotowywało konkretne projekty. Chcemy wykorzystać najlepszych praktyków, którzy na co dzień pracują w zawodzie, i najlepszych wykładowców z kraju oraz zagranicy, dzielących się doświadczeniami i praktyczny wymiar tych studiów.

Chcemy też, by z powrotem w pracy prawnika człowiek zajął kluczowe miejsce. Nie procedura. Misją uniwersytetu jest poszukiwanie prawdy. Kształcenie prawników musi prowadzić do jej odkrycia. Poznanie dóbr podstawowych, wartości takich jak przyrodzona godność człowieka i jego osobowy charakter to podstawa w edukacji przyszłych prawników. Etyka chrześcijańska to przecież obok prawa rzymskiego i grecko-rzymskiej filozofii niepodważalny fundament cywilizacji łacińskiej. Nie bez powodu mówi się o trzech filarach współczesnej Europy. Niestety, obecnie lewicowi działacze chcą podważyć ten



Z Marcinem Romanowskim, wiceministrem sprawiedliwości, jednym z pomysłodawców powstania Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości rozmawia Paweł Zdziarski

Potrzebujemy oazy wolności

ośrodków, z rodzin niekoniecznie inteligenckich, którym często brakuje środków materialnych czy pewności siebie, że dadzą sobie radę w nowym środowisku, w dużym mieście. Uczelnie, na których dominuje lewicowo-liberalna agenda, poprzez ideologizację ograniczają wolność, oferując przy tym niepraktyczny charakter studiów. U nas ma być na odwrót. Służyć temu będzie m.in. stworzenie małych grup ćwiczeniowych, objęcie studentów indywidualną opieką naukową (mentoringiem) oraz możliwość wyboru przez studenta (od IV roku studiów) jednej z trzech ścieżek zawodowych (ścieżki sądowo

procesy oraz zjawiska społeczne i prawne związane z tworzeniem, wykładnią i ze stosowaniem prawa, kwalifikacje pozwalające realizować różne zadania i role zawodowe w sposób profesjonalny i zgodny z zasadami etyki, umiejętność komunikacji interpersonalnej oraz prowadzenia negocjacji i mediacji, jak również umiejętność przygotowywania pism procesowych oraz prowadzenia określonych spraw w sądach i urzędach.

Na naszej uczelni nie będzie się np. mówić, czym jest ocena skutków regulacji, tylko będzie się tę ocenę przygotowywało. Nie będzie mówiło się o tym, na czym polega legislacja, tylko wspól-

fundament. Widać to bardzo dobrze na przykładzie niektórych uczelni amerykańskich, w których nie ma miejsca na inne poglądy aniżeli radykalnie lewicowe. Potrzebujemy oazy wolności. Miejsca, gdzie będzie można prowadzić działalność akademicką i studiować bez presji, że poglądy konserwatywne, narodowe, liberalne nie będą uważane za niedopuszczalne.

Potrzebujemy też dobrze wykształconych i wrażliwych na sprawy innych oraz sprawy państwa pracowników administracji publicznej (rządowych i samorządowych), wymiaru sprawiedliwości i innych instytucji. Mamy



■ za sobą ogromny sukces Pracowni Liderów Prawa, którą prowadzimy od kilku lat i w której udział biorą młodzi prawnicy planujący swoją karierę w instytucjach publicznych państwa polskiego. Jest to nowoczesna forma kształcenia przyszłych prawniczych elit, która cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W ramach programu liderzy życia publicznego, wolnych zawodów prawniczych, gospodarki, a także organizacji społecznych przekazują swoją wiedzę oraz dzielą się swoim doświadczeniem. Otwarcie kierunku „prawo” na SWWS to kontynuacja i rozbudowanie tego projektu.

Nie boją się państwo zarzutu ideologizacji kształcenia?

Chcemy pokazywać, jak ważne są wartości, nie ideologia, ale tradycja i zasady moralne zakorzenione w naszej kulturze prawnej, nie zaś mody kulturowe. Mamy dzisiaj do czynienia z gwałtowną redefinicją pojęć, takich jak godność, dobro wspólne czy prawa człowieka. My będziemy je pokazywać w takim kształcie, jaki miały one w trakcie powstania, np. w Karcie Narodów Zjednoczonych czy Deklaracji praw człowieka.

Proponując spojrzenie z perspektywy prawa naturalnego, stawiamy na istotę i sens prawa jako takiego. System prawa składa się z prawa pozytywnego i prawa naturalnego. Prawa człowieka mają bowiem charakter przyrodzony i niezbywalny. Dlatego też mówimy o deklaracjach praw człowieka, gdyż tych praw nie tworzy się, lecz zauważa ich rzeczywiste istnienie i konieczność przestrzegania. To uwiera współczesną lewicę, bo pokazuje, że jej wszystkie genderowe wymysły, jak tzw. prawo do aborcji, to antyludzkie bzdury i swoista „licencja na zabijanie”. Kierunek prawo na SWWS ma zapewnić przestrzeń wolności akademickiej. Nie chcemy jednej ideologii zastąpić jakąś inną, choćby była ona konserwatywna. Chcemy, żeby ludzie o poglądach konserwatywnych, osoby wierzące nie czuły się spychane na margines czy zmuszane mniej czy bardziej wyraźną presją do ukrywania swoich poglądów. Wolność akademicka jest potrzebna jak powietrze. Bez niej nie ma uniwersytetu.

To ogromne wyzwanie dla nowej uczelni...

Szkoła istnieje od niedawna, to prawda, bo od 2018 r. Ze względu na

rozszerzenie jej działalności zmieniliśmy jej nazwę na Szkołę Wyższą Wymiaru Sprawiedliwości. Mamy już jednak rozbudowane instytuty: prawa, bezpieczeństwa, pedagogiki czy powstałe w tym roku Centrum Badania Polityk Europejskich. SWWS pozyskała nowe obiekty w centrum Warszawy. Zajęcia dla studentów na kierunku prawo odbywać się będą w budynku przy ul. Karmelickiej 9, w bliskim sąsiedztwie Starego Miasta i Zamku Królewskiego w Warszawie. To nowoczesny, kilkupiętrowy budynek, zapewniający wysoki standard prowadzonych zajęć i obsługi administracyjnej. Nowy dom studenta SWWS, położony przy ul. Belwederskiej 44C, to też bardzo komfortowy budynek, położony w bliskim sąsiedztwie Łazienek Królewskich. Bazę dydaktyczną i akademik dzieli niewielka odległość. Dystans ten można sprawnie i szybko pokonać metrem oraz dzięki bezpośrednim połączeniom autobusowym i tramwajowym.

Naszym zdaniem celem nauki prawa jest umacnianie w społeczeństwie ponadczasowych tradycji i zasad moralnych obecnych choćby w preambule do Konstytucji RP

W studiach wyższych nie chodzi jednak tylko o sam komfort studiowania, najważniejsze są bowiem jakość kształcenia i dopasowanie oferty dydaktycznej do wyzwań współczesnego świata. Zmienia się bowiem ciągle rzeczywistość społeczna. Prawo obejmuje coraz więcej dziedzin życia. W obrocie prawnym mieszają się instytucje klasycznych dziedzin prawa z wszechobecnym prawem administracyjnym, ale też finansowe, ubezpieczeniowe, zamówień publicznych. Również forma komunikacji się zmienia; zarówno w biznesie, jak i funkcjonowaniu administracji czy wymiaru sprawiedliwości coraz powszechniejsze staje się dokonywanie czynności czy transakcji z wykorzystaniem instrumentów zdalnych. To również wymaga dodatkowych umiejętności, dostosowania sposobów działania i organizacji pracy. Dla prawnika oznacza to konieczność nabycia

nowych umiejętności. Dlatego, mówiąc nieco obrazowo, zamiast „żołnierzy” trzeba kształcić przyszłych „komandosów”, którzy będą dobrymi negocjatorami czy mediatorami i będą potrafili szybko oraz skutecznie przeprowadzić operacje prawne z wykorzystaniem nowoczesnych technologii. To wszystko składa się na praktyczność i nowoczesność kształcenia na SWWS.

Czy jest nadzieja, że idea stojąca u podstaw SWWS rozprzestrzeni się także na inne uczelnie?

Mam taką nadzieję, że Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości wytyczy szlak, którym pójść także inne uczelnie wyższe. Proponujemy kształcenie spójne z aksjologią polskiej konstytucji. Obecna oferta studiów prawniczych jest nieraz zbyt teoretyczna, przez co nie odpowiada wymogom stawianym przed prawnikami, a także silnie zideologizowana przez różne odłamy gender. Prowadzi to do tego, że samo prawo zaczyna się postrzegać jako narzędzie regulowania rzeczywistości, często niezgodnie z wartościami moralnymi obecnymi w konstytucji. Coraz częściej mówi się też o zjawisku instrumentalizacji prawa oraz o zjawisku inflacji prawa. Skutkują one m.in. osłabieniem posłuchu wobec prawa, a w konsekwencji zaburzeniem całego ładu społecznego. Sytuacja, w której słuszność moralna oceniana jest wyłącznie za pośrednictwem prawa, nie jest pożądana. Taki punkt widzenia prowadzi do radykalnej alienacji prawa z całego systemu społecznego, a przede wszystkim odezwania od aksjologii i ustalonych ocen etycznych.

Naszym zdaniem celem nauki prawa jest umacnianie w społeczeństwie ponadczasowych tradycji i zasad moralnych obecnych chociażby w preambule do Konstytucji RP. Chcemy, żeby nasi absolwenci mieli najwyższe kwalifikacje merytoryczne oraz odpowiednie standardy etyczne niezbędne do wykonywania zawodów prawniczych, zwłaszcza tych, które mają na celu służbę na rzecz państwa polskiego. Naszą misją i celem, który sobie stawiamy, są kształcenie przyszłych elit prawniczych w Polsce, dla których prawo nie będzie tylko rzemiosłem, lecz działaniem nakierowanym na dobro wspólne obecne w Konstytucji RP, rozumiane w duchu godności człowieka i ochrony życia ludzkiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Jurek

PiS skreślił na lewo. Tylko wyborcy mogą go z tej drogi zawrócić

Norman Podhoretz, nestor amerykańskiego neokonserwatyzmu, sformułował wyborcze prawo: jeśli chcesz, by władza liczyła się z twoim głosem, to głosuj na tych, których poglądami są najdalej od ciebie. Większość demokratycznych polityków bardziej bowiem kieruje się zachłannością wyborczą i chęcią zwiększenia poparcia niż lojalnością wobec zasad i zwolenników. Z reguły więc bardziej liczą się z wyborcami, których mogą zyskać, niż z tymi, których „już mają”.

Oczywiście „prawo Podhoretza” to nie żadne prawo, tylko zgrabny koncept poirytowanego komentatora. Ale ziarno prawdy w nim jest, trzeba je jedynie ostrożnie wydobyć. To ziarno to wyborcy, których polityk lub partia mogą stracić.

MOBILIZUJĄCA ZMIANA

Zjednoczona Prawica to nie dzieło Jarosława Kaczyńskiego. On był tylko jego sprawnym redaktorem, autorem byli prawnicy wyborcy. Wyborcy, którzy w wyborach europejskich 2014 głosowali na listy partii Jarosława Gowina i Zbigniewa Ziobry, dając im (łącznie) ponad 7 proc. głosów. Do Parlamentu Europejskiego nie weszli, ale mandat społeczny potwierdzili i nakłonili PiS do modyfikacji polityki. Wyborcy Polski Razem i Solidarnej mogli więc z przekonaniem głosować w 2015 r. na swych kandydatów na PiS-owskich listach właśnie dlatego, że rok wcześniej na PiS nie głosowali.



FOT. PIOTR MOLEK/EAST NEWS

Jak nie stracić głosu?

Zwrot w polityce PiS po ostatnich wyborach (szczególnie odblokowanie sprawy ochrony życia) to oczywisty efekt wyborczego wyniku Konfederacji, mocno potwierdzonego poparciem dla Krzysztofa Bosaka w wyborach prezydenckich. Nie w tym sensie, żeby w Prawie i Sprawiedliwości nie było polityków szczerze pragnących takiej polityki. Jest ich bardzo wielu, szczególnie poza kierownictwem. Ale dopiero zewnętrzna alternatywa uświadamia partyjnym bossom, że za racjami stoją też głosy wyborców. Inna rzecz, że efekt alternatywy, który zyskała Konfederacja, szybko strwoniła część jej polityków, licytując się po październikowym wyroku Trybunału Konstytucyjnego w pomysłach na „cywilizowane państwo aborcyjne” z prezydentem Dudą, którego wcześniej nie chcieli poprzeć przeciw Rafałowi Trzaskowskiemu.

Oba te przypadki pokazują, że najskuteczniej wpłynęli na politykę PiS ci jego wyborcy, którzy przenieśli poparcie na inną partię. Ale na polityków

oddziaływać mogą nie tylko wybory, lecz także czasami wystarczą same preferencje widoczne w sondażach. PiS dziś robi zwrot na lewo, gdyby jednak Konfederacja zwiększyła swoje poparcie społeczne (nie rezygnując z roli moralnej alternatywy dla PiS) – z pewnością zmusiłoby to władzę do powtórnego rozważenia konsekwencji politycznych manewrów. Wyborcy mają często małą wiarę w wartość swego głosu, ale jego wpływ na bieżącą politykę może być bardzo realny, choć działa trochę jak giełda. Głosy spodziewane działają najsilniej, raz oddane – łatwo stracić.

NASZĄ PARTIĄ JEST POLSKA

Książę Bismarck, o czym się często zapomina, był również dyplomatą. My, Polacy, powinniśmy szczególnie o tym pamiętać, bo jako ambasador Wilhelma I knuł przeciw Polsce w Petersburgu przed powstaniem styczniowym. Otóż Bismarck mawiał, że szczególnie w dyplomacji nadmiar sympatii lub anty-

patii wobec jakiegoś państwa bywa początkiem nielojalności wobec własnego. Tę samą patriotyczną regułą odnieść można do emocji partyjnych, przez które można zapomnieć nie tylko o interesie narodowym, lecz także nawet o własnych poglądach. Wielu prawniczych wyborców dziwi się ostatnim aborcyonistycznym wypowiedziom prezesa PiS. Nie byłoby jednak tych wypowiedzi, gdyby sami wyborcy nie upewnili prezesa, że bardziej czy mniej chętnie, ale i tak go w końcu poprą.

I jedno zastrzeżenie na koniec: nie chodzi o to, by partię „karać”, by po uczuciowym rozczarowaniu co do jednej zakochiwać się w innej. Ochrona interesu publicznego przed oportunistycznym politykiem to nieustające zadanie opinii publicznej. Rzecz więc w tym, by dziś ani PiS, ani Solidarna Polska, ani Konfederacja nie były pewne, którą z tych partii poprą wyborcy prawicy. Tylko to może partyjne centrale zmusić do traktowania zasad i ludzi serio.

Symon Petlura w 1919 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mord atamana



Miroslaw Szumiło

95 lat temu na paryskiej ulicy został zamordowany przebywający na emigracji przywódca Ukraińskiej Republiki Ludowej ataman Symon Petlura. Zabójcą był mieszkający we Francji żydowski emigrant z Ukrainy Szolem Szwarzbard. Swój czyn przedstawił przed sądem jako romantyczną zemstę za pogromy jego rodaków nad Dnieprem. Czy Petlura był jednak winny pogromów? Czy morderca rzeczywiście działał sam? Komu zależało na śmierci Petlury i zszarganiu pamięci o nim?

Symon Petlura był ukraińskim patriotą o przekonaniach socjalistycznych, zaangażowanym od 1900 r. w ruch narodowy. W 1917 r. organizował oddziały armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, a od lutego 1919 r. jednoosobowo kierował walką o niepodległość jako przewodniczący Dyktoriau URL i wódz naczelny (Główny Ataman). Uważając za największego wroga Ukrainy Rosjan – zarówno czerwonych, jak i białych – w 1920 r. zawarł sojusz z Polską. Zwycięska dla nas wojna z bolszewikami nie obroniła jednak ukraińskiej niepodległości. Petlura pozostał na emigracji w Polsce. Wobec braku realnych możliwości działania pod rządami antyukraińskiej endecji w grudniu 1923 r. wyjechał przez Węgry do Francji. W oparciu o przebywających tam działaczy emigracyjnych usiłował prowadzić propagandę sprawy ukraińskiej na forum międzynarodowym. Na Ukrainie sowieckiej wciąż tlił się ruch powstańczy, a wszystkich jego uczestników nazywano petlurowcami.

25 maja 1926 r. Petlura po zjedzeniu obiadu wyszedł z paryskiej restauracji przy ul. Racine'a, w pobliżu bulwaru Saint-Michel, i zatrzymał się przed witryną pobliskiej księgarni. Wtedy podszedł do niego nieznajomy mężczyzna i zapytał: „Pan Petlura?”. Ataman nic nie odpowiedział, tylko podniósł łaskę, jakby chciał odsunąć natręta. Ten zaś gwałtownie wyciągnął rewolwer i oddał w sumie pięć strzałów do swojej ofiary, krzycząc: „Morderca! To za rzezie! To za pogromy!”. Zabójca nie próbował uciekać, został szybko obezwładniony przez przechodniów i zatrzymany przez policję.

Mordercą Petlury okazał się Szolem Szwarzbard, który urodził się w mieście Izmail w rosyjskiej Besarabii, zaś wychował się w Bałcie na Podolu. W 1905 r. był świadkiem pogromów ludności żydowskiej urządzonych przez Rosjan. Brał udział w organizowaniu żydowskiej samoobrony. Z powodu działalności w ruchu anarchistycznym musiał uciekać z Rosji i przez kilka lat błąkał się po monarchii habsburskiej. W 1910 r. osiadł w Paryżu i założył warsztat zegarmistrzowski. Po wybuchu pierwszej wojny światowej zgłosił się na ochotnika do Legii Cudzoziemskiej. Wyróżnił się na froncie, gdzie został ciężko ranny. Za wykazane męstwo odznaczono go Krzyżem Wojennym (Croix de Guerre). Po wyleczeniu się i wybuchu rewolucji w Rosji

w 1917 r. wrócił na Ukrainę. W Odessie wstąpił do bolszewickich oddziałów Czerwonej Gwardii. W jej szeregach walczył przeciwko ukraińskiej armii Petlury i Białym Rosjanom gen. Antona Denikina. Na początku 1920 r. powrócił do Francji i zaangażował się w pracę tamtejszego Komitetu Pomocy Ofiarom Pogromów na Ukrainie.

IDEALNY KANDYDAT, IDEALNY MOMENT

Aresztowany za zabójstwo Petlury Szwarcbard od początku konsekwentnie twierdził, że działał zupełnie sam, a jego czyn był aktem romantycznej zemsty za śmierć tysięcy Żydów podczas pogromów, które miały miejsce na Ukrainie w latach 1917–1920. Za pogromy obwiniał Petlurę jako przywódcę państwa ukraińskiego w tym czasie. Utrzymywał, że już od wielu miesięcy wyruszał na spotkanie swojej ofiary ze zdjęciem Pe-

przed amerykańskim Kongresem potwierdził, że Szwarcbard był sowieckim agentem kierowanym przez Wołodina. Prawdopodobnie sam Szwarcbard ogarnięty żądzą zemsty nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę. Wystarczyło go odpowiednio ukierunkować i zachęcić do tego czynu. Był idealnym kandydatem na zamachowca, który odwróci uwagę od prawdziwych mocodawców zabójstwa.

Dla wielu Polaków i Ukraińców nie ulegało wątpliwości, że moment śmierci Petlury nie był przypadkowy. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej w wyniku zamachu majowego do władzy w Polsce powrócił Józef Piłsudski. Wywołało to duży niepokój w Moskwie, która postanowiła wszelkimi siłami skompromitować pamięć sojuszu polsko-ukraińskiego z 1920 r. i nie dopuścić do jego odnowienia.

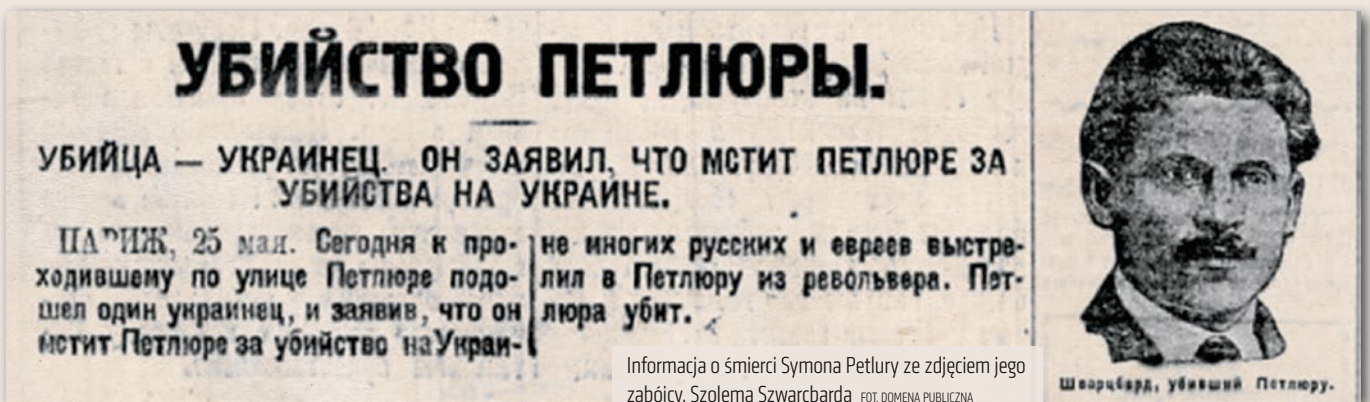
Proces sądowy Szwarcbarda odbył się dopiero w październiku 1927 r. Wcześniej, przez kilkanaście miesięcy,

go obrazu samego Petlury jako przywódcy i symbolu walki o niepodległość. Dostarczano umiejętnie spreparowane materiały lewicowej prasie francuskiej, z organem komunistów „L’Humanité” na czele.

PROCES JAK SPEKTAKL

Kluczową rolę odegrał obrońca Szwarcbarda, znany paryski adwokat Henri Torrès, były dziennikarz i członek Francuskiej Partii Komunistycznej. Torrès utrzymywał bliskie kontakty z sowieckim ambasadorem w Paryżu Christianem Rakowskim, byłym przywódcą marionetkowej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej w latach 1919–1923, a więc bezpośrednim wrogiem petlurowców. Prawdopodobnie wszystkie swoje działania na sali sądowej uzgadniał z Sowietami.

Torrès umiejętnie przekształcił proces w manifestację polityczną. Doprowadził



tlury i browningiem w kieszeni. Wreszcie trafił na ślad atamana, ale ten był zwykle w towarzystwie żony i córki. Dlatego rzekomo odkładał swój zamach.

Historia ta była zmyślona na użytek sędziów przysięgłych. Śledztwo wykazało, że ze Szwarcbardem kontaktował się niejaki Michaił Wołodin, który jako agent sowieckich służb specjalnych (OGPU) penetrował lewicowe środowiska emigracji ukraińskiej we Francji. Poprzez gen. Mykołę Szapowała, będącego w opozycji do Petlury, Wołodin i Szwarcbard dostali się na zjazd ukraińskiej emigracji w Paryżu, gdzie mogli z bliska przyjrzeć się Petlurze. Udało się im także ustalić, że Petlura jada obiady w restauracji Bouillon-Charcier przy ul. Racine’a.

Oficer KGB Piotr Dieriabin, który uciekł na Zachód w 1954 r., zeznając

środowiska żydowskie prowadziły szeroką kampanię propagandową, w której przedstawiano zabójcę jako męczennika kierowanego poczuciem sprawiedliwości i uczuciem zemsty za niewinną krew ofiar pogromów na Ukrainie. We Francji i w innych państwach powstawały komitety obrony Szwarcbarda zbierające materiały mające na celu usprawiedliwić jego czyn, a oskarżyć Petlurę. Zbiórkę taką zorganizowano w różnych krajach, w tym także w Polsce, gdzie na czele komitetu stanął poseł na Sejm Izaak Grünbaum.

Kampanię tę wspierały ambasada sowiecka w Paryżu i sowieckie służby. Władze na Kremlu postanowiły wykorzystać proces Szwarcbarda w celu dyskredytacji ukraińskiego ruchu narodowego oraz wykreowania negatywne-

do zamiany ról: oskarżony stał się oskarżycielem, a ofiara zbrodniarzem. Przedstawił Szwarcbarda jako człowieka sprawiedliwego, a przede wszystkim jako wielkiego francuskiego patriotę, rannego w walce o jej wolność. Udało mu się całkowicie przekonać sędziów przysięgłych, a zwłaszcza francuską opinię publiczną, że Szwarcbard działał sam, a także, że nie jest on pospolitym zabójcą, lecz męczennikiem sprawy żydowskiej. Niewygodne fakty z jego życiorysu, w tym walkę po stronie bolszewików, przemilczano.

Świadkowie obrony przekonywali, że pogromy żydowskie były celowo organizowane przez władze państwa ukraińskiego. Całą winę fałszywie kierowano w ten sposób na Petlurę. Według szacunków historyków w pogromach na terenie rozpada-ającego się imperium rosyjskiego zginęło



co najmniej 50 tys. Żydów. Dokonywali ich żołnierze wszystkich walczących stron: Armii Czerwonej, Białych Rosjan, armii ukraińskiej, a przede wszystkim oddziałów różnych samozwańczych atamanów pod hasłem: „Bić bolszewików i Żydów”. Na Ukrainie panowała w gruncie rzeczy anarchia, a władze państwowe i wojskowe, z Petlurą na czele, nie panowały nad sytuacją w terenie. Dyscyplina w armii Ukraińskiej Republiki Ludowej również stała na niskim poziomie, gdyż wcielono do niej wiele oddziałów powstańczych, które niechętnie podporządkowywały się rozkazom przełożonych.

Kluczowym elementem obrony zamachowca, a zarazem oskarżenia jego ofiary była sprawa pogromu w Płoskirowie, dokonanego 15 lutego 1919 r. przez oddział atamana Iwana Semeseni. Pod pozorem ukarania ludności żydowskiej za sprzyjanie bolszewikom, a nawet przygotowanie antyukraińskiego powstania zamordował ok. 1,2 tys. osób, w tym wiele kobiet i dzieci. W czasie procesu Szwarcbarda powoływano się na świadectwa świadków pogromu, którzy bezpodstawnie twierdzili, że Petlura znajdował się wówczas w pobliżu i wydał rozkaz do pogromu. W rzeczywistości Ataman Główny przebywał wtedy w oddalonym o 100 km Kamieńcu Podolskim. Pogrom w Płoskirowie został surowo potępiony przez władze URL, zaś Semesenko stanął przed sądem polowym i został rozstrzelany.

Osobiście ataman Symon Petlura za pogromy nie odpowiadał, nigdy też nie przejawiał żadnych poglądów i postaw antysemitycznych, wręcz przeciwnie – wśród Żydów miał wielu przyjaciół, wspierał

powstanie autonomii żydowskiej na Ukrainie, wielu przedstawicieli społeczności żydowskiej było w rządzie i tworzonej administracji URL. Petlura podczas walk niepodległościowych wydawał odezwy i rozkazy grożące surowymi karami za dopuszczanie się przez podległe mu oddziały pogromów. W jednym z nich nakazywał „prowokatorów bezzwłocznie rozstrzeliwać, informując o tym ludność” i postępować ze sprawcami pogromów zgodnie z prawem wojennym. Władze URL skazały na karę śmierci ok. 100 uczestników pogromów, jednakże nie były w stanie całkowicie powstrzymać fali rewolucyjnej przemocy.

Dla uwiarygodnienia fałszywych oskarżeń Torrès dopuszczał się kolejnych kłamstw, wbrew faktom przedstawiając Petlurę jako germanofila i sojusznika Niemiec w czasie pierwszej wojny światowej. Występujący w roli autorytetu moralnego prof. Paul Langevin, wiceprezes Ligi Praw Człowieka i Obywatela, stwierdził, że przez Szwarcbarda na rue Racine przemówiło sumienie ludzkości. Publicznie w obronie zabójcy wypowiadali się m.in. Albert Einstein, Marc Chagall, Romain Rolland, Henri Bergson. W obronę dobrego imienia Petlury zaangażował się natomiast Józef Piłsudski, który osobiście wysłał do Paryża Czesława Poznańskiego, Polaka wyznania mojżeszowego, jako wsparcie dla adwokatów reprezentujących rodzinę Petlury.

PODWÓJNE ZABICIE PETLURY

Zeznania świadków oskarżenia wskazujące na powiązania mordercy z Sowietami oraz przedstawiające prawdę o stosunku Petlury do Żydów zostały

zignorowane przez sąd. Po ośmiu dniach procesu ława przysięgłych, niemająca w istocie żadnego pojęcia o tym, co się działo na Ukrainie, wydała wyrok uniewinniający Szwarcbarda. Werdyktowi towarzyszyły okrzyki zgromadzonej tłuszczy: „Niech żyje Francja!”, „Niech żyje sprawiedliwość!”.

Niezwykle trafnie skomentował ten absurdalny wyrok sądu Jerzy Stempowski, pisząc: „Jak bronić przed opinią sędziów i świata takiego czynu? Jak nadać mu jakieś pozory przyzwoitości? Na pytanie to pada ze strony żydowskiej prosta odpowiedź: należy przedstawić zamordowanego jako monstrum ludzkie pławiące się we krwi żydowskiej. Petlura wprowadził nigdy nie uchodził za antysemitę i miał nawet niemało przyjaciół wśród Żydów – nic nie szkodzi, dla dobra sprawy zrobimy go teraz antysemitą i szefem akcji pogromowej”.

Szwarcbard stał się bohaterem dla większości Żydów. Zmarł w 1938 r. w Kapsztadzie. Po powstaniu państwa Izrael jego prochy przeniesiono do tego kraju. Został patronem kilku ulic. Kłamstwo szeroko rozpowszechnione przez media, przy wsparciu sowieckich służb, jest nadal żywe. Czarna legenda Petlury jako antysemity i inspiratora pogromów jest wciąż podtrzymywana w zachodnich i izraelskich publikacjach. Gdy w październiku 2017 r. w Winnicy odsłonięto pomnik Petlury, który stanął w dawnej żydowskiej dzielnicy tego miasta, zaprotestowali Żydzi z całego świata. Sytuację tę skwapliwie wykorzystał także Kreml do kolejnych ataków na „ukraińskich fałszywów”. Głos zabrał sam Władimir Putin, stwierdzając: „Petlura był człowiekiem o nazistowskich poglądach, antysemitą, który mordował Żydów w czasie wojny”.

Majstersztyk sowieckich służb polegający na podwójnym zabiciu Petlury (jako człowieka i jako symbolu walki o niepodległość) mógł być wzorcem do naśladowania dla podobnych operacji kształtujących fałszywy obraz historii, również w odniesieniu do Polski. Kiedy na początku lat 60. pojawiły się pierwsze oskarżenia Polaków o współudział w Holokauście, Jerzy Stempowski w liście do Jerzego Giedroycia pisał: „Żydzi czepiają się nas mniej więcej tak, jak w 1926–1927 r. czepiali się Petlury i Ukraińców, w poszukiwaniu łatwych zwycięstw”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest doktorem habilitowanym, historykiem, pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej, profesorem UMCS.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Prawda ekranu...

Oglądanie filmu w towarzystwie historyka może okazać się istnym koszmarem – w ten sposób rozpoczyna swoją książkę Jakub Ostromięcki. Jest to bez wątpienia spostrzeżenie słuszne. Jak bowiem mawiał klasyk: jest prawda czasu i prawda ekranu. Twórcy filmów, szczególnie hollywoodzkich, naginają więc często historyczną rzeczywistość. Ważniejsza dla nich jest ekranowa dramaturgia niż zgodność z faktami.

W „Skreconej historii” Jakub Ostromięcki poddaje wnikliwej wiwiesce 20 popularnych filmów historycznych. Wielkie amerykańskie hity, takie jak „Gladiator”, „Tańczący z wilkami”, „Szerokowiec Ryan” czy „Pluton”. Ale również największe polskie superprodukcje ostatnich lat – „1920 Bitwa Warszawska”, „Katyń” czy „Miasto 44”.

Celem książki jest pokazanie, w których fragmentach filmy te były zgodne z prawdą historyczną, a w których twórców poniosła wyobraźnia. Chyba nie zdradzę zbyt wiele, gdy napiszę, że najczęściej występowało to drugie zjawisko.

Jednym z najbardziej zjechanych przez Ostromięckiego filmów jest „Braveheart”.

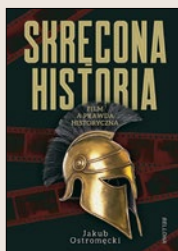
Waleczne serce” Mela Gibsona, nagrodzony pięcioma Oscarami hit z 1995 r. Jest to oczywiście spektakularne historyczne widowisko, które ogląda się z przyjemnością, ale historyka średniowiecza przyprawia o ból brzucha.

W filmie tym bowiem niemal nic się nie zgadza! Kostiumy i reprodukcje zbroi zostały zrobione dyktando. Szkoci w okresie, w którym rozgrywa się akcja, nie malowali twarzy na niebiesko. Bitwy przedstawione przez Gibsona przebiegały w zupełnie inny sposób. Postacie historyczne miały zupełnie inne charaktery i dokonywały zupełnie innych czynów.

Gibson zdecydował się na klasyczne hollywoodzkie uproszczenie – Szkotów przedstawił jako aniołów, Anglików jako diabły. Good guys i bad guys. Jak w starym westernie. Rzeczywistość – delikatnie pisząc – była znacznie bardziej skomplikowana.

Przykład pierwszy z brzegu: grany przez amerykańskiego gwiazdora William Wallace wcale nie był takim krystalicznie czystym bohaterem.

Znany świetnie czytelnikom „Historii Do Rzeczy” Jakub Ostromięcki napisał kapitalną książkę. Trzymając się branżowej terminologii – czeka mi na sequel. ©©



★★★★★
JAKUB
OSTROMIĘCKI
„SKRECONA
HISTORIA”
BELLONA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Boże Ciało za Jagiellonów

Od początku reformacji obchody tego święta były zajadłe zwalczane przez teologów protestanckich. Marcin Luter nazwał je nawet „najbardziej szkodliwym świętem całego roku”, a protestanci różnych wyznań zgodnie zaprzeczali istnieniu ciała i krwi Chrystusa w Eucharystii. Sytuacja stała się tak napięta, że w miastach polskich, gdzie protestanci stanowili większość, w ogóle zakazano procesji Bożego Ciała. Zdarzało się także, że procesje odbywały się na ściśle wyznaczonym obszarze, a w Toruniu – na cmentarzu!

Władze kościelne dokładały wielkich starań, by uroczyszcze świętować w miastach, gdzie katolicy stanowili większość. Zgodnie z uchwałami soboru trydenckiego publicznie obnoszono Eucharystię, by prawda zatriumfowała nad herezją i przekonała heretyków do powrotu do Kościoła.

Odbywało się to jednak z dużymi problemami, a protestanci bywali również fanatyczni jak katolicy. Czasami ich zachowanie nie miało nic wspólnego z wewnętrzną tolerancją religijną, z której przez lata słynęła Rzeczpospolita Obojga Narodów. Podczas obchodów Bożego Ciała w Lublinie w czerwcu 1564 r. kalwin Erazm Otwinowski napadł kapłana prowadzącego procesję, wyrwał mu monstancję i podeptał po zrzuceniu jej na ziemię. Przy okazji wykrzyczał do księdza, że

„Bóg jest w niebie, a więc nie ma go w chlebie, nie ma w twojej puszcze”. Następnie zbiegł przed rozwścieczonymi uczestnikami procesji i schronił się w domu współwyznawcy, Piotra Suchodolskiego. Niebawem pojawił się tam podstarość lubelski (stryj gospodarza) i zażądał wydania sprawcy profanacji, lecz Suchodolski odmówił. Jako szlachcic miał do tego prawo, gdyż nie zapadł prawomocny wyrok sądowy.

Sprawa wywołała ogromne wzburzenie i Otwinowski stanął przed sądem. W jego obronę zaangażował się Mikołaj Rej (także kalwin), który dowodził, że jeżeli sprawca skrzywdził Boga i księdza, to Stwórca sam pomści znieprawę, a kapłanowi wystarczy, jeżeli dostanie „za hostię szeląg, aby sobie kupił nowe szkło i tę odrobinę maki”. Otwinowski nie poniósł żadnych konsekwencji, gdyż panujący wówczas Zygmunt August był daleki od fanatyzmu religijnego. Podobnie było za panowania Stefana Batorego, gdy inny wyznawca kalwinizmu, szlachcic Marcin Kreza, podeptał publicznie Eucharystię, a potem rzucił ją psom na pożarcie. Król osobiście mu zagroził, że jeżeli ponownie postąpi w taki sposób, to on będzie musiał interweniować. Po czym odstąpił od wytoczenia procesu świętokradcy, gdyż mimo że był gorliwym katolikiem, w końcu panował nad wielowyznaniową Rzeczpospolitą. ©©



Z Krzysztofem Potaczałą, dziennikarzem, autorem książek

rozmawia

Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Śmierć gen. Karola Świerczewskiego wciąż pozostaje zagadką?

KRZYSZTOF POTACZAŁA: Większość historyków skłania się ku tezie, że była przypadkowa. Zginął wprawdzie z rąk UPA, lecz banderowcy zrazu nie wiedzieli, kogo zabili. U progu wiosny 1947 r. znajdowali się już w opłakanym stanie zdrowotnym i aprowizacyjnym. Zasadzali się na transporty kursujące wówczas na trasie Lesko, Baligród, Cisna. Liczyli, że zdobędą pożywienie, odzież, farmaceutyki, środki opatrunkowe, może też broń i amunicję. Z dokumentacji wynika, że Świerczewski – jadący wraz ze świtą na inspekcję do Cisnej – wpadł w zasadzkę przypadkowo. Po krótkiej wymianie ognia napastnicy cofali się w góry i dopiero po dwóch dniach dotarła do nich wiadomość, kto w tej strzelaninie zginął. Istnieją dwa raporty dotyczące zdarzenia: wojskowy i ubecki. Różnią się nieco od siebie. Być może przyczyniły się do tego, że tamtemu zdarzeniu do dziś towarzyszą liczne spekulacje, także o śladzie polskim lub sowieckim.

Sekret zgonu przełożonego zabrał do grobu płk Jan Gerhard?

Kto wie? Jego tragiczna śmierć w 1971 r. wywołała takie sugestie, chociaż formalnie został zamordowany na tle rabunkowym. Towarzyszył w podkarpackiej inspekcji Świerczewskiemu, był w miejscu zasadzki UPA pod Jabłonkami, został w niej ranny. Do końca życia zgłębiał wydarzenia z 28 marca 1947 r. Badał, czy doszło do przecieku informacyjnego, w którego następstwie banderowcy być może zyskali wiedzę, że ktoś ważny przybył w Bieszczady, ale również sam był o taki przeciek podejrzewany. Rozpatrywał też zapewne pogłoskę głoszącą, że Świerczewski padł ofiarą walk frakcyjnych. Rykoszetowały one również w Gerharda – na początku lat 50. spędził kilka lat w więzieniu. Był to czas, kiedy po likwidacji wrogów zewnętrznych zaczęto ich szukać we własnych, komunistycznych szeregach.

Gerhard (de facto Wiktor Bardach) miał za sobą pobyt we Francji, więc na zakamufLOWanego agenta imperializmu

FOT. JEZ. BARANOWSKI/PAP

Bożyszcze PRL

chyba się nadawał. Polityczna odwilż połowy lat 50. sprawiła, że odzyskał wolność i – wkrótce – pozycję, czego najlepszym dowodem jego powieść „Łuny w Bieszczadach”. Doczekała się kilku wydań i egzemplarzy liczonych w setkach tysięcy, a także ekranizacji – w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich – pt. „Ogniomistrz Kaleń” z Wiesławem Gołasem w roli tytułowej.

Świerczewski stał się sztandarowym tematem dla PRL-owskich twórców?

Najlepszym dowodem jest hagiografia pióra Janiny Broniewskiej „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”, trafiła nawet na listę lektur szkolnych. Natomiast portret filmowy pt. „Żołnierz zwycięstwa” w reżyserii Wandy Jakubowskiej zawiódł oczekiwania władzy, o publiczności nie wspominając. Obie pozycje są dziś zapomniane. Podobnie jak wiersze opiewające czyn gen. „Waltera”.

Homo sovieticus stał się, wspierając bolszewików w wojnie z Polską?

Myślę, że wcześniej. Był niewykształconym nastolatkiem, gdy w roku 1914 został wraz z matką (ojciec już nie żył) i rodzeństwem ewakuowany przez

władze carskie w głąb Rosji. I tam, pod wpływem rewolucji, wykrystalizowały się jego zapatrywania. Do Armii Czerwonej wstąpił na ochotnika. Polskość wracała doń jedynie chwilami. Myślał i postępował jak człowiek sowiecki, chociaż języka polskiego nie zapomniał i dobrze się nim posługiwał. Bywało, że z sentymentem wspominał Warszawę.

W Hiszpanii zasłynął eksterminacją duchowieństwa?

Dokumenty i relacje wskazują, że wydawał wyroki śmierci na duchownych, po czym je egzekwował. Z pewnością nie był szlachetnym i brawurowym gen. Goltzem, jak odmalował go na kartach powieści „Komu bije dzwon” Ernest Hemingway.

Mówiąc nawiasem – wieloletni agent sowiecki, co odkryto dopiero stosunkowo niedawno.

Wiedza pisarza o Świerczewskim była raczej zdawkowa. Rozmawiali parokrotnie. Zapewne spotkanie uczcili winem lub wódką. Trudno dociec, czym zauroczył Hemingwaya, że ten uwiecznił go piórem, obsadzając w fałszywej roli. Dzielnego dowódcy, a zarazem surowego, acz troskliwego opiekuna młodych żołnierzy, połączonego z nimi relacjami niemalże ojcowskimi.

Bohater pańskiej książki był pijakiem?

Trunków nadużywał. Także w warunkach frontowych. Potwierdza to wiele przekazów. Wygląda na to, że z roku na roku coraz bardziej trawiła go choroba alkoholowa. Brakuje informacji, czy uśiłowal się z niej wydobyć. Natomiast istnieje niejedna relacja, że pod koniec życia często funkcjonował na rauszu, także w czasie bieszczadzkiej podróży.

Szastał życiem podkomendnych?

Historycy wojskowości nie mają co do tego wątpliwości. Dowodząc 2. Armią Wojska Polskiego na Łużycach wielokrotnie dał dowody swej niekompetencji. Lekceważenie wroga połączone z brakiem koordynacji działań poszczególnych jednostek spowodowały, że w ostatnich tygodniach wojny polska formacja straciła jedną piątą stanu osobowego! Nie przeszkodziło to jednak dowódcy w awansie i odbiorze kolejnych orderów.

Bo najłatwiej je przypinać, gdy jest wielka kłapa! Panie traktował instrumentalnie?

Bez wątpienia był kobieciarzem. Legalną małżonkę, Rosjanke, z którą doczekał się córek, pozostawił w Związku Sowieckim. Jak wieść niesie, zamierzał się z nią rozwieść, gdy podczas wojny w Hiszpanii poznał lokalną piękność imieniem Isabela. Zakończenie tej kampanii i odwołanie do Moskwy położyło owemu romansowi kres. A kiedy w trakcie drugiej wojny światowej odkomenderowano go do wojska polskiego, tworzonego w ZSRS pod egidą Kremla, adorował fizylierki.

Jedna z nich, Władysława Piechocka, później wieloletnia dziennikarka „Expressu Wieczornego”, powiła mu nawet upragnionego syna.

Świerczewski był człowiekiem z krwi i kości. Pełnym słałości i luk w życiorysie. Niemniej jego biografia nie stanowiła głównego obszaru mego zainteresowania. Zdecydowanie bardziej ciekawiła mnie legenda kreowana przez komunistyczną propagandę po jego śmierci.

Właśnie. Dlaczego komuniści akurat jego namasili na ikonę PRL?

Każda władza potrzebuje bohatera. Mundurowi cenieni są w szczególności. Świerczewski nadawał się doskonale, ponieważ był doświadczonym żołnierzem – przelewał krew, co prawda cudzą głównie, na licznych frontach, uosabiał polsko-sowieckie braterstwo broni i zginął od kul, jak pisano, ukraińskich faszystów.

Bożyszczem został natychmiast po śmierci, zaś jego mit podtrzymywano do końca PRL. Z czasem zaczęto eksponować jego zasługi w rozbiciu UPA i bohaterską śmierć w obronie ludności polskiej Bieszczadów, choć – gwołi ścisłości – wybrał się tam po raz pierwszy i ostatni. Przypominał nieskazitelnego herosa. Patronował fabrykom, szkołom, uczelniom, ulicom, placom. Inspirował. Stał się – dosłownie – postacią pomnikową.

Najbardziej spektakularny pomnik odsłonięto w Jabłonkach.

Były tam nawet dwa. Rok po śmierci stanął skromny postument, do którego jeszcze tak masowo nie peregrynowano, a to z racji wyłącznie logistycznych – komunikację wydatnie utrudniał niedobór dróg. Ten drugi zbudowano w roku 1962. Przyciągał z powodu lokalizacji. Położony był w miejscu na poły tajemniczym, niemal dzikim – wszak tak w latach Polski Ludowej postrzegano Bieszczady. Odwiedzano go przy okazji delegacji, wędrowek, urlopów. Figurował na szlaku turystycznym. Ale oczywiście „pielgrzymowały” doń także delegacje szkół i zakładów pracy, którym Świerczewski patronował. Pod pomnikiem odbywały się również przysięgi: wojskowe, milicyjne, ormowskie, OHP, harcurskie – i to bynajmniej nie walterowców! Mało tego, zabierano stąd do słoików czy skrzynek ziemię, a potem sadzono w niej kwiaty i ustawiano pod portretami generała wiszącymi w miejscach, którym patronował!

Jego pamięć pielęgnowano rozmaicie.

Odbýwały się akademie rocznicowe. Dwukrotnie zaproszono na nie córki generała, lecz otaczał je szczerly kordon – nie były dostępne nawet dla dziennikarzy. Organizowano poświęcone „Walterowi” rajdy: piesze, rowerowe, motorowe, samochodowe. A także zawody pod szyldem Ligi Obrony Kraju, w których rywalizowano między innymi w konkurencji... rzut granatem (sic!). Kolejne roczniki uczniów szkół im. gen. Świerczewskiego na zajęciach praktyczno-technicznych wykonywały jego konterfekty. Z plasteliny, modeliny, kolorowego papieru. Przy użyciu kredek, farb, węgla...

A gdy zdarzała się wizytacja, miały miejsce pokazówki. Gromadzono w klasach prymusów deklamujących przybyłym



KRZYSZTOF POTACZAŁA
„ŚWIERCZEWSKI.
ŚMIERĆ I KULT
BOŻYSZCZA
KOMUNIZMU”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2021

życiorys patrona placówki ze szczególnym uwzględnieniem jego śmierci z bronią w ręku.

Dom wypoczynkowy planowany w miejscu zgonu Świerczewskiego nigdy nie powstał?

Pod koniec lat 50. rozpoczęto akcję pod hasłem: zbieramy fundusze na dom wypoczynkowy im. gen. Karola Świerczewskiego. Powołano specjalny komitet honorowy. Składki napływały od przedsiębiorstw, instytucji i osób indywidualnych. Listy donatorów zamieszczała prasa regionalna.

I nagle – w roku 1960 – nad inicjatywą zaległo milczenie. Nie udało mi się dociec, co się stało z zebraną, dosyć pokaźną już, kwotą. Czyżby ów sekret zabrał do grobu tow. Władysław Kruczek, ówczesny pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Rzeszowie patronujący zbiorce?

Co po bohaterze pańskiej książki pozostało?

Niewiele. Na pewno pamięć jego wiernych wyznawców. Do 2018 r. w Jabłonkach stał jeszcze pomnik, pod którym wciąż zatrzymywali się turyści. Nie wyglądał już tak dobrze jak niegdyś, bo od lat 90. zaczął niszczyć. Co prawda każdego roku 28 marca śródowniska lewicowe składały pod nim wiązanki kwiatów i zapalały znicze, ale chyba i one robiły to z coraz mniejszym przekonaniem. Aż w końcu przed trzema lata obelisk rozebrano na mocy ustawy dekomunizacyjnej. Podobny los spotkał wcześniej popiersia i pomniki w Przemyśle, Poznaniu i Warszawie, gdzie odebrano mu też centralną arterię (na rzecz Solidarności). W miejscu śmierci generała wciąż jednak tkwi symboliczny kamień. Tylko inskrypcję na nim zatarły deszcz i wiatr.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Potaczała

– dziennikarz, pisarz, autor tryptyku „Bieszczady w PRL-u” oraz książek: „To nie jest miejsce do życia. Stalinowskie wysiedlenia znad Bugu i z Bieszczadów”, „Zostały tylko kamienie. Akcja »Wisła«: wygnania i powroty” i najnowszej – „Świerczewski. Śmierć i kult bożyszcza komunizmu”. Mieszka w Ustrzykach Dolnych.

Oświadczenie amerykańskiego prezydenta uznające ludobójstwo Ormian w 106. rocznicę tej zbrodni nie było zaskoczeniem. W październiku 2019 r. niemal jednoznacznie zrobiła to Izba Reprezentantów, a w grudniu podobna uchwała przeszła bez sprzeciwu w amerykańskim Senacie. Ankara mogła już liczyć tylko na Trumpa, który jednak wkrótce potem przegrał wybory. Nowy prezydent Joe Biden już w kampanii krytykował reżim Erdoğan, a także brak amerykańskiego wsparcia dla Armenii w wojnie w Górskim Karabachu.

Turcja zawsze bardzo nerwowo reagowała na określanie wymordowania 1,5 mln ormiańskich cywilów mianem ludobójstwa. Wynika to zarówno z wciąż silnego w Turcji nacjonalizmu, utrzymującej się niechęci do Ormian, jak i obawy przed roszczeniami majątkowymi. Ludobójstwo jest bowiem terminem prawnym, a wydarzeniom sprzed ponad stu lat towarzyszyła bezprecedensowa wówczas grabież majątków. Rafał Lemkin, tworząc pojęcie ludobójstwa, inspirował się właśnie zbrodnią popełnioną przez Turków na Ormianach, a Niemcy, którzy jako sojusznik Ottomanów w pierwszej wojnie światowej byli świadkami mordów, wzorowali się na nich, dokonując Holokaustu, co potwierdził sam Adolf Hitler.

Uznanie ludobójstwa przez Bidena zostało entuzjastycznie przyjęte przez Ormian, co może wzmocnić opcję proachodnią przed wyborami parlamentarnymi w tym kraju. To cios w interesy Rosji, która stara się zdyskontować bezczynność Zachodu w czasie ostatniej wojny między Azerbejdżanem i Armenią. Jednak amerykański prezydent dobrał słowa w sposób bardzo ostrożny, nie wspominając w swym oświadczeniu w kontekście odpowiedzialności o Turcji, lecz o imperium osmańskim. To, że dzisiejsza Turcja sama nawiązuje do tego haniebnego dziedzictwa, a Erdoğan odwoływał się niedawno do głównego zbrodniarza Envera Paszy jako wybitnego przywódcy Turcji, to już jest problem tego kraju, jak postrzega swoją historię i dziedzictwo. USA dały Turcji szansę odcięcia się od nich.

Oświadczenie Bidena nie było zaskoczeniem również dla Erdoğan, gdyż prezydent USA zadzwonił do niego dzień wcześniej. Turecki przywódca wyczekiwał na ten telefon przez trzy miesiące, jednakże w takich okolicznościach nie mógł być z niego zadowolony. Rozmowa była zresztą bardzo krótka, co potwier-



Spadająca popularność prezydenta Erdoğan wynika z pogarszającej się sytuacji ekonomicznej Turcji FOT. TURKISH PRESIDENCY/AP/EAST NEWS



Witold Repetowicz

Uznanie przez Joe Bidena ludobójstwa Ormian mogłoby wstrząsnąć relacjami turecko-amerykańskimi, gdyby nie to, że są one już i tak w fatalnym stanie. Ponadto Turcja nie ma jak odpowiedzieć, a jej sytuacja wewnętrzna jest dramatyczna. Propaganda sukcesu powoduje jednak, że nawet w Polsce niektórzy wciąż widzą w niej wzorzec i sojusznika

Turcja w narożniku

dza zaledwie kilkudzaniowa relacja z niej. Biden zadzwonił do Erdoğan wyłącznie po to, by uprzedzić go o swym zamiarze uznania ludobójstwa Ormian, a nie by omawiać problemy międzynarodowe z kluczowym sojusznikiem, za którego Turcja wciąż chce się uważać.

Znamienne, że o ile w tureckim Internecie i mediach zawrzało, o tyle sam

Erdoğan czekał aż dwa dni, by zareagować. Ograniczył się przy tym do wezwania Bidena do wycofania się z tego oświadczenia (co oczywiście nie nastąpi) oraz dość komicznych aluzji do mordowania Indian przez kolonizatorów Ameryki. Wcześniej władze Turcji sugerowały też, że oświadczenie Bidena blokuje drogę do normalizacji stosunków turecko-armeńskich, co jest

dość kuriozalne, gdyż Turcja nie wykonała ostatnio żadnego kroku w tym kierunku, a po wojnie w Górskim Karabachu i peanach Erdoğan na cześć Envera Paszy nie jest to możliwe bez amerykańskiej mediacji.

ZIMNY PRYSZNIC

Względna wstrzemięźliwość Erdoğan i jego ekipy wynika z tego, że Turcja nie ma już żadnych asów w rękawie poza „opcją nuklearną” (obejmującą np. zakłnicie bazy w Incirlik), która jednak byłaby dla niej samobójcza. Spotkałoby się to bowiem z ostrymi sankcjami Waszyngtonu, zastosowanymi w czasie, gdy kraj ten znajduje się w krytycznej sytuacji wewnętrznej. Być może Erdoğan odrobił też lekcję z ub.r., gdy jego ludzie próbowali najpierw lobbować w otoczeniu Bidena, by następnie obrzucić go niewybrednymi inwektywami, gdy ujawniono krytyczne wypowiedzi przyszłego prezydenta na temat reżimu Erdoğan. Po wyborach rządowe media tureckie uderżyły w tony pojednawcze, sugerując reset w relacjach turecko-amerykańskich, który jednak miałby nastąpić za cenę kolejnych ustępstw USA. W odpowiedzi Turcję czekał zimny prysznic.

Cierpliwość USA wobec ekscesów Ankary dawno się wyczerpała, a wiara Turcji w to, że jest bezcennym sojusznikiem Ameryki, nie jest bynajmniej podzielana ani przez amerykańskie think tanki, ani przez kongresmenów, a obecnie również przez administrację prezydencką z Bidenem na czele. Nie oznacza to oczywiście, że USA nie są zainteresowane poprawą relacji z Turcją. Tyle że warunkiem jest to, iż Turcja zmieni swoje zachowanie. Lista pretensji USA jest dość długa, a na jej czele jest ciągłe flirtowanie Turcji z Rosją i przede wszystkim zakup rosyjskiego systemu obrony przeciwlotniczej S-400. Amerykanie postawili sprawę jasno: Turcja musi się z tego wycofać, gdyż S-400 stanowi zagrożenie dla systemów NATO, a w szczególności może wykraść tajemnice dotyczące samolotów F-35. Ponadto sankcje nałożone w konsekwencji na Turcję są obligatoryjne, więc nie ma mowy o ich zniesieniu, a tym bardziej powrocie Turcji do programu F-35. Możliwe jest tylko ich zaostrezenie, jeśli Ankara trwać będzie w swym uporze.

Podobnie USA nie zamierzają dłużej tolerować polityki Turcji wobec syryjskich Kurdów, którzy są kluczowym sojusznikiem Ameryki w wojnie z wciąż realnym zagrożeniem ze strony Państwa Islamskie-

Polityka, jaką od lat prowadzi Erdoğan, uderza w spójność NATO i generuje problemy, takie jak napływ migrantów

go. Kolejną kwestią jest spór o złoża gazu we wschodniej części Morza Śródziemnego poprzez rozgraniczanie wyłącznych stref ekonomicznych (WSE). Amerykanie zdecydowanie wspierają tu Grecję i Cypr, co nie jest zaskakujące, zważywszy na to, że firma Exxon zaangażowana jest tam w eksplorację. Tymczasem Turcja przez cały 2020 r. dokonywała prowokacji, kwestionując powszechnie uznane granice WSE i grożąc użyciem siły. To zresztą pokazało też zakres izolacji Turcji, gdyż po stronie Cypru i Grecji stanęły UE (która jednak wciąż daje sobie pomiatać tureckiemu liderowi), państwa arabskie i Izrael. Po tym, jak Turcja zobaczyła, że USA nie zamierzają dłużej tolerować jej ekscesów, na gwałt zaczęła próbować naprawiać swoje relacje z Arabią Saudyjską, Egiptem, ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i z Izraelem, niemniej kraje te również dały do zrozumienia, że poprawa stosunków może nastąpić tylko na ich zasadach. Gdy turecka prasa rozpisywała się na temat tego, że to w interesie Arabów jest stanięcie po stronie Turcji, a nie Grecji, ci zacieśnili swoją współpracę wojskową z Grecją i zorganizowali wspólne manewry morskie.

To nie koniec listy problemów na linii USA-Turcja. Zanim na biurku Erdoğan zadzwonił w końcu telefon od Bidena, Departament Stanu zdążył już kilkakrotnie potępić Turcję za naruszanie praw człowieka i zasad demokracji. Turcja od kilku lat jest państwem, w którym za kratkami przebywa najwięcej dziennikarzy. Do więzienia trafiły też dziesiątki opozycyjnych polityków pozbawionych w ten sposób mandatów uzyskanych w wyborach. Cele wypełniają także dziesiątki tysięcy innych więźniów politycznych. Tymczasem Biden już w kampanii podkreślał, że chce budować obóz państw demokratycznych, w którym dla takiej Turcji nie ma miejsca. Tyle że tu Erdoğan stał się zakładnikiem skrajnych tureckich nacjonalistów, którzy swoje poparcie warunkują od jeszcze większego zaostreżenia kursu. Poparcie dla prezydenta bowiem systematycznie spada. Gdyby dziś odbyły się wybory, to według

średniej sondażowej z marca Erdoğan przegrałby drugą turę stosunkiem 53 proc. do 47 proc. Jeszcze gorzej wyglądają notowania jego partii AKP.

Spadająca popularność Erdoğan wynika z pogarszającej się sytuacji ekonomicznej Turcji. Podczas gdy Erdoğan stara się prowadzić mocarstwową politykę zagraniczną, a w kraju forsować kolejne mega-projekty, takie jak np. przekopanie Kanału Stambulskiego (koszt ok. 13 mld dol.), większość Turków zarabia nie więcej niż 450–500 dol. Ponadto niedawno turecki urząd statystyczny przyznał, że wcześniej publikowane dane na temat bezrobocia były zaniżone i realnie wynosi ono ponad 30 proc., a jeden z najwyższych na świecie wskaźników zakażeń koronawirusem powoduje, że wpływy z turystyki stoją pod znakiem zapytania. Rosjanie, którzy stanowią od kilku lat największą grupę narodową turystów w Turcji, zawiesili loty do tego kraju i przerwali się na Egipt. Ponadto w ciągu niespełna dwóch lat w wyniku błędnej polityki pieniężnej kurs dolara poszybował z 5,5 liry do 8,3 liry, i to mimo zmarnowania 128 mld dol. rezerw walutowych i w sytuacji, gdzie deficyt handlu zagranicznego w 2020 r. wyniósł 50 mld dol. Obecnie formalnie rezerwy walutowe Turcji spadły do 10 mld dol., jednak w rzeczywistości są ujemne z uwagi na kilkadziesiąt miliardów dolarów zadłużenia wynikającego z transakcji swap. Sytuacji nie poprawiają liczne afery, jak np. sprawa Faruka Fatiha Oзера, który oszukał 391 tys. Turków na handlu kryptowalutami – wyłudził od nich 2 mld dol. i uciekł do Albanii. Wkrótce potem ukazały się jego zdjęcia w towarzystwie ministra spraw wewnętrznych Turcji Süleymana Soylu oraz szefa dyplomacji Mevlüta Çavuşoğlu.

ZAGROŻENIE DLA EUROPY

Samo pogorszenie relacji turecko-amerykańskich nie ma większego znaczenia dla Polski. Problemem jest natomiast polityka, jaką od lat prowadzi Erdoğan, gdyż uderza ona w spójność NATO i generuje problemy, takie jak wzrost zagrożenia dżihadystycznego w Europie czy napływ migrantów. Choć nie dotyczy to bezpośrednio Polski, to tak naprawdę służy interesom Rosji, gdyż prowadzi do osłabienia Europy i większej podatności na działania Kremla. Zdumiewające jest przy tym to, że w Polsce wciąż silny jest nurt widzący w Turcji sojusznika przeciwko Rosji, a także samodzielną potęgę, na której można się wzorować. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Karol III i jego nowe czasy

Że są to różne sprawy, pokazuje przykład jego matki. Gdy na początku 1952 r. wyjechała w oficjalną podróż do Kenii, Australii i Nowej Zelandii, była tylko księżniczką, następczynią tronu. Wróciła jako królowa Elżbieta II. A koronowana została prawie półtora roku później, 2 czerwca 1953 r.

Podeszły wiek królowej, która w kwietniu skończyła 95 lat, w połączeniu z przeżyciami związanymi ze śmiercią księcia Filipa sprawiły, że sprawa sukcesji nabrała aktualności. Przez ostatnie lata wszelkie okrągłe rocznice – urodziny królowej bądź księcia Karola – były okazją do spekulacji, czy Elżbieta abdykuje i przekazuje synowi tron. Nie zrobiła tego. Dlaczego? W myśl rozpowszechnionej opinii królowa kieruje się powinnością i poczuciem służby dla kraju, a ustąpienie z tronu oznaczałoby sprzeniewierzenie się zasadom. Królowa zamierza więc wytrwać do końca.

KSIĄŻĘ NADAL BEZ PRACY

Dzisiaj o abdykacji już się nie mówi, choć zbliża się dzień oficjalnych urodzin brytyjskich monarchów, które obchodzone są w drugą sobotę czerwca (od 1748 r., za sprawą króla Jerzego II, który przyszedł na świat w październiku i uważał, że zimny i deszczowy miesiąc to nie jest dobra pora na obchody publiczne). Choć oczywiście niczego nie można na sto procent wykluczać, zwłaszcza po odejściu księcia Filipa – „siły i podpory królowej”, jak sama o nim mówiła.

W przyszłym roku królowa będzie obchodzić 70-lecie rządów – jubileusz, jakiego nie miał żaden z władców Wielkiej Brytanii. Książę Karol za to już pobił inny rekord: nie było następcy tronu, który czekałby na swą kolej tak długo jak on. „Osiągnąłem wiek emerytalny, a jeszcze nawet nie zacząłem pracować” – jak kiedyś nie bez ironii zauważył (sarkastyczne poczucie humoru odziedziczył z pewnością po ojcu). W listopadzie kończy 73 lata. Żaden z brytyjskich władców nie obejmował tronu w tak zaawansowanym wieku. Dotychczasowy rekordzista Wilhelm IV, stryj królowej Wiktorii, miał tylko 64 lata.

Dla ogromnej większości Brytyjczyków panowanie Elżbiety to całe ich życie. Tylko najstarsi pamiętają czasy jej ojca Jerzego VI czy dziadka Jerzego V. Szacunek, sympatię czy wręcz miłość do królowej deklaruje ponad 70 proc. mieszkańców Anglii, Szkocji i Walii. Poparcie przekłada się w jakiejś mierze na stosunek do monarchii, bo ponad 60 proc. Brytyjczyków,

FOT. POOL/REUTERS/REUMA



Teresa Stylińska

Następnym królem Wielkiej Brytanii będzie Karol III – chyba że obejmując tron, wybierze inne imię, idąc w ślady swego dziadka, Jerzego VI, któremu na chrzcie nadano imię Albert

Cóż z tego, że Karol, książę Walii, jest przez przyszłych poddanych mniej lubiany niż jego starszy syn William, następny w kolejce? Zasady sukcesji są jasne i nieubłagane: królem zostaje najstarszy syn władcy,

a następuje to dokładnie z chwilą, gdy odchodzący monarcha zamknie oczy. Od razu – nie wtedy, gdy smutna wiadomość zostanie obwieszczona narodowi, nie mówiąc już o czekaniu do uroczystości koronacji.

według badań instytutu YouGov z grudnia 2020 r., jest za jej utrzymaniem. Monarchii nie zaszkodziły ani skandal wokół księcia Andrzeja, młodszego syna królowej, skompromitowanego m.in. kontaktami z Jeffreyem Epsteinem, amerykańskim organizatorem seksimprez z nieletnimi, ani odejście lubianego niegdyś bardzo księcia Harry'ego. To Andrzej i Harry stracili.

Poddani doceniają zatem sposób, w jaki Elżbieta „panuje, choć nie rządzi”, zgodnie z kardynalną zasadą monarchii konstytucyjnej. Królowa zachowuje bowiem rygorystyczną bezstronność, jest ponad podziałami, nie wdaje się w spory polityczne i nigdy nie ujawnia swych sympatii ani poglądów. Czy można się domyślać, jakie one są? W obowiązki królowej wpisane są wprawdzie stałe spotkania z premierami, ale o ich przebiegu opinia publiczna się nie dowiaduje.

Umiejętność poruszania się po najbardziej delikatnym gruncie dobrze ilustruje wypowiedź Elżbiety sprzed referendum w sprawie niepodległości Szkocji. Przed głosowaniem nie wzywała Szkotów, by nie zrywali z Wielką Brytanią. Prosiła tylko, by wszyscy mieli na względzie przyszłość kraju.

AKTYWISTA, NIE PLAYBOY

Dzięki respektowaniu zasad monarchia może spełniać jedną z najważniejszych swych funkcji – zwornika Zjednoczonego Królestwa: Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii Północnej. Czy Karol również będzie to potrafił? Czy będzie umiał unikać kontrowersji i nie wdawać się w działania o charakterze czy choćby podtekście politycznym? To jedno z ważniejszych pytań o przyszłość.

Karol zapewnia, że tak. Ale jego dotychczasowe poczynania każą postawić delikatny znak zapytania. Następca tronu nie tylko zawsze miał wyraziste poglądy, lecz także w dodatku w swoim czasie specjalnie się z nimi nie krył. Chodzi przede wszystkim o sprawy szeroko pojmowanej ekologii, które bardzo mu leżą na sercu. Już wiele lat temu, u progu lat 70., gdy o rybach mówiono tylko w kontekście brytyjsko-islandzkiej wojny dorszowej, Karol postulował wzięcie pod ochronę łososa atlantyckiego. Krytykował także stosowanie GMO. Co się stanie – pada teraz pytanie – jeśli jako król będzie musiał podpisać ustawę dopuszczającą rozwiązania, którym był przeciwny?

Zaangażowanie Karola, zdaniem jego przeciwników, mogło nawet wprost naruszać zasady obowiązujące rodzinę królew-

ską. Chodzi o tzw. spider memos („memoranda pająka” – nazwa od charakteru pisma księcia) – wysłane do premiera Tony'ego Blaira listy z radami i sugestiami. Dotyczyły nie tylko ekologii, lecz także m.in. oświaty czy wprowadzenia bezpłatnych lekarstw dla najuboższych.

Znawcy spraw dworu i monarchii poczynania księcia traktują jednak ze zrozumieniem. Co miał robić, skoro przyszło mu tak długo czekać na dzień, gdy będzie mógł się wykaazać jako król? Patrzeć bezczynnie? Liczne patronaty, które sprawował, otwieranie imprez, reprezentowanie królowej – to mu nie wystarczało.

Książę Karol nie jest typem playboya szukającego imprez i rozrywek. Jest człowiekiem poważnym (bardzo zyskał na tle swego żądnego blichtru brata Andrzeja), odznaczającym się przy tym, jak mówią osoby dobrze go znające, temperamentem prawdziwego aktywisty. Nie przypadkiem jego najważniejszym dziełem jest fundacja Prince's Trust, wspierająca młodych ludzi zmagających się z problemami – bezdomnością, bezrobociem, niepełnosprawnością.

Karol zdaje sobie sprawę z wątpliwości – i stara się je rozproszyc. W dokumencie, który telewizja BBC nakręciła w 2018 r. z okazji jego 70. urodzin, zapewniał, że ma świadomość, iż będzie musiał się zmieniać. „Sądzi, że jako król będę postępować tak jak tej pory, to zupełnie nonsens – powiedział. – To są przecież dwie zupełnie inne sytuacje”.

IDEOWE MACKI RUCHU BLM

Elżbieta jest nie tylko królową Wielkiej Brytanii. Jest głową państwa również w 15 innych spośród 54 państw Commonwealthu – Wspólnoty Narodów, a także głową samej Wspólnoty. Tę ostatnią funkcję, choć formalnie jest ona obsadzana w drodze wyboru, Karol powinien przejąć. Dwór brytyjski uzyskał w tej sprawie solenne zapewnienie, zresztą w odpowiedzi na prośbę królowej. Ale czy Karol pozostanie królem również tych 15 państw, wśród których najważniejsze to Kanada, Australia i Nowa Zelandia?

W Wielkiej Brytanii istnieją ruchy republikańskie, na tyle jednak słabe, że nawet najbardziej aktywne stowarzyszenie Republic nieudziele jest w stanie zdziałać. Ale może być tak, że wyraźny impuls w tej sprawie wyjdzie ze strony Commonwealthu. Kraje, w których tlą się nastroje republikańskie, mogą wykorzystać zmianę na brytyjskim tronie, by zastąpić króla

prezydentem pochodzącym z wyboru. Dotyczy to przede wszystkim Australii, gdzie temat ten jest obecny od dobrych paru lat.

Ale nie tylko o to chodzi. Okazuje się, że macki Black Lives Matter sięgają nawet na tak szczególne pole jak zmiana na tronie brytyjskim. Ruch BLM podzielał tu po trosze jak ideowy katalizator. Pożegnanie z brytyjskim monarchą bywa traktowane jak ponowne, widoczne dla wszystkich zerwanie z kolonialną przeszłością. Czy może to mieć wpływ na pozycję króla Karola w jego własnym kraju? Być może – choć trudno powiedzieć, czy na pewno w takim kierunku, jakiego życzyliby sobie republikanie. Skutek może być odwrotny.

NIEATRAKCYJNY STARY KRÓL

Pozostaje pytanie: Czy książę William, nawet jeśli nie ma szansy na „przeskoczenie” ojca w drodze do tronu (czy zresztą by tego chciał?), mógłby w jakiś sposób zostać włączony do rządów? Czy ma sens pomysł, by ojciec i syn podzielili się zadaniami? Takie rozwiązanie, podobno rozważane, niesie ze sobą wiele niewiadomych, poczynając od zasad podziału, a kończąc na reakcji opinii publicznej.

Karol jest poniekąd mózgiem rodziny i inspiratorem zdarzeń w niej. To on podobno wymyślił, że księcia Andrzeja należy odsunąć, a Harry'emu i Meghan dać czas na zastanowienie. Obecnie pracuje nad nowym rozdzieleniem ról i zadań wśród członków rodziny i robi to wspólnie z Williamem. Bo wie, że to William będzie mieć kiedyś do czynienia z konsekwencjami decyzji podjętych teraz. Obaj są zgodni, że należy zmniejszyć liczbę tzw. pracujących członków rodziny i ich zadań, ale ponoć różnią się co do tego, jaki powinien być zakres zmian.

Wszystko to nie jest łatwe. Karol jest świadom, że popularnością ustępuje synowi (32 kontra 40 proc.) – co nie musi rodzić problemów, ale może kępować swobodę działania. Jak to, w rozmowie z „Wall Street Journal”, ujął prof. Robert Hazell z University College London: „Elżbieta, gdy wstępowała na tron, była czarującą młodą kobietą. Karol jest nieatrakcyjnym starym mężczyzną – choć przecież nie ma w tym jego winy”.

A gdyby królowa zawczasu ustąpiła z tronu? Karol nie byłby stary. William byłby na tyle młody, że nie widziano by w nim kontrkandydata. Nie byłoby pytań i rozbieżności. Abdykując, też można, jak widać, służyć narodowi.



SEKRETNY ŚLUB PREMIERA

Premier Wielkiej Brytanii potajemnie wziął ślub. I to nie tylko w tajemnicy przed mediami. Nie wiedzieli o tym wydarzeniu nawet jego ministrowie z rządu. 56-letni Boris Johnson pobrał się z 33-letnią Carrie Symonds, z którą ma rocznego syna. Swoją obecną żonę poznał, gdy był jeszcze mężem innej kobiety, Symonds pracowała wtedy jako asystentka prasowa Partii Konserwatywnej. Johnson już dwukrotnie się rozwodził, ale mógł wziąć ślub katolicki, ponieważ poprzednie brał w porządku anglikańskim – te formalnie przez Kościół katolicki nie są uznawane.

FOT. REBECCA HUTTON/DOWNING STREET/EAST NEWS

NIE BĘDZIE KRZYŻA, BĘDZIE INSTALACJA

W hiszpańskim miasteczku Casar w centrum miejscowości, na placu, stał krzyż. Miejscowy burmistrz z Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej uznał, że to promocja poglądów zwolenników reżimu frankistowskiego. I rada miejska zdecydowała o demontażu, mimo wniesionego do sądu wniosku o zastosowanie środków zapobiegawczych w celu zachowania symbolu religijnego (złożyło go Hiszpańskie Stowarzyszenie Prawników Chrześcijańskich). Burmistrz zapowiedział mediom, że zamiast krzyża będzie instalacja poświęcona pamięci „dziadków mieszkańców miasteczka”.

BÓJKA NA MARSZU PRZECIW PRZEMOCY

W Nowym Jorku odbył się pokojowy marsz przeciw przemocy, do której ma dochodzić podczas protestów Black Lives Matter. W pewnym momencie marsz zablokowali kontrmanifestanci, którzy z kolei protestowali przeciw brutalności policji. Na moście Brooklińskim zaatakowani zostali policjanci idący w pierwszym marszu. Pobity został sam szef nowojorskiej policji, Terence Monahan (który miesiąc temu klękał z protestującymi w ramach akcji Black Lives Matter).

COVIDOWY BIZNES

Prokuratura w Niemczech bada działalność firm wykonujących szybkie testy na koronawirusa. Prasa ujawniła bowiem, że firma z Bochum, która ma 54 ośrodki testowe w 36 miastach w całym kraju, zgłaszała kilkakrotnie więcej badań, niż rzeczywiście w jej punktach przeprowadzała. W niektórych miejscach liczba testów miała być zawyżana nawet dziesięciokrotnie. W ten sposób firma mogła uzyskiwać większą refundację.

LEWIZNA DLA PARYTETU

W Meksyku od dwóch lat prawo nakazuje, by listy kandydatów partii w wyborach w połowie składały się z kobiet i w połowie z mężczyzn. Aby dopełnić wymogu parytetu – jak ujawniła stacja Televisa – 18 kandydatów partii Fuerza por México zarejestrowało się w wyborach jako kobiety transseksualne. Żaden z nich nie zmieniał rzeczywiście płci, a nawet nie zmieniał ubioru. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wojna światów

Dron kamikadze Kargu-2. Według „New Scientist” tak nazywał się wyprodukowany przez turecką firmę STM bezzałogowy statek powietrzny, który w marcu zeszłego roku dokonał prawdopodobnie pierwszego w historii ludzkości autonomicznego ataku na człowieka. To, co w tym ataku było jednak najbardziej niezwykle, to fakt, że uzbrojony w ładunki wybuchowe autonomiczny dron nie wymagał podczas śmiertelnej akcji żadnego kontaktu z ludzkim operatorem. Siedmiokilogramowy dron rozwijający prędkość do 72 km/h sam wybrał cel i sam go unicestwił.

Robotów zabójców będzie z pewnością przybywać. A wraz z nimi pojawiać się będzie coraz więcej pytań o to, czy powinny być one legalne. Co bowiem, jeśli zawiedzie system rozpoznawania wroga? Na wojnie nawet doświadczeni dowódcy wpadają czasem pod bratobójczy „przyjacielski ogień”.

Co, gdy algorytmy nie będą zawierały żadnego rozróżnienia między żołnierzami oraz cywilami i dron mordera unicestwi poddającą się grupę kobiet oraz dzieci? Autonomiczne śmiertelne roboty mogą się okazać równie niebezpieczne jak miny przeciw-

piechotne. Są stosunkowo tanie, łatwe w produkcji i mogą być dostarczane masowo na dowolny rynek. Strach pomyśleć również, co się stanie, gdy dostaną się w ręce terrorystów. Organizacja Narodów Zjednoczonych już dwa lata temu nawoływała do zakazu używania dronów, które mogą zabijać bez rozkazu człowieka.

Wprowadzeniu zakazu używania robotów zabójców sprzeciwiają się jednak i Stany Zjednoczone, i Rosja. Uzbrojone drony same decydują już więc, kogo zabić, za to politycy wciąż głośno kłócą się o to, czy dopuścić już na drogi autonomiczne samochody. ©

Polski Ład okiem przedsiębiorcy



Piotr Hofman

Jest ich w Polsce ok. 2 mln. Codziennie w pocie pracują na utrzymanie siebie i swoich rodzin. Poszukują klientów, udoskonalają produkty, dogadują się z dostawcami i pracownikami. W zdecydowanej większości uczciwie płacą podatki i inne daniny publiczne, dają zatrudnienie i inwestują w swoje biznesy, zwiększając w ten sposób potencjał całej polskiej gospodarki. Mowa o polskich przedsiębiorcach. Szczególnie tych małych i średnich.

Dla wielu z nich trudny czas pandemii był i w dalszym ciągu jest walką o przetrwanie. Dzięki potężnej determinacji i woli walki wciąż większości się to udaje. Przedsiębiorcy nie są natomiast roszczeniową grupą społeczną. Nie domagają się od rządzących transferów społecznych czy innych wyrazów wsparcia. W tym środowisku dominuje podejście wolnościowe, polegające na tym, że państwo nie powinno przeszkadzać. Innymi słowy – przedsiębiorca to człowiek samodzielny, który chce brać swój los we

własne ręce. Nie zamierza czekać, aż ktoś łaskawie da mu parę groszy na życie. On sam chce na nie zarobić swoją pracą i zdolnościami.

To cechy, które mają szczególne znaczenie dla społeczeństwa. Bo przedsiębiorca swoją inicjatywą pociąga innych. Jako lider swojego biznesu odpowiada za ludzi, z którymi współpracuje. To od powodzenia jego działań zależy, czy jego pracownicy dostaną pensje, czy będą mieli opłacone składki na ubezpieczenia społeczne, czy stać ich będzie na utrzymanie swoich rodzin.

Zwracam na te kwestie uwagę, bo często w debacie publicznej o przedsiębiorcach i ich problemach się zapomina. Padają, rzecz jasna, pod ich adresem miłe słowa ze strony polityków, ale to tylko kurtuazja. Rutynowe „dbamy”, „wspieramy”, „rozwijamy” i tym podobne zwroty pozbawione treści. Polskim przedsiębiorcom nie potrzeba zresztą jakiegoś specjalnego wsparcia. Oni chcą spokoju. Spokoju legislacyjnego, a nie częstych zmian w prawie, za którymi nadążyć nie mogą nawet wyspecjalizowane kancelarie. Chcą współpracy ze strony administracji publicznej, która zamiast tego woli rzucać kłody pod nogi, bo w tym niejednokrotnie upatruje cel swojego istnienia. Polski przedsiębiorca chce prostego i efektywnego prawa, tak aby mógł się skupić na swojej działalności, a nie na grzebaniu po kodeksach i komentarzach, aby zrozumieć, co mu wolno, a czego nie. Jest także zwolennikiem prostoty. Takiej, która daje wolność i szybkość działania. Innymi słowy, jeśli chce otworzyć albo rozwijać biznes, to po prostu to robię. Nie potrzebuje 120 certyfikatów, zezwoleń, zgód i zaświadczeń. Nie muszę grzęznąć w papierach, kiedy mam plan na firmę, która będzie płaciła podatki i dawała miejsca pracy.

Powyższe postulaty nie wymagają gigantycznych wydatków z budżetu państwa. Nie wiążą się z zaciąganiem przez kolejne rządy zobowiązań finansowych czy poszukiwaniem dodatkowych dochodów podatkowych. Nie, one wymagają tylko i aż sprawnego zarządzania publicznego. Takiego ułożenia stosunków biznes-administracja, w którym mamy do czynienia z partnerską relacją opartą na wzajemnym zrozumieniu. Takiej polityki legislacyjnej, w której prawo nie będzie zmieniane co chwila, i to w sposób, który trudno uznać za sensowny.

Kwestie, o których piszę, nie są ani nowe, ani odkrywcz. Środowiska biznesowe proszą o to od lat. Od lat też słyszą, że wszystko się zmienia, że będzie lepiej, że... I tak można jeszcze długo wymieniać. A i tak zostaje tak, jak było. W związku z tym przedsiębiorcy nie wychodzą jednak na ulicę. Nie palą opon ani nie rzucają kostką brukową. Po prostu pracują w takich warunkach, jakie mają. Lekko nie jest. Nie zmienia to jednak faktu, że trzeba robić swoje. Odpowiadać na urzędowe pisma, śledzić częste zmiany w przepisach, konsultować każdy ruch z prawnikami i księgowymi. Takie mamy realia.

Dla polskiego przedsiębiorcy Polski Ład to powinno być nowe gospodarstwo otwarcie polegające na zmianie tych realiów. To proste prawo, stabilne regulacje, szybko i sprawnie działające urzędy. Oczekują zatem takiego ładu, który jest prawdziwym porządkiem, bo wprowadza jasne zasady gry. Przewidywalne i rozsądne. Nie chcą od rządu pieniędzy, tylko więcej spokoju i stabilności, aby mogli robić swoje. W interesie swoim i nas wszystkich. Może warto to mieć na uwadze? O to gorąco apeluję i jestem przekonany, że w tym apelu nie jestem odoosobniony.



Łukasz Warzecha

Nie leży w interesie nas wszystkich uznawać klasę średnią za krezusów, którym trzeba odbierać pieniądze

Ogłaszając Polski Ład, premier Mateusz Morawiecki zapewniał, że jest to program obliczony na wspieranie klasy średniej. Problem w tym, że – nie po raz pierwszy zresztą – szef rządu potraktował pojęcie średniości w bardzo ograniczony, dosłowny sposób. Jest to manipulacja, ale politycznie zrozumiała: rządzący zwracają się w ten sposób do tych, którzy są na poziomie średniej krajowej, których jest wcale nie tak znów wielu, ale znacznie więcej niż tych, których można uznać faktycznie za klasę średnią. Niestety, w ten sposób projektanci Polskiego Ładu sygnalizują, że wbrew deklaracjom wcale nie zależy im na wspieraniu i budowaniu jakiegokolwiek klasy średniej, a jedynie na powiększaniu grupy średnio zarabiających (i ani trochę więcej) – a to coś całkiem innego.

Na początku trzeba zaznaczyć, że gdy mowa o wynagrodzeniach, średnia krajowa jest wskaźnikiem mylącym. Jeżeli weźmiemy 10 osób, z których dziewięć zarabia 100 tys., a jedna 1 tys., to średnia wyjdzie nam 190 – prawie dwukrotnie więcej, niż zarabia 90 proc. z tej grupy. Dlatego w krajach, gdzie istnieje duże rozwarstwienie wynagrodzeń – mała grupa zarabia wielokrotnie więcej niż większość – średnia jest szczególnie złym wskaźnikiem.

Znacznie lepszym wyznacznikiem sytuacji jest mediana, czyli wartość, gdzie po obu stronach jest identyczna liczba obserwacji. W naszym przykładzie mediana wynosiłaby 100 (pięć wskazań po jednej, pięć po drugiej stronie skali). Można też w opisie sytuacji ekonomicznej posługiwać się dominantą, czyli wynagrodzeniem najczęściej wypłacanym. Niestety, Główny Urząd Statystyczny ma jakiś niezrozumiały problem z podawaniem w swoich najczęściej publikowanych zestawieniach wartości innych niż średnia. Mediana i dominantą pojawiają się jedynie w okresowych opracowaniach. Ostatnie dostępne zestawienie mówi o wartościach z 2018 r. Mediana podawana przez GUS wynosiła wów-

Pieniądze to nie wszystko



czas niecałe 4,1 tys. zł brutto, średnia – 5 tys. zł, a dominantą – 2379 zł. Być może upór GUS przy podawaniu przeciętnego wynagrodzenia zamiast mediany ma znaczenie czysto propagandowe – średnia zawsze będzie wyższa. Jak widać na polskim przykładzie – znacząco wyższa. A pamiętajmy jeszcze, że mowa tutaj o kwotach brutto, a więc przy polskim klinie podatkowym netto wychodzi znacznie mniej – o ok. jedną trzecią w przypadku umowy o pracę.

ILE ZARABIA KLASA ŚREDNIA?

Gdyby jako jedyne kryterium istnienia klasy średniej przyjąć średnią albo medianę wynagrodzeń, musielibyśmy dojść do absurdu wniosku, że klasa średnia istnieje właściwie w każdym państwie świata, bo w każdym jest jakaś grupa zarabiająca średnią krajową lub medianę. Dla przykładu weźmy Afganistan. Mediana wynagrodzeń wynosi tam trochę ponad 76 tys. afgani, czyli nieco ponad 3,3 tys. zł. Czy to oznacza, że w Afganistanie istnieje jakakolwiek klasa średnia i należą do niej zarabiający właśnie tyle? Oczywiście – nie. Dlatego zastosowane przez polski rząd kryterium jest świadomie zwodnicze.

Zdaniem Mateusza Morawieckiego górna granica klasy średniej to

ok. 10 tys. zł brutto, a zatem 7 tys. zł netto. Premier nie powiedział, gdzie jego zdaniem polska klasa średnia się zaczyna, ale możemy dla uproszczenia przyjąć, że musiałoby to być w okolicach średniego wynagrodzenia według GUS, a zatem ok. 5 tys. zł brutto, czyli mniej więcej 3,5 tys. netto. To kompletny absurd.

Zerknijmy za naszą zachodnią granicę. Gdyby zastosować identyczne – powtórzmy: fałszywe – kryterium do Niemców, tam klasa średnia zaczynałaby się od 3488 euro miesięcznie (dane z 2018 r.), czyli ok. 15,5 tys. zł. Jeżeli polski rząd zakłada, że podatkowa gilotyna ma zacząć ścinać już od 10 tys. zł netto w górę, to jak jednocześnie może mówić o doganianiu „Zachodu”?

Żeby dodatkowo zaciemnić statystyczny obraz, trzeba pamiętać, że duży wpływ na średnią wynagrodzeń ma odgórnie narzucane minimalne wynagrodzenie, które w ostatnich latach było systematycznie podwyższane. To jednak czynnik czysto polityczny, a nie ekonomiczny.

Wszystko to jednak żonglowanie liczbami, podczas gdy one nie mają tutaj zasadniczego znaczenia. Arystoteles, który jako pierwszy podkreślał znaczenie klasy średniej dla dobrego zarządzania państwem, brał oczywiście pod uwagę



być sprawiedliwe, toteż sądzą fałszywie. Przyczyna leży w tym, że sąd dotyczy ich samych, a niemal wszyscy ludzie w swojej własnej sprawie są złymi sędziami”.

BUDOWAĆ BAZĘ

Jak zatem powinniśmy definiować klasę średnią, jeśli nie przede wszystkim przez średnią wynagrodzeń? Wynagrodzenia mają znaczenie tylko wtedy, jeśli są narzędziem umożliwiającym realizację pewnych działań i planów typowych dla klasy średniej. Jednym z podstawowych będzie akumulacja kapitału, a więc możliwość oszczędzania – również z zamiarem przekazania zgromadzonego majątku spadkobiercom. To zaś wymaga zarobków, które pozwalają na regularne odkładanie sum większych niż kilkaset złotych. Badanie ze stycznia tego roku (ważne, że po niemal roku epidemii, która bardzo nadwątlila zasoby wielu osób) pokazało, że aż 24 proc. Polaków w ogóle nie ma oszczędności, 11,5 proc. ma mniej niż 1 tys. zł, 16,7 proc. miało od 1 do 5 tys. zł, 9,3 proc. – od 5 do 10 tys., 8,3 proc. – od 10 do 20 tys., 8 proc. – od 20 do 50 tys., a 7,1 proc. oszczędziło ponad 50 tys. zł. Może się wydawać zaskakujące, że jednak spora część Polaków – w sumie ponad 15 proc. – oszczędziła względnie znaczące sumy, czyli przekraczające 20 tys. zł.

Tak buduje się materialną bazę, która pozwala z czasem państwu dojrzywać i zmieniać perspektywę ludzi. Inaczej zachowuje się społeczeństwo, które w dużej części dba o zabezpieczenie swojego majątku, tak aby mogły z niego korzystać również dzieci i wnuki, a inaczej takie, które nie ma nic do stracenia. Ci, którzy do stracenia mają niewiele albo nic, są zawsze czynnikiem najbardziej skłonny do gwałtownych wystąpień. Potwierdza to historia właściwie wszystkich rewolucji świata.

Inne czynniki to własna nieruchomości, choćby i w kredycie (w polskich warunkach to właściwie standard), przynajmniej jeden samochód i możliwość jego wymiany co kilka lat na nowy, możliwość utrzymania więcej niż jednego dziecka, jego wyedukowania i zapewnienia mu wszystkiego, co jest potrzebne do codziennego komfortu, możliwość wyjazdu całą rodziną przynajmniej na jedno pełnowymiarowe wakacje w roku. Lecz nie mniej istotnym czynnikiem, jakkolwiek mocno niewymiernym, jest zaangażowanie w sprawy publiczne, zainteresowanie życiem wspólnoty,

gotowość do podejmowania w tej sferze aktywności.

Jak widać, trudno mówić o sztywnym kryterium finansowym opisującym klasę średnią choćby dlatego, że w różnych regionach Polski do wypełnienia opisanych przesłanek konieczne są inne pieniądze. Warszawa będzie tu stawiać wyzwanie znacznie większe niż choćby Rzeszów czy Kalisz, a te z kolei miasta – większe niż mniejsze miejscowości. Ktoś może się zaliczać do klasy średniej, mieszkając w Puławach, podczas gdy w Gdańsku z tymi samymi pieniędzmi znalazłby się poniżej granicy tej grupy. Jeżeli zaś uwzględnić czynnik zaangażowania w sprawy publiczne, to okaże się, że do klasy średniej może się nie zaliczać lokalny krezus, mający willę z basenem i dwa samochody, ale zalicza się do niej mieszkający w bloku menedżer czy urzędnik średniego szczebla w dużym mieście.

Nie mamy niestety badań, które oceniałyby liczebność klasy średniej, posługując się opisanymi wyżej rozbudowanymi kryteriami. Na przykład badanie klasy średniej Polskiego Instytutu Ekonomicznego z września 2019 r. sięgnęło po dwa rodzaje kryteriów. Pierwsze, dochodowe, opisano jako „dochód rozporządzalny netto przeważony przez liczbę członków gospodarstwa domowego” (EHDJ). Mediana dla klasy średniej wynosiła tutaj zaledwie 2549 zł. Liczebność tej grupy tak obliczonej, z EHDJ pomiędzy 1,5 tys. a 4,5 tys. zł, wyliczono na aż 54 proc. Polaków w wieku 24–64 lata. Jakkolwiek formalnie to wyliczenie jest poprawne, faktycznie jest absurdalne. Niewiele mniej miałoby być członków klasy średniej według kryterium zawodowego (odwołano się tu do prac prof. Henryka Domańskiego): 51 proc.

Konflikt wokół pojęcia klasy średniej polega zatem na zderzeniu sztywnych, możliwych do prostego wyliczenia wartości (najczęściej finansowych) z dużo szerszym spojrzeniem, ale sprawiającym już spore trudności przy wyliczeniach i dużo mniej wygodnym dla polityków. Pewne jest, że nie jest w interesie nas wszystkich, aby ludzi w istocie należących do klasy średniej traktować jak krezusów, którym trzeba odbierać pieniądze. Jest natomiast w naszym interesie, aby wspierać aspirację tych poniżej klasy średniej i stwarzać im możliwości dołączenia do niej. Tego nie osiągnie się poprzez redystrybucję. Ona najwyżej pozwoli stworzyć szkodliwe pozory większej równości. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

czynnik bogactwa, ale nie uważał go za najważniejszy. Warto pamiętać, że grecki filozof uznawał demokrację za jeden ze złych, wypaczonych ustrojów (wraz z tyranią i oligarchią), ponieważ w demokracji swoją perspektywę reszcie narzucają zawsze przeważający w swojej masie najubożsi. Klasa średnia natomiast miała mieć decydujące znaczenie w politei – jednym z trzech dobrych ustrojów (wraz z arystokracją i monarchią). Fetyszyzowane jest dzisiaj – globalnie, a nie jedynie w Polsce – pojęcie równości. Polski Ład całkiem przecież oficjalnie ma służyć wyrównywaniu zasobności, a rządzący szafują przy tej okazji pojęciem sprawiedliwości społecznej.

Dlatego tym bardziej warto przypomnieć, co Arystoteles pisał w Księdze III swojej „Polityki”, omawiając trzy ustroje właściwe i trzy zwyrodniałe:

„Wszyscy bowiem jakoś dotykają tego, co sprawiedliwe, ale dochodzą tylko do pewnego punktu i ujmują w pełni zagadnienia, co to jest sprawiedliwość. Tak np. równość uchodzi za rzecz sprawiedliwą i jest nią istotnie, ale nie dla wszystkich, tylko dla równych; także nierówność uchodzi za sprawiedliwą, bo też jest nią rzeczywiście, lecz znów nie dla wszystkich, tylko dla nierównych. Pomijają przy tym wzgląd na to, dla kogo coś ma



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

59,99, czyli „ale jaja”

Warto zapamiętać tę liczbę: 59,99. Oznacza zaroportowaną Komisji Europejskiej przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej, a prognozowaną przez Ministerstwo Finansów RP wysokość długu publicznego Polski w relacji do PKB na koniec 2021 r. – właśnie 59,99 proc. PKB. Ani nie 59,98 proc. PKB, ani nie 60,00 proc. PKB, ani tym bardziej nie 60,01 proc. PKB, tylko dokładnie 59,99 proc. PKB.

Muszę przyznać, że naprawdę doceniam to iscie angielskie poczucie humoru ministra finansów Tadeusza Kościńskiego, ten greps na miarę „Latającego cyrku Monty Pythona” czy – po naszymu – te „jaja”, które sobie z nas robi, i to na całego, w świetle jupiterów. Niczym jeden z jego niesławnych poprzedników na fotelu szefa MF – Jan Antony Vincent-Rostowski vel Jacek „W Bydgoszczu” Rostowski. Ale to w końcu nie powinno dziwić, bo przecież obaj panowie – i Kościński, i Rostowski – przyszli na świat „nie w Łądku – Łądku-Zdroju, lecz w Łądynie”, czyli w Londynie.

Doceniam więc poczucie humoru, choć czynię to bez cienia radości. Bo i z czego tu się cieszyć? Z tego, że korzystając z fatalnego braku precyzji naszej konstytucji, polscy politycy z taką łatwością i bez skrupułów obchodzą zapis jej art. 216 pkt 5? Zapis, którego pierwsze zdanie jasno stanowi, że „nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług

publiczny przekroczy trzy piąte wartości rocznego produktu krajowego brutto”, czyli 60 proc. PKB? A obchodzą go, korzystając z drugiego zdania tegoż art. 216 pkt 5, które brzmi: „Sposób obliczania wartości rocznego produktu krajowego brutto oraz państwowego długu publicznego określa ustawa”, otwierając w ten sposób furtkę wielką niczym wrota. No i dziś ta jakże polska „ustawa” sprawia, że podczas gdy według naszej „polskiej metodologii” dług publiczny Polski kręci się wokół 50 proc. PKB, to zgodnie z rygorystyczną „metodologią unijną” na koniec 2021 r. będzie liczył kilka punktów procentowych więcej i zbliży się do 60 proc. PKB. Lecz owych 60 proc. PKB nie przekroczy, zatrzymując się na poziomie – traf czy księgowy trick chciał – wspomnianych 59,99 proc. Co ma o tyle znaczenie, że 60 proc. PKB stanowi limit zadłużenia nie tylko według polskiej konstytucji, lecz także według traktatów UE, których zresztą też już przecież nikt nie traktuje poważnie.

I może właśnie dlatego, że już nikt nie traktuje poważnie limitu 60 proc. zadłużenia ani w polskiej konstytucji, ani tym bardziej w traktatach UE, należy docenić ministra Kościńskiego za zadbanie o ów żartobliwy szczegół – owe 59,99 proc. PKB. Za tę próbę rozweselenia nas podczas obieszczania ponurej informacji, że rząd w ciągu niespełna dwóch lat zadłużył każdego Polaka – bez względu na wiek – aż o 11 tys. zł. Powiększając dług każdego z nas aż do 39 tys. zł.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Sondaże bez ładu i składu

Komentatorzy naszego życia politycznego zwykle stwierdzają, że nie ma sensu patrzeć na pojedyncze sondaże, a jedynie na trendy. To, ogólnie rzecz biorąc, prawda, ale też źródłem tej wygłaszanej rutynowo formułki jest zadziwiająca rozbieżność wyników badań. Rozbieżność, która stała się już tak oczywista i tak spowszedniała, że przestano na nią zwracać uwagę.

Jeszcze parę lat temu, szczególnie po zwycięstwie Andrzeja Dudy nad Bronisławem Komorowskim, temat przez jakiś czas istniał w debacie. Pytano szefów ośrodków demoskopijnych, dlaczego właściwie nie są w stanie wdrożyć jednolitego standardu badań poparcia polityków i partii politycznych. Odpowiedź nigdy nie nadeszła. A przecież nie jest to przedsięwzięcie przesadnie trudne.

Czemu zatem się nie da? Odpowiedź może być tylko jedna: bo wówczas trudniej byłoby manipulować wynikami sondaży, tak aby odpowiadały zamawiającemu. Przy braku wspólnego kryterium można to robić stosunkowo łatwo. Metod jest kilka: sposób przeprowadzenia sondażu, dobór próby, wliczenie lub niewliczenie do wyników osób niezdanych, a jeżeli są do próby wliczane, to przyporządkowanie ich proporcjonalnie do poszczególnych

odpowiedzi. Wreszcie słynne „doszacowania”, czyli arbitralna decyzja prowadzącego badanie, która formacja jest standardowo niedoszacowana i trzeba jej trochę dodać.

Bywa, że pojawiają się badania naprawdę już zaskakujące, bo w tym samym czasie, zrobione przez ten sam ośrodek, pokazujące mocno odmienne wartości. W ubiegłym tygodniu taki sondaż zaprezentował Ibris. Pierwsze badanie, dla portalu Interia, opublikowano 31 maja, drugie, dla Onetu, 1 czerwca. W pierwszym PiS wyraźnie wygrał i poprawiał poprzedni wynik o prawie 2,5 punktu, osiągając 40,3 proc., na drugim miejscu był Hołownia (22,9 proc.), na trzecim KO (15,9). Tymczasem w badaniu dla Onetu PiS zebrał 34,9 proc. (spadek o 0,2 punktu), na drugim miejscu był Hołownia (20,2), na trzecim KO (14,1). Różnice na dalszych miejscach są znaczące – np. w sondażu dla Interii Konfederacja spokojnie do Sejmu wchodzi (7,3 proc.), a w tym dla Onetu – nie (4,5 proc.).

Mogę się domyślić, co by powiedział Marcin Duma, szef Ibrisa: że w sondażu dla Interii uwzględniono tylko zdecydowanych, że różne były metody itd. Tylko co to zmienia? Odbiorca widzi, że w odstępie jednego dnia ten sam ośrodek pokazał dwa mocno się różniące (również, gdy idzie o trend) sondaże. Branża sama robi sobie krzywdę. ©

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNE ŻARÓWKI TP-LINK

Świetny stosunek ceny do jakości, łatwa konfiguracja, możliwość łączenia żarówek w grupy i sterowania oświetleniem za pomocą inteligentnych asystentów, a także włączania czy wyłączania światła zdalnie z dowolnego miejsca – to największe zalety dwóch nowych modeli żarówek LED chińskiej firmy TP-Link.

Oba testowane modele to żarówki z popularnym gwintem E27. Ich ogromną zaletą jest łatwość obsługi. Nie potrzeba żadnych dodatkowych urządzeń, mostków etc. Wystarczy wkręcić nowe żarówki na miejsce ich tradycyjnych, „głupich” odpowiedników, ściągnąć bezpłatną aplikację, podłączyć żarówki do domowej sieci i już można prosto sterować domowym oświetleniem za pomocą smartfona.

Pierwszy z testowanych modeli – L530E – to inteligentna żarówka ze zmiennym kolorem. Odpowiednik żarówki o mocy 60 W zapewnia jasność na poziomie 806 lumenów, która jest wystarczająca dla większości pomieszczeń, poza np. dużymi salonami.

Producent chwali się, że do wyboru jest w sumie 16 mln różnych odcieni. Można więc łatwo dopasować światła do sytuacji – tak, aby pomagało ono w koncentracji nad trudnymi zawodowymi zadaniami, w relaksowaniu się przed snem czy pomagało stworzyć miły nastrój podczas romantycznej kolacji. Model ten oferuje również możliwość przyciemniania w zakresie od 1 do

100 proc. Drugi, tańszy model – Tapo L510E – to tradycyjna inteligentna żarówka ze ściemniaczem.

W obu modelach można ustawiać własny harmonogram działania i dowolnie określać, o których godzinach światła mają się zapalać lub gasnąć. Można też ustawić włączanie i wyłączanie żarówek dostosowane do wschodu i zachodu słońca. Żarówki można też łączyć w grupy i np. włączać/wyłączać jednocześnie wszystkie w salonie. Można również polecić wyłączenie wszystkich żarówek po opuszczeniu domu lub łatwe zapalenie różnych żarówek, gdy wraca się z pracy.

Zaletą testowanych modeli jest też możliwość sterowania oświetleniem za pomocą asystenta Google oraz Alexy. Jak to działa? Wystarczy poprosić asystenta np. o wyłączenie światła w salonie, a żarówki błyskawicznie gasną. Testowane modele nie działają z Apple Home.

Plusem jest też możliwość łatwego sprawdzenia zużycia energii przez daną żarówkę w ciągu ostatnich siedmiu lub 30 dni.



Wady? Na razie brakuje możliwości dokupienia przełącznika do montażu na ścianie.

Nie zawsze wychodząc z pokoju, chce się sięgać po smartfona, aby zgasić światło, a niestety po wyłączeniu żarówki tradycyjnym przyciskiem na ścianie nagle traci się dostęp do wszystkich „inteligentnych” funkcji. Konkurenci takie elementy systemu mają, więc można mieć nadzieję, że TP-Link też w końcu wprowadzi takie przełączniki do sprzedaży.

Druga wada w wypadku modelu L530E dotyczy dokładności oddania wybranych kolorów.

Pomimo tych wad żarówki TP-Link to świetny wybór dla tych, którzy chcą za stosunkowo niewielkie pieniądze stworzyć u siebie namiastkę inteligentnego domu z możliwością sterowania oświetleniem z dowolnego miejsca na Ziemi (w którym jest Internet). Model L530E kosztuje 59 zł, a za L510E trzeba zapłacić zaledwie 34,99 zł. ©©

Jacek Przybylski



BUGATTI (PRAWIE) DLA MAS

Francuski producent luksusowych hipersamochodów wreszcie oferuje produkt, na którego stać nawet osoby zarabiające średnią krajową. We współpracy z firmą VITA Bugatti stworzyło trzy modele inteligentnych zegarków Bugatti Ceramique Edition One. Są to Pur Sport, Le Noire oraz Divo. Modele różnią się designem. Każdy z nich kosztuje 899 euro, czyli ok. 4 tys. zł. Smartwatche zostały wyposażone w ekrany LED o rozdzielczości 390 x 390 pikseli, nowoczesne moduły GPS oraz różnego rodzaju czujniki, które monitorują poziom tlenu we krwi oraz sprawdzają tętno. Zegarki mają być pomocne przy uprawianiu 90 różnych sportów. Każdy z modeli objęty jest pięcioletnią gwarancją. Bateria o pojemności 445 mAh ma zaś wystarczyć maksymalnie do 14 dni pracy na jednym ładowaniu. Zegarki z limitowanych serii można zamawiać na jednym z portali crowdfundingowych. Dostawa w październiku.

FOT. MATERIAŁY PROSIMO

OKULARY Z ROZSZERZONĄ RZECZYWISTOŚCIĄ

Snap Spectacles 4.0 to czwarta generacja inteligentnych okularów, które mają pozwalać ich użytkownikowi na oglądanie świata wzbogaconego o elementy rozszerzonej rzeczywistości bez konieczności użycia smartfona. Na obraz realnego otoczenia nakładane są interaktywne warstwy, których treść ma zależeć od lokalizacji i tego, na co akurat się patrzy. Sterowanie okularami odbywa się za pomocą komend głosowych lub panelu dotykowego w auscultach. Nowe okulary nie trafiają jeszcze do masowej produkcji. Programiści mogą już jednak pracować nad software’em. ©©

Jacek Przybylski



Przełamując oporność



Marek Głogoczowski (w środku) na lodowcu pod szczytem Mount Cook w Nowej Zelandii (2011/2012) FOT. ARCHIWUM MARKA GŁOGOCZOWSKIEGO



Katarzyna Pinkosz

Dzięki intensywnemu leczeniu chorzy na chłoniaka z komórek płaszcz mają szansę na dłuższe życie. Po pewnym czasie jednak choroba wraca. Ratunkiem są leki o innym mechanizmie działania, przełamujące oporność nowotworu

Marek Głogoczowski to jeden z najbardziej znanych polskich alpinistów. Ma za sobą ponad 50 lat wspinaczki w najwyższych górach świata, pokonał większość klasycznych wielkich dróg alpejskich. Jako pierwszy Polak wszedł na Denali (Mount McKinley) na Alasce. Mając 51 lat, był pierwszym Polakiem, który zjechał północną ścianą Mont Blanc, a tuż przed 70. rokiem życia zdobył najwyższy

szczyt w Nowej Zelandii (Mount Cook 3724 m n.p.m.). Z wykształcenia fizyk i geofizyk, pracował naukowo, pisywał też w paryskiej „Kulturze”. Góry i wspinaczka to pasja i sens jego życia.

Dla tak aktywnej osoby problemy zdrowotne wydają się nie istnieć. Miał 72 lata, kiedy pod lewym okiem pojawił się szybko rosnący wrzód. – Gdy odchyliłem powiekę, widziałem go drugim okiem. Coraz słabiej widziałem, pojawiła się też znaczna utrata słuchu. Kilka miesięcy trwało stawianie diagnozy. – Miałem 90 proc. utraty słuchu, skierowano mnie do kliniki laryngologicznej i na hematologię. Okazało się, że mam chłoniaka z komórek płaszcz usadowionego w kącie tego oka. Wywołał stan zapalny, a w rezultacie zalenie ropą połączonych z nim kanalików słuchowych – dodaje.

JESZCZE BĘDĘ NA NARTACH JEŹDZIŁ...

Chłoniak z komórek płaszcz (płaszcz – strefa zewnętrzna grudki chłonnej, w której znajdują się małe limfocyty,

głównie pamięci immunologicznej) jest stosunkowo rzadko występującym typem chłoniaka nieziarniczego (nowotworu układu chłonnego). Chorują zwykle mężczyźni, między 60. a 65. rokiem życia (w Polsce ok. 300–400 osób rocznie). Pierwsze objawy to zazwyczaj niebolesny obrzęk szyi, pach, pachwin, spowodowany powiększeniem węzłów chłonnych. Zajęte bywają też migdałki, węzły chłonne klatki piersiowej, jednak choroba może rozprzestrzeniać się do innych części organizmu, np. do szpiku, krwi, śledziony, żołądka, jelit czy (tak jak w przypadku pana Marka) umiejscowić się w oczodole. – Objawy początkowo są skryte; nowotwór można rozpoznać przypadkowo, w badaniu krwi, wykonywanym np. w przypadku nawracających infekcji. Dla rokowania chorego ważne jest to, żeby dokładnie rozpoznać podtyp chłoniaka – opowiada prof. Wojciech Jurczak, kierujący Pododdziałem Leczenia Nowotworów Układu Chłonnego w Klinice Onkologii Klinicznej Narodowego Instytutu Onkologii w Krakowie.

– Gdy w 2013 r. postawiono u mnie diagnozę, prof. Jurczak, który mnie leczył, zapowiedział mi, że będę jeszcze na nartach jeździł. I tak się stało – opowiada Marek Głogoczowski. Wcześniej jednak przeszedł bardzo intensywne leczenie: kilka cykli chemioterapii, mikrooperację udrażniającą kanalik łzowy oraz „dobi-janie” resztek chłoniaka pod okiem za pomocą serii naświetlań, promieniami X, tego miejsca.

– Leczenie pacjenta indywidualizujemy, jednak każde powinno się rozpocząć od immunochemioterapii (połączenia rytuksymabu, czyli przeciwciała monoklonalnego, z cytostatykami). U niektórych chorych możemy też, jako konsolidację leczenia pierwszego rzutu, zastosować autologiczny przeszczep szpiku; u wszystkich – leczenie podtrzymujące rytuksymabem. Chodzi o to, by maksymalnie zmniejszyć liczbę komórek nowotworowych, a przez to opóźnić wznowę procesu i prawdopodobne powstanie oporności na leczenie – tłumaczy prof. Jurczak. Jeśli pacjenci byli prawidłowo leczeni, a choroba nie miała na początku bardzo złych czynników prognostycznych, to nawrót choroby następuje zwykle po 6–10 latach (później u osób, które mogły mieć wykonany przeszczep szpiku) – mówi prof. Jurczak.

U Marka Głogoczewskiego po leczeniu pierwszego rzutu choroba się cofnęła. Wykorzystał ten czas na życie. – Wspinalem się, m.in. w Alpach. Jeszcze mając 75 lat, wszedłem na Łomnicę i przeszedłem Granią Wideł z Łomnicy na Kieżmarski Szczyt. Podejściem na Łomnicę trochę się zmęczyłem, ale potem po grani już nieźle mi się szło. To chyba była moja ostatnia taka wspinaczka – opowiada. Grań Wideł – zespół urwistych szczytów w słowackich Tatrach Wysokich – jest uznawana za jedną z najpiękniejszych grani Tatr.

NUMER JEDEN NA LIŚCIE

Przed dwoma laty pan Marek zauważył niepokojące objawy nawrotu chłoniaka: zgrubienie łydki, opadanie drugiej powieki. W badaniu PET okazało się, że ogniska choroby są już m.in. w płucach, klatce piersiowej, podudziu. – W takim przypadku możemy powtórzyć immunochemioterapię w wyższych dawkach, jednak takie leczenie jest bardzo toksyczne, nie nadaje się dla każdego pacjenta i szybko pojawia się na nie oporność. Standardem postępowania w takich sytuacjach powinno być podawanie

inhibitorów kinazy Brutona, takich jak ibrutynib. To leczenie doustne, dobrze tolerowane, można by je podać praktycznie każdemu choremu. Odpowiedź na leczenie jest dłuższa niż w przypadku powtórzenia immunochemioterapii. Inną grupą leków pomocnych przy oporności są terapie immunomodulujące, takie jak lenalidomid. Ani jedna, ani druga terapia nie jest jednak refundowana w tym wskazaniu w ramach katalogu chemioterapii czy programów terapeutycznych NFZ – mówi prof. Jurczak.

Inhibitory kinazy Brutona są uważane za jeden z największych przełomów w leczeniu chłoniaków. Przełamują oporność na chemioterapię. Skuteczność ibrutynibu została potwierdzona w badaniach klinicznych: remisję choroby udaje się uzyskać u prawie trzech czwartych leczonych. Lek jest dobrze tolerowany, można go podać właściwie każdemu choremu, jest też rekomendowany w wytycznych NCCN (National Comprehensive Cancer Network), ESMO (European Society for Medical Oncology), jak również w polskich wytycznych klinicznych. To lek dobrze znany i stosowany już w innych nowotworach hematologicznych. Eksperci z dziedziny hematologii (włącznie z konsultantami: krajowym i wojewódzkimi) to właśnie ten lek wskazali jako „jedynek” na liście priorytetów refundacyjnych TOP10 HE-MATO (we wskazaniu: oporny chłoniak z komórek płaszczka i przewlekła białaczka limfocytowa). – Średni okres do progresji choroby to kilkanaście miesięcy, jednak jeśli lek podany jest w pierwszej wznowie choroby, to remisja trwa znacznie dłużej (od trzech do pięciu lat); mamy chorych, którzy są leczeni w ten sposób już ósmy rok – zaznacza prof. Jurczak.

TRZEBA POKORNIĘĆ

Pan Marek od ponad roku przyjmuje lek dzięki procedurze tzw. ratunkowego dostępu do technologii lekowych (RDTL). Efekty są bardzo dobre. – Podczas ostatniego badania PET nie było widać żadnych ognisk chłoniaka – opowiada. Problemem jest jednak sama procedura RDTL. Po to, żeby pacjent otrzymywał terapię, do niedawna lekarz prowadzący musiał co trzy miesiące występować z wnioskiem do konsultanta wojewódzkiego, a następnie konieczna była indywidualna zgoda Ministerstwa Zdrowia. – Niestety, zdarzało się, że przez kilka

tygodni nie dostawałem leków, bo ktoś w ministerstwie nie podpisał wniosku w przewidzianym prawem terminie. Raz musiałem nawet interweniować u Rzecznika Praw Pacjentów. A przecież leczenie nie powinno się przerywać – mówi Marek Głogoczowski.

Od wejścia w tym roku w życie ustawy o Funduszu Medycznym przepisy dotyczące RDTL się zmieniły. – Cieszę się, że lek jest bardziej dostępny, bo to ogromna szansa dla pacjentów. Nadal jednak uzyskanie leczenia nie jest proste i nie wszyscy chorzy, którzy tego potrzebują, są tak leczeni – mówi prof. Jurczak. Tłumaczy, że nie jest wymagana zgoda Ministerstwa Zdrowia, wystarczy zgoda konsultanta dla danego województwa, a później lekarz prowadzący może to leczenie samodzielnie wydłużać. – Problemem jest jednak niejasny sposób finansowania. W ubiegłym roku, gdy leżało to w gestii Ministerstwa Zdrowia, była pewność, że gdy zgoda zostanie przyznana, pójdą za tym finanse. Obecnie dyrektor nie wie, czy NFZ zwróci szpitalowi koszt poniesiony na zakup leku. Teoretycznie wszystko powinno być w porządku, jest jednak pewne poczucie zawieszenia. Nie wiemy, czy lecząc chorych, nie narażamy szpitala na długi. Zdarzały się sytuacje, że zwrot środków poniesionych przez szpital był opóźniony lub tylko częściowy, a przecież szpitale nie są od tego, by finansować opiekę zdrowotną. To rola NFZ – mówi prof. Jurczak. Lekarze od kilku lat czekają na pomyślne zakończenie negocjacji ministerstwa z producentem, żeby lek stał się dostępny w ramach programu lekowego. Takiego leczenia potrzebowałoby ok. 300 pacjentów w Polsce, a w ramach RDTL jest leczonych zaledwie 30–40. Dla wielu z nich ten lek jest jedyną szansą na przedłużenie życia.

Pan Marek za 14 miesięcy kończy 80 lat. – Trzeba pokornieć. I ja spokojnie pokornieję. Ostatnio już się nie wspinam, ale jeszcze kilka tygodni temu wszedłem na fokach do Doliny Świńskiego Kotła na 1700 m n.p.m. i zjechałem na nartach. Jeśli jest słońce, to mogę jeździć, bo ciągle jeszcze nieźle widzę prawym okiem. Codziennie chodzę co najmniej 5–10 km, jak to zaleca prof. Jurczak. Zimą biegałem na biegówkach w okolicach Antałówki, Bachledzkiego Wierchu i Gubałówki. Wiem, że to możliwe tylko dzięki temu, iż mam lek. Chciałbym, żeby mogli go dostawać też inni chorzy, którzy tak jak ja mają wznowę chłoniaka – mówi.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Niewolnicze **wybrzeże**

Wszyscy słyszeli o Wybrzeżu Niewolniczym w Afryce, w Zatoce Gwinejskiej, skąd do XIX w. wywieziono miliony czarnych. Tymczasem u południowych granic Rzeczypospolitej było podobne miejsce. Mowa o północnych wybrzeżach Morza Czarnego, gdzie znajdowały się liczne porty i targi białych niewolników uprowadzonych przez Tatarów z terenów Korony, Litwy i Mołdawii.



FOTODOMENA.PUBLICZNA

Jak podaje Leszek Podhorodecki, w Chanacie Krymskiej głównymi centrami handlu jasyrem były trzy miasta: Białogród, czyli Akerman (obecnie Białogród nad Dniestrem, w granicach Ukrainy), Oczaków położony nad Zatoką Dnieprorską i Kilia. Ta ostatnia znajduje się przy lewym ramieniu Dunaju, nad samą granicą z Rumunią. Tradycyjnym dużym ośrodkiem handlu na Krymie, jednak z wolną tracącym swoją pozycję na rzecz wymienionych wcześniej miast, była Kaffa, czyli dzisiejsza Teodozja. Starożytne miasto założone jeszcze przez dawnych Greków, podbite przez Rzymian, następnie przez Tatarów, później kolonia Genuńczyków, zajęte przez Turków w 1475 r.

Do wszystkich wspomnianych miejsc trafiali niewolnicy porwani w czasie tatarskich najazdów

na Rzeczpospolitą, Mołdawię, Wołoszczyznę i Moskwę. Zarówno tych małych, zwanych „besz-basz”, co znaczy „pięć głów”, jak i wielkich, w których brali udział chan i jego rodzina. Już na początku XVI w. na terenach Budziaku, Jedysanu i u ujścia Dniepru tworzyły się specyficzne spółki – handlarzy niewolników i ubogich Tatarów. Kupcy wypożyczali prostym ordyńcom broń i konie do zorganizowania łupieżczych wypraw. W zamian za to żądali później oddania połowy łupów – przede wszystkim jasyru. W XVII w. jednym z najbardziej znanych był Kulawy Hassan z Oczakowa.

Prawdziwe rzesze jasyru spędzano na wybrzeża w czasie wojen kozackich, zwłaszcza w 1648 r., kiedy Orda rozbiegła się szeroko po Ukrainie, Wołyniu i Rusi Czerwonej, zagarniając nieprzeliczone tłumy niewolników. „Nawet najędźniejszy parobek tatarski nie miał sobie za nic wielkiego trzydziestu albo czterdziestu ludzi jasyru. Jasyru i łupów było ponad wszelką miarę, toteż zostawiono sobie spośród dziewcząt tylko piękne jak hurysy, a z chłopców – tylko do paziów podobnych, resztę zaś nawet bardzo dobrych, nie tylko że porzucono, ale nie było ani jednego Tatarzyna, który obrzydziwszy ich sobie, nie zabijałby codziennie po dziesięciu albo piętnastu jeńców” – pisał o tym Hadży Mehmed Senai z Krymu. Na targowiskach sprzedawano wtedy Żyda za lulkę tytoniu, szlachcica za konia, kilku chłopów za łuk. Większość była wykupywana przez Turków i przewożona dalej – do Stambułu, gdzie znajdował się największy bazar niewolniczy w tej części świata – zwany beze-stanem. Jak podaje Podhorodecki, handlowano tu przede wszystkim mężczyznami, natomiast kobiety sprzedawano na Avret Bazar (Kobięcy Targ). Zbigniew Lubieniecki, towarzysząc w 1640 r. polskiemu posłowi do Stambułu, był

świadkiem, jak przywożono tutaj niewolników. „Pan poseł jeździł do bezestanu samotrzeć tylko. Był i na bazarze ludzkim, gdzie widział do kilku tysięcy ludu różnego narodu na sprzedaż, ale największa część chrześcijan”.

Przeciętny niewolnik kosztował zwykle ok. 200 zł, co odpowiadało w Rzeczypospolitej cenie najtańszego wojskowego konia używanego w husarii. Jednak wyjątkowo urodzive niewolnice i niewolnicy warci byli nawet 400 i więcej. Spośród kobiet najbardziej ceniono Czerkieski – ich ceny były zwykle większe niż pospolitych niewolników, podczas gdy robotnego chłopca z Moskwy sprzedawano za 70 zł.

Nie wszyscy jeńcy trafiali od razu na bazyry niewolnicze. Szlachtę, magnatów i najzamożniejszych spośród jasyru Tatarzy uwalniali za wykupem. Bardzo często już w trakcie drogi na Krym rozpoczynano targi, które kończyły się potem w Oczakowie lub Kaffie. Najzamożniejszych jeńców umieszczano w Czufut-Kale na Krymie – twierdzy położonej tuż obok Bakczysaraju, którą zwano także Gródkiem Karaimskim ze względu na fakt, że jej okolicę zamieszkiwali Karaimi, będący jednocześnie częstymi pośrednikami pomiędzy jeńcami a ich rodzinami. U Karaima można było uzyskać pożyczkę na wykup z niewoli i oddać ją w Rzeczypospolitej, już po powrocie. Należy też pamiętać, że wbrew legendom, jakoby w Czufut-Kale więźniowie przetrzymywani byli w lochach, w rzeczywistości Tatarzy dbali o nich, karmili ich dobrze, pozwalali im utrzymywać służbę, grać w karty i pić wino. W łańcuchy zakuwano ich jedynie wówczas, kiedy negocjacje o okup się przeciągały albo więzień zwodził i oszukiwał prześladowców, podając się np. za bogatego szlachcica, podczas gdy w rzeczywistości był sługą lub zwykłym chłopem. ©©

KUCHNIA RUTKOWSKIEGO NA KAŻDĄ POGODĘ

Mam nadzieję, że wreszcie nadejdzie prawdziwe lato, a na upalne czerwcowe, lipcowe czy sierpniowe dni i ciepłe wieczory nie ma nic lepszego niż chłódnik. To idealne letnie danie, które zapewnia doznania smakowe, dodaje energii i daje doskonałe samopoczucie. Surowe warzywa to samo zdrowie i strzał witaminowy. Nie dalej jak kilka dni temu zrobiliśmy sobie taki chłódniczek z żoną. Smakował wybornie!

Chłódnik Rutkowskiego

Składniki:

- botwina
- ogórek
- pęczek rzodkiewki
- szczypiorek z dymką
- jogurt
- mleko
- ocet
- ksylitol
- czosnek
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Na drobne kawałki siekamy rzodkiewkę i ogórek, a szczypiorek z cebulką dymką – na cienkie paseczki. Przygotowujemy lekko botwinę, tniemy liście botwiny oraz kroimy buraczki, które dadzą nam ładny

kolor. Dodajemy trochę czosnku przepuszczonego przez praskę, zalewamy jogurtem 0 proc. – chcemy przecież mieć na lato dobrą figurę! – dodajemy trochę mleka (tylko tyle, żeby powstała odpowiednia konsystencja) i odrobinę octu, słodzimy, najlepiej cukrem brzoźowym, czyli ksylitolem, doprawiamy solą i pieprzem.

A na chłodniejsze wieczory polecam zupę w stylu japońskim, doskonałą do podania przed sushi. Makaron (Japończycy używają pszen nego, ja od niego stronię i wybieram ryżowy lub pełnoziarnisty) oraz ugotowane na twardo jajko zalewamy bulionem wołowym, dorzucamy posiekane mięso wołowe i składniki wedle uznania, np. marchew, groszek, ogórek surowy, awokado, i przyprawiamy japońskimi przyprawami. Taka zupa nas rozgrzeje, ale jednocześnie orzeźwi, a warzywa dzięki

temu, że ich nie rozgotowujemy w zupie, zachowają swój smak. ©©

*oprac. raw
Krzysztof Rutkowski
– detektyw,
przedsiębiorca
i celebryta.*



FOT. PRZEMYSŁ SWIERZEK/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ciastko zjeść



FOT. ADORÉ STOCK

Czytam ponownie po latach „Sławę i chwałę” Jarosława Iwaszkiewicza. Jest to wciąż piękna i żywa powieść pomimo licznych mętności ideologicznych. Poza wszystkim kopalnia wiedzy o Polsce pierwszej połowy XX w. (kiedyś powieści opisywały życie, a nie tylko strumień świadomości). Podziwiam u Iwaszkiewicza nie tylko talent literacki, lecz także – co nieoczekiwane u poety – wiedzę o nieliterackich dziedzinach życia. Ten koneser oraz znawca muzyki i sztuk pięknych zna się na uprawie roli, ogrodnictwie, bankowości, batalistyce, jest ekspertem kuchni. Ale naprawdę zaskakujące okazało się, że tajemnic nie ma dla niego także cukiernictwo. Jednym z bohaterów powieści jest Franciszek Gołąbek, właściciel znanej warszawskiej cukierni. Opis przygotowywania mazurków wielkanocnych w „Sławie i chwale” jest tak reporterski, tak barwny, że czytelnik czuje się, jakby znalazł się w zakładziku na Grochowie, stanął nad wielkim stołem i patrzył, jak dziewczyny w białych fartuchach sprawnie tną płaty ciasta, rozkładają na nich masę, układają warstwa po warstwie, lukrują, dekorują, wyciskają ozdobne napisy... Czuję unoszący się w powietrzu słodki i gorący opar: Ślinka napływa do ust.

Dzisiaj modne są jarzyny, ciastka nie są modne. Cukier, wiadomo, biała szkodliwość,

jeśli nie od razu śmierć. Tylko kto nie lubi ciastek? Pączka (nie tylko w tłusty czwartek), ptyś, eklera,

francuskiego ze śliwką, bezy? Albo czegoś takiego, co jest babką unoszącą na sobie górę różowej masy pokrytej lukrem... Do takiego ciastka wzdychałam w dzieciństwie, przyklejając się do szyby piekarni Pożgockiego w Milanówku. Kosztowało dwa złote i cena nie zmieniła się chyba aż do upadku PRL. Dzisiaj ten różowy przysmak jak z kiczowatej kreskówki Disneya już chyba zniknął z repertuaru, zresztą teraz nawet bym na niego nie spojrzała.

Są domy, w których piecze się ciasta i „kupnych” się nie używa. Ale ponieważ nie jestem utalentowaną cukierniczką, desery u nas są na ogół ze sklepu (może z wyjątkiem Bożego Narodzenia i Wielkanocy). To jest – z różnych warszawskich cukierni, których ostatnio jest wielki urodzaj. Starej i nowej generacji. Starej – jak wspomniali Strzałkowscy, mistrzowie klasyki, niezrównani w kategorii „eklery, ptyś, sokoły, paszteciki”. Nowe przynoszą nam synowie w ozdobnych pudełkach. Są wymyślne, eleganckie, ozdobione kwiatami, podobno jadalnymi, i nie zawierają w sobie ani grama żenująco różowej farby, która wzbudzała moje pożądanie u Pożgockiego. Nie kupuje się ich już tuzin czy 15, tak jak kiedyś, tylko cztery. Bo ciastko kosztuje 18 zł... ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zęby czasu

Pojechałem na stare śmieci zrobić zakupy dla mamy. Obładowany siatami wychodzę ze sklepu i słyszę: „Igor! Igor!”. Patrzę – dwóch kolegów, może nie z piaskownicy, ale z burzliwego okresu młodzieńczego.

Od razu przypomniał mi się mem, w którym Orlando Bloom spotyka zwyrodniałych orków i pyta ich: „Chłopaki, co się z wami działo przez te lata?”. Na co oni odpowiadają: „No wiesz, żona, dzieci, robota”, a jeden dorzuca: „Ja odsiadkę zaliczyłem”.

Bo jeden rzeczywiście kiedyś odsiadkę zaliczył i uraczył nas po niej cudną historią, jak kiedyś w celi grupowo rozwiązywali krzyżówkę i cztery poziomo to było „wigilijny solenizant na cztery litery”. W celi zapadła cisza i w końcu jeden osadzony doznał olśnienia i krzyknął: „Karp!”.

Ale z tymi dziećmi i rodzinami to już nie do końca tak. Akurat obaj panowie są tzw. singlami, choć w ich przypadku może należałoby już napisać – starymi kawalerami. Bo nie sądzę, żeby czerpali pełnymi garściami z pełnego atrakcji życia singla. Jeden jeździ na tirach, choć kiedyś zapowiadał się na restauratora, a przynajmniej pracownika gastronomii. Drugi handluje tym i owym, a w „naszych czasach” zamierzał być poetą. Z czego, jak wiadomo, niełatwo jest wyżyć.

Panowie zmierzli mnie wzrokiem. „Oj, brzuszek rośnie” – stwierdzili zgodnie

i nie bez racji. Chciałem im się jakoś odciąć, ale uznałem, że komentowanie braków w uzębieniu jest jakoś nazbyt złośliwe. W tej chwili doznałem też błędnego olśnienia, że kłopoty z zębami postarzają znacznie bardziej niż nadwaga. Chłopaki, choć moi rówieśnicy, wyglądali pewnie 10 lat starzej ode mnie, co skonstatowałem z dość wredną satysfakcją.

Uświadomiłem sobie, że postarzyły ich nie tylko ubytki stomatologiczne, lecz także – a może przede wszystkim – długie próby zachowania młodości. Nie chodzi mi tu jednak o zdrowy tryb życia czy dietetyczne odżywianie. Ale o życie jak za młodu. Ten od tirów, zanim zasiadł za kółkiem, latami prowadził wesołe życie barmana w różnych miastach europejskich, poeta zaś starał się żyć, jak na poetę przystało. To musiało być wyniszczające.

Ale najbardziej wyniszczające było chyba jednak to, że nie mieli rodzin. Co prawda żartuje się, że kobiety żyją dłużej, bo wykańczają swych mężów (a i dzieci dokładają do tego swą cegiełkę), ale tak naprawdę jednak dobrze mieć blisko kogoś, kto o ciebie zadba. Wytrąci kieliszek z ręki, kiedy przesadzamy; przygotuje ciepłą strawę, żebyśmy nie jedli tylko zupkę z proszku; no i wyśle do dentysty, kiedy przyjdzie na to czas.

Myszę więc sobie, że nadmierne wydłużanie młodości prowadzi do samotności. A to ona koniec końców najbardziej nas postarza. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Ukryte fabryki dynamitu

Małgośka, mówią mi Hiszpanie, to w Polsce macie szczepionki à la carte? Nam nikt nie pozwala wybrać. Zaszczepili miliony Hiszpanów AstraZenecą i teraz szantażują nas, aby w ramach drugiej dawki przyjąć Pfizerę, choć naukowcy odradzają.

Jeśli jednak upierasz się, żeby kontynuować tę samą szczepionkę, to każą ci podpisać dokument, w którym pojawiają się słowa nieist-

toreadora, banderilleros i każdego, kto się nawinie. Owszem, statystyczny Polak do flegmatyków nie należy, ale jednak Polak głodny, bo odseparowany od tzw. koryta, to już przypadek kliniczny. Sprytny pieniacz biega też po światowych mediach, zaklinając słowa „polski reżim” tak udanie, że nawet analitycy stosunków międzynarodowych alarmują, że „Węgry, Polska i Turcja idą konsekwentnie w stronę autokracji, korzystając z parasola ochronnego NATO”. Opozycja robi wiele, aby ten parasol się zaciął albo nie otworzył w razie burzy. Ale przecież to ludzie miłujący konstytucję, pokój i tęczę.

Przypomina mi się pobyt we Francji, w Collioure, gdzie narodził się fowizm – najbardziej „kolorowy” kierunek malarstwa, czerpiący z malowniczości tamtejszego wybrzeża. Obok, w Paulilles, przez sto lat funkcjonowała fabryka Nobla, wyrabiająca dziennie nawet trzy tony dynamitu. W muzeum oglądałam zdjęcia umęczonych robotników, bo to głównie kobiety pracowały przy wyrobie nitrogliceryny i dynamitu, ulegając wypadkom, które skazywały je na trwałe kalectwo i codzienne ryzyko śmierci. Ale to feeria kolorów wybrzeża oraz fowiści są wizytówką i dumą regionu. Jak pisał klasyk: „Pochwaleni niech będą ornamentatorzy, Ozdabiace i sztukatorzy, Twórcy aniołków fruwających”, orłów czekoladowych, flag tęczyowych... za którymi czają się idee jak najbardziej wybuchowe. ©©

**„Furia española”
w starciu z polskim
pieniactwem
po prostu rzeźi
z niemocy**

niejące nawet w słowniku Hiszpańskiej Akademii Królewskiej. No i bierzesz odpowiedzialność za skutki przyjęcia drugiej dawki AstryZeneki, skoro postępujesz wbrew sugestiom władzy. A ja już przed oczami duszy widzę, że gdyby coś takiego uskutecznił nasz rządzący, to przecież opozycja urządziłaby krwawą jatkę, wydaliby broń oddziałom szturmowym Lempart & Suchanow, Hołownia płakałaby na „lajfach”, a Szczërba rąbał siekierą już co popadnie.

Zbyt często mam wrażenie, że owiana legendą „furia española” w starciu z polskim pieniactwem po prostu rzeźi z niemocy. A już pieniacka opozycja totalna wpuszczona na korridę mogłaby od razu pogryźć byka,

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Lewy” a Mitteleuropa

A więc zrobił to. Robert Lewandowski strzelił w zakończonym sezonie Bundesligi 41 bramek i pobił tym samym „rekord wszech czasów” Gerda Müllera. Wraz z tym okazało się, że nie jesteśmy „wyjątkowo podzielonym społeczeństwem”. Czytając entuzjastyczne reakcje z powodu „fantastycznego wyczynu genialnego Roberta” od prezydenta, premiera i posłów oraz dziennikarzy wszystkich opcji politycznych, myśl o podziałach wydaje się zupełnie egzotyczna. Chociaż 41 goli strzelonych przez „Lewego” dla Bayernu oraz reakcje – w Polsce i w Niemczech – mogą pobudzać także do innych refleksji.



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Ponadpartyjny entuzjazm można interpretować więc jako dowód „postkolonialnego myślenia” sporej części polskich elit i wysokich urzędników państwowych, którzy nie posiadają się z radości, że Robert Lewandowski strzelił 41 bramek dla mistrza ligi niemieckiej, poprawiając w ten sposób rekord należący do niemieckiego króla strzelców.

Jednak ten „król” został zdetronizowany. Może więc – i tu dochodzimy do drugiej interpretacji liczby 41 – jest całkiem odwrotnie. „Lewy” zatknął (symbolicznie) na terytorium „wroga” polską flagę, dokonując w ten sposób rewanżu na tym, który w słynnym „meczu na

wodzie” na mistrzostwach świata w 1974 r. pozbawił nas marzeń o grze w wielkim finale mundialu. Tak, to Gerd Müller strzelił nam bramkę w przegranym 0:1 przez Orły Górskiego meczu z RFN. Może więc nie chodzi o żaden „postkolonialny” styl myślenia, tylko świętowanie „piłkarskiego Grunwaldu”. Zważywszy zaś na to, że decydującą, 41. bramkę w 90. minucie meczu Bayernu z Augsburgiem puścił polski bramkarz grający w tej ostatniej drużynie, podejrzenie „polskiej operacji” w tym wszystkim staje się tym bardziej realne.

Nie wiadomo, czy na ten trop wpadł były reprezentant Niemiec w piłce nożnej, Dietmar Hamann, który zaraz po wyrównaniu przez Lewandowskiego rekordu Müllera, tydzień przed ostatnim meczem Bayernu w sezonie (z Augsburgiem właśnie), publicznie namawiał władze bawarskiego klubu, by nie wystawiały „Lewego” w tym meczu, tak aby „ochronić rekord Gerda”. W domyśle rekord, który w lidze niemieckiej powinien należeć do Niemca. Aż strach dokończyć tę myśl (nur für...).

W ten sposób dochodzimy do frapującego zagadnienia „futbol a Mitteleuropa”. Ten ostatni wyraz odnosi się do snutej przez Rzeszę Niemiecką w latach pierwszej wojny światowej imperialnej strategii budowania dominacji niemieckiej kultury, „wyznania gospodarczego” oraz wpływów politycznych w Europie Środkowej między Bałtykiem, Morzem Czarnym a Adriatykiem. Istota tak rozumianej Mitteleuropy – pisałem już o tym kiedyś na tych łamach – streszczała się w dwóch wyrazach: „wpływ” i „kontrola”.

W odniesieniu do Polski oznaczało to zerwanie z polityką germanizacyjną à la Bismarck

(bo nieskuteczna), zgodę na istnienie Polski (okrojonej terytorialnie Kongresówki) jako „buforu” oddzielającego Niemcy od Rosji, przyznanie Polsce prawa do posiadania własnej administracji, szkolnictwa, sądów oraz innych atrybutów niepodległego państwa. Ale to Rzesza miała decydować o perspektywach rozwojowych tak projektowanego państwa polskiego w „nowej Europie Środkowej”. Mitteleuropa to inaczej „szklany sufit” nałożony na potencjał i perspektywy rozwojowe Polski. Nie ludobójcza polityka, tak jak w hitlerowskim imperium „nowego typu”, ale trwała bariera rozwojowa.

Nie wiem, czy Dietmar Hamann czytał książkę Friedricha Naumanna o Mitteleuropie (1915), ale jego myśl „40 bramek i nie więcej dla Polaka” doskonale mieści się w mitteleuropejskiej logice przewidującej ułożenie „przyjaznych” relacji polsko-niemieckich (ostatecznie koniec z germanizacją!), jednak z pełną asymetrią w odniesieniu do przyszłego rozwoju kulturowego i gospodarczego obu narodów. Robert Lewandowski jako wkład Polski w przełamywanie Mitteleuropy – oto prawdziwie dobra zmiana, godna Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski.

S chodząc na ziemię i już całkiem na poważnie – „Lewy” osiągnął wszystko, ale tylko w piłce klubowej. A przecież ci naprawdę wielcy, którzy stali się legendami światowej piłki – Pelé i Maradona – w piłce klubowej nic wielkiego nie osiągnęli. Swoją wielkość udowodnili, zostając mistrzami świata. Poprowadzili swoje drużyny na piłkarski Olimp, wzniesli Copa de la Vida. Czy Robert Lewandowski osiągnie coś więcej z reprezentacją aniżeli tylko ćwierćfinał Euro w 2016 r., przekonamy się już niedługo. ©



Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~659~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„CO POLSKA I POLACY DALI ŚWIATU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

337,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 322 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl 3568f777a1

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY



PARTNER

